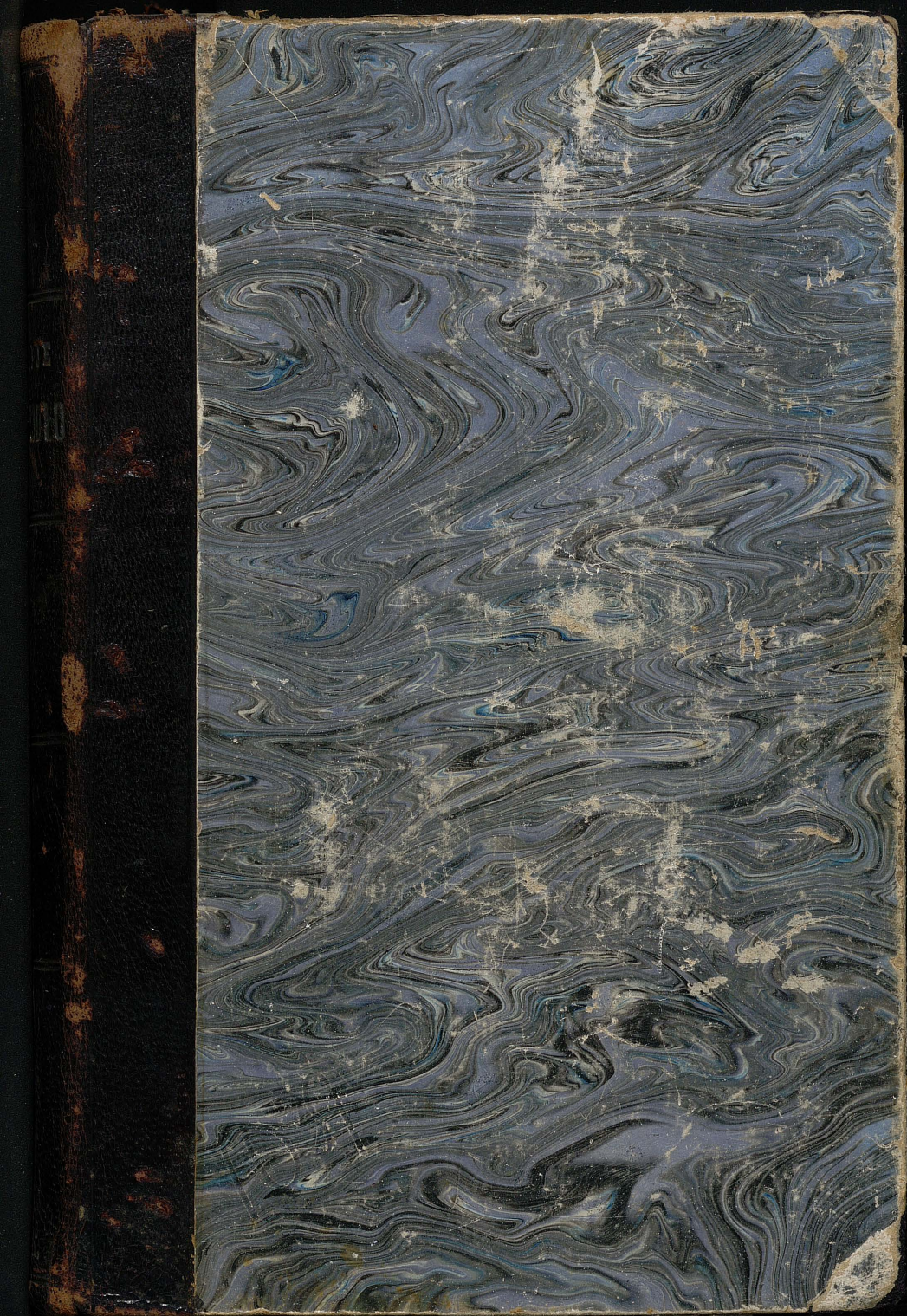




MAŁPIE ZWIERCIADŁO

9144

TEGOŻ AUTORA:

FACECIE SOWIZDRZALSKIE (wyczerpane).

SKOTOPASKI SOWIZDRZALSKIE K. 2.—

SIEDM DRAMATÓW JEDNOAKTOWYCH (DOM

KALEK — MIŁOSIERDZIE LUDZKIE — WALC

BARONA (!) MOŁSKIEGO — SOBOWTÓR —

CYRCE MAŃKOWSKA — PRAWO MIMICRY —

HAMLET I DON JUAN) K. 4.—

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ WE LWOWIE.

MAŁPIE ZWIERCIADŁO

SATYRY
ADOLFA NEUWERT-
NOWACZYŃSKIEGO

WYDANIE DRUGIE



LWÓW 1909

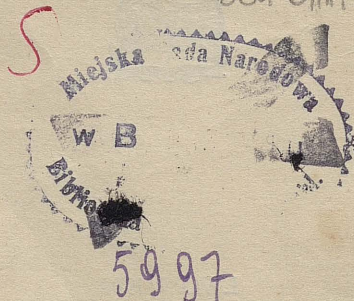
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO
WARSZAWA E. WENDE I SKA. (T. HIŻ I A. TURKUŁ)

✓ +

PIĘĆ LISTÓW FILISTRA



884-311.5



Z Drukarni Słowa Polskiego we Lwowie
pod zarządem Józefa Ziemińskiego.

62



I.

Pokraków dnia 25 czerwca r. bieżącego.

Najukochańsza Anuś!

Ano, dzięki Bogu, przyjechałem tu zdrowo i w całości, o czym Ci na sam przód donoszę, abyś nie była o mnie niespokojną. Drogę miałem nie bardzo wesołą, głównie z tego powodu, że było niezmiernie gorąco w wagonie, dużo żydów brudnych i szwargocących i dwóch żandarmów z mordercą zbrodniarzem w środku, który, choć zakuty, ciągle im się wyrывał z rąk i obrzydliwe rzeczy im mówił, przezwiska i kłatwy, że niech Bóg uchwata.

Do stolicy zjechałem tak, jak obliczyliśmy z księdzem kanonikiem i z Tobą, kochana Anusiu, o godzinie 2 minut 25, i zaraz pojechałem fiakrem do hotelu, który mi poradził Mazurski. Hotel bardzo ładny, ma dywany na schodach i kwiaty po bokach i dzwonki elektryczne i wszystkie wygodki, jakich tylko dusza zapagnie. Za moich czasów jeszcze go nie było. W hotelu wypocząłem sobie z podróży, wymyłem się, ogoliłem jak wypada i zaraz po godzinie wyszedłem na miasto. Nie poznałbym już mojego miasta, tak się zmieniło bardzo, i tramwaje elektryczne ma i wodociągi i pomniki nowe i chodniki z asfaltu, a sklepy, powiadam Ci, wspaniałe; damy Ci chodzą tak wystrojone, jak u nas na fiksy popołudniu. Dwóch genera-

łów piechotą widziałem zaraz wychodząc z hotelu, jednego może feldmarszałka, tyle orderów miał.

Pochodziłem po mieście ze dwie godziny, z początku poszedłem oczywista do Fibichowej, gdzie stałem studentem na stancyi, domu ani śladu, na jego miejscu stoi willa podobno żydowska, jak mi mówił posłaniec Nr. 35. Może tam i nie żydowska, ale zawsze poczciwa Fibichowa tam nie mieszka. Wprost stamtąd poszedłem do gimnazjum, które stoi tak samo, jak dawniej, tylko nowiuteńkie okna i stróż tercyan ten sam, co za mnie, stary Jan, tylko ma pomocników i nad bramą napis wśród zieleni: Witajcie! Jan, kiedyś mu powiedział nazwisko moje i godność, w te pędy mnie poznał i powiedział, że sobie przypomina, jakto małym smarkaczem w mundurku jeszcze wybiłem szybę w kancelaryi dyrektora, co prawdą nie może być, ani rusz, bo wtedy mundurków jeszcze nie było, a ja od 7-mej klasy do tego gimnazjum chodziłem i żadnej szyby, jak przysiadz mógłbym, nigdy w życiu nie wybiłem. Powiedziałem staremu o tem, ale się upierał przy swoim i mówił mi, że przecież kolego- wałem z tym Schwarzem, co go to przed 4 laty powiesili. Oczywista, pomylił się grubo co do mej osoby, bo ja właśnie kolego wałem z Weissem, który jest radcą apelacyjnego trybunału i osobą wpływową w całym świecie. Ale to głupstwo. U studni wisi ta sama chochła, która wisała przed 25 laty, tylko bardzo zardzewiała. Ze łzami w oczach, moja Anuś napiłem się wody, poczem poszedłem tam, gdzie się to za studenckich czasów zaczyna ćmić papierosy i tu, ze łzami w oczach, zapaliłem papierosa twoją ręką robionego, poczem wnet wyszedłem, aby na godzinę szóstą być u doktora, gdzie się wszyscy zbierać mieliśmy.

W mieście ruch wielki z powodu naszego koleżeń- skiego zjazdu, ale na żadnym domu chorągwi nie wi- działem, tylko na jednym, gdzie napisane, że przyje- chała wszechświatowa panorama. Ponieważ jeszcze był czas, więc wstąpiłem do cukierni, aby się napić kawy i popatrzeć do gazet, alem niedobrze trafił, bo do jakiejs pryncypalnej, gdzie siedziało mnóstwo lafi- rynd, czy arystokratek i elegancików z marymonckiej mąki. Ani jednego stolika nie znalazłem wolnego, więc przysiadłem się, uprzejmie kłaniając się do jakichś dwóch gagatków, którzy pili kawę ze słomianych ru- rek i kazałem sobie dać czarną, na złość im z konia- kiem, bo się ze mnie podśmiewali. Poczem poprosi- łem o coś z literatury: „Ueber Land und Meer“ albo „Kłosa“, ale głupi pikolo (bo tak teraz na takich ma- łych bąków krzyczą) nie znał nawet takich pism. Ga- gatki przy mnie parsknęły głośnym śmiechem, więc sobie zapaliłem cygaro za 15 c. i rozglądałem się po sali nie zważając na takie ordynarne sąsiedztwo. Kobiet ci mnóstwo bez mężów, bez ojców, głównie z gachami, niektóre z dziećmi ubranemi dziwacznie, jak na reducie maskowanej, przyczem dziewczynki, może dwunasto- letnie, w pończochach do połowy nogi, a reszta goła, co jest chyba bardzo niemoralne i kiedyś słyszał, co te gagatki przy mnie mówiły do siebie, tom myślał, że mnie krew od wstydu samego zaleje, choć wiesz, nie jestem od tego, ale przecież, co zanadto, to i pro- sie nie chce, jak to mówią. No, nie?

Już teraz widzę po mieście, jak się zmieniło i wzro- sło, ale i zepsucie w niem także. W teatrze jednym grają np. „Aryę z Messaliny“, a ta ostatnia, to była naj- gorsza kobieta w łacińskich czasach. W drugim: „Piękną Helenę“, operetkę, która zdradziła męża swego i to

nie raz z Parysem. W innych jeszcze to już wcale nie grają sztuki, a tylko rozmaite szansonetki i grigolatis, o których ci opowiadałem, śpiewają kuplety, a takich najwięcej. Wogóle już po trzech godzinach widzę, jak się przez tak krótki czas zresztą dużo tu zmieniło.

Ponieważ dopiero po piątej, a do szóstej daleko, więc kazałem sobie dać pióro i atrament, pikola posłałem po papier listowy, zabrałem się do pisania i skończyłem.

Kartki ze sprawunkami nie zgubiłem, nuty dla pani dyrektorowej jutro pošlę, także i farbę do podłogi, której tu wszędzie dostać można.

Stasiek huncwot niech nie dokazuje i majtek nie drze, Mani, jeżeli jeszcze..., to dawać olej bez przerwy, zresztą całuję Was serdecznie i Ciebie moja Anusiu.

Wasz *Ojciec*.

P. S. A pana Piszczka pilnujcie, bo chytry, jutro rano napiszę, znajomym wszystkim ukłony, a psy nie zapominajcie puszczać na noc z łańcucha.

II.

Pokraków dnia 26 czerwca tegoż bieżącego roku.

Najukochańsza Anuś!

Piszę Ci zaraz po śniadaniu, które zjadłem w hotelu z masłem, ale bardzo kiepskiem. A więc wieczór wczorajszy odbył się bardzo wspaniale i wesoło i opiszę Ci go, jak mnie tylko stać. Do doktora Smoczka przyszedłem przed szóstą, wchodzę, w przedpokoju zarzutki wiszą, więc myślałem, że się spóźniłem, ale mnie fagas objaśnił, że to pacyenci głównie. Kazałem

mu więc powiedzieć doktorowi, że jestem Kostka z Nowego Gródka od Zjazdu. Za chwilę wybiegł doktor i rzuciliśmy się sobie na szyję, jak bracia. Tyżeś to Mostek, o mój Mostku, moja Dziuro złota i t. d. zaczął krzyczeć, biorąc mnie, nie wiem dlaczego, dla przesłuchu głównie za kolegę Mostka, któregośmy nazwali w klasie „Dziurą w moście“. Poprawiłem go, trochę się zawstydził i weszliśmy do salonu, gdzie już trzech kolegów było: mianowicie pan starosta Miśkiewicz, który wtedy był największym urwisem i za pensyonarkami się uganiał i poza szkołę chodził, choć zdrów jak ćwik, dalej profesor Omlet, filolog zabity i bardzo uczony i jak zawsze „kujon“, to znaczy bardzo pilny, ale nie awansuje wcale, a zwaliśmy go „Leguminą“, i kapelan arcybiskupi, ksiądz dr. teologii świętej Kołopolski, z dwoma orderami, zwany w szkole „lokomotywą kołopolską“, ponieważ bardzo dużo ćmił cygaretek i sapał przy kułakowaniu.

Ze łzami w oczach uściskaliśmy się wszyscy, poczem palnęliśmy sobie coś nie coś z wódek i zaczęliśmy przeglądać fotografię grupy wspólnej z r. 1874. Ano zgłosiło się na Zjazd z 45 tylko 15. Biedny Jasiek Omlet przez belferskie roztargnienie pchnął fotografią koniag i dużo się wylało na perski, drogi dywan. Wogóle u doktora znać dobrobyt ogromny, obrazy, dywany, lustra, a to wszystko z pracy tylko, bo z domu chłopski syn, ale specjalista od tych chorób, co to wiesz wstyd gadać nawet, ale wiadomo, że najlepiej się lekarzom opłacają, choć z nich w tym wspaniałym salonie ani śladu by się kto domyślił.

I zaczęliśmy bardzo serdecznie mówić i wesoło zwłaszcza o tem, że 16 z nas już nie żyło wcale, kilku przepadło jak kamień w wodę, a jeden jest

Ekscelencyą, który był hrabią, a kolegi kapelana przyjaciелеm. Doktor skończył z tymi swoimi nieszczęśliwcami i wrócił do nas bardzo wesoły, kazał podać nowe śliwowie, koniag i zakąski i wraz zaczęli się schodzić i inni. Więc rejent Michalczuk, ksiądz Gozdawicz, wypędzony jeszcze z szóstej gimnazjalnej, ponieważ rzucił książką w łeb katechecie, obecnie pleban, nadradca Weiss w złotym cwikerze (anibym go poznał), aptekarz Mglej, który bardzo piękne poematy i dramaty pisywał za młodu, a obecnie wynalazł ponoś coś, co łagodzi ból w krzyżach i podagrę i nazwał to: Apollon, i mój szczerzy, pocziwy sąsiad z ławy szkolnej Stędzicki, bardzo utalentowany obywatel wiejski, który gra na fortepianie i zaraz mnie poznał. Grzmotnęliśmy się w karki, niby żartem przypominając sobie szkołę, ale ja go za silnie trochę palnąłem, bo aż jęknął. Śmiechu było co nie miara, bo i aptekarz Mglej z doktorem zaczęli się kułakować i kolejka wódki poszła jedna i druga. Nareszcie przyszli i ostatni, to jest z Błażejowic chłop zwyczajny Ćwiertnia, polska dusza na wskrós, gimnazjum skończył i wrócił na wieś. Zawsze był trochę narwany, ale wyobraź sobie moje ogłupienie, kiedy słyszę, jak wszyscy do niego: Kolego pośle! pośle Ćwiertnio! Posłem niedawno wybrany i do Sejmu i do Rajchsratu i z ministrami za pan brat, podobno dyplomata nawet.

Powiedzże to pani Młynarowskiej, która tak chamów nie cierpi, niby że z domu dyabli wiedzą co, jak tu z chamem się ściskają i starosty i hrabiowie i ludzie zwykli, a na stanowiskach. Niechże nosa nie zadziera i w kapeluszu na wizycie nie siedzi, a sznurówkę jej kupię, nie zapomnę. Potem jeszcze inni przyszli, i doktor z szafy bardzo dobre cygara wyciągnął, na końcu

zaś nasi dwaj sławni artyści: malarz Namacalski, który wsiowe rzeczy maluje i długo w Paryżu mieszkał, a malcem belfrów karykatury takie robił, że w dołkach bolało od śmiechu. I Roświta-Gromadzki, któregośmy wszyscy przyjęli, powstawszy — ile że był prymusem w klasach, zdał „sub auspiciis imperatoris“ i jest redaktorem. Potem poszła znowu kolejka wódek i serdeczna koleżeńska gawędka aż do siódmej.

Wtedy zeszliśmy po schodach do pięciu fiaków dwukonnych, które na nas czekały, aby z nami pojechać do teatru, gdzie za wpływem Roświty Gromadzkiego grali „Halszkę z Ostroroga“, na której byliśmy 25 lat temu po zdaniu matury. Ale w teatrze oprócz nas i może 10 osób, choć teatr nowy i wspaniały, nie było nikogo, tylko lokaje we frakach czerwonych z powodu naszego Zjazdu i wszystkie aktory grające w sztuce. Biliśmy bardzo dużo brawa i krzyczeli po nazwiskach aktorów nowych, bo starzy już umarli, a został tylko ten, co gra amanta, choć już kuleje trochę i została przy scenie pierwsza naiwna i prymadonna, za co posłaliśmy jej ogromny bukiet. — Potem poszliśmy wszyscy na wspólną kolację bardzo wspaniałą i drogą do lokalu z elektrycznymi lampami. „Menu“ Ci posyłam, bom wyprosił kartkę od restauratora na wieczną pamiątkę, żeby dzieci miały co widzieć jak dorosną. Rozmaite były potrawy, niektóre cudaczne i niesmaczne, choć francuskie naprawdę, a wino świetne, bo takiego trzeba do toastów.

Najpierw miał rzeczywiście bardzo wspaniałą mowę ksiądz kapelan Kołopolski, witając nas w imię Boga, poczem w imię miasta redaktor Gromadzki oraz w imię gazet, poczem rejent Michalczuk w imię prawników, ksiądz Gozdawicz w imię teologów, a profesor Omlet

w imię pedagogów, a potem tą samą kolejką zaczęto wznosić toasty, a więc inicjatora Zjazdu konsyliarza Smoczka, oraz nadradcy Weissa, oraz starosty Miśkiewicza; poczem chłopą Ćwiertnia, że jest posłem i politykiem chamskim, to pięć razy zdrowie jego pili, a ten Gromadzki, imaginuj sobie, nawet wierszem o zgodzie stanów w ogóle i w szczególności, a malarz Namalcalski kolega nasz z Paryża powiedział o nim, że ma kolosalny łeb i że jest kolorowy aż do wściekizny. Pasya mnie porwała, więc i ja trzymałem mowę za zdrowie dzierżawców i aptekarzy tu nam panie obecnych, i wesoło było i brawa bili, więc kazałem jeszcze postawić pięć butelek szampańskiego, ale się nie gniewaj, bo to jest rewanz i wypada osobliwemu człowiekowi, choćby był prostym dzierżawcą folwarku z Gródka. Nie chcę, żeby potem mówili, że Kostka jest szmucyan i wyjadacz, albo gorzej.

Dziś o 11-tej mamy nabożeństwo, potem przechadzkę kupą po mieście i obiad u obecnego dyrektora gimnazjum z paniami, z żonami, a kto ma, to z rodziną, a nawet we fraku. Wieczór dla prywatnego użytku. Dr. Smoczek, Michalczuk, Mglej i Stędzicki namawiają mnie koniecznie na wieczór do pewnego Waryete, ale jeszcze nie wiem czy z nimi pójdę, bo się boję po nocy zaziębić, a Jaegera przez zapomnienie nie wziąłem, choć swoją drogą w moim szluzroku przy tych festynach naszych się pocę jak szczur.

Jak wrócę, trzeba dać szluzrok do krawca, bo bardzo wyszedł z mody i z fasonu i chyba przenicować go. No, nie dziwota, zawsze 20 lat ma z okładem. Zresztą jeżeli i starosta Miśkiewicz pójdzie, to pójdę, bo to zawsze miarodajna osoba, a on się nakłania do pójsia. Tym czasem całuję Cię najdroższa moja Anu-

siu i tęsknię za Tobą i myślę dużo o Was w szczególności o szelmie Stašku, czy mi w biurku nie szperał i nie otwierał tej szufladki, gdzie to te... są, boby się huncwot na nic zepsuł. Młynarowskich możesz pozdrowić, choć niekoniecznie, ale tylko im powiedz, że się świetnie bawię po teatrach, koncertach, hotelach i na rozmaitych fetach i ani myślę wracać do domu. Choć to kłamstwo, bo myślę. A pisz moja Anuś, a jak co jeszcze kupić, to dopisz na osobnej karteczce!

Wasz Ojciec.

Postscriptum. Piszczowi powiedz, żeby pilnował wszystkiego, a na folwarku był ze cztery razy dziennie, to mu szelmie zegarek przywiozę z kopertą i jego literami.

III.

Pokraków dnia 27 czerwca tegoż roku.

Najukochańsza, najdroższa moja żono i Anusiu!

Piszę, chociaż mam wielki ból głowy i trochę nawet mdłości. Właśnie przed chwilą wyszli odemnie z numeru tj. z pokoju hotelowego pan starosta Miśkiewicz, z którym jestem w zażyłej przyjaźni i doktor Smoczek. Choć nic złego, ale wczoraj w nocy dość długo bawiliśmy się w bardzo wesołym Wariete, które się nazywa Oberon czy coś takiego, a żyd Friemann jest dyrektorem teatru, sam się nam przedstawił i dyrygował służbą, tem bardziej, że koło 2-giej w nocy przyjechał bardzo ważny i w mieście i tutaj kolega Gromadzki, który musiał późno w noc pracować w redakcji swojej, ale i tak już był bardzo cięty i w tym stanie przy-

jechał do kompanii. Do Variete owego wybierało się nas tylko pięciu, ale zebrali się czterestu, tylko biedni księża nie mogli, nie dlatego, aby lokal teatralny był niemoralny, ale że jeden jest kapelanem arcybiskupa i czyta mu do łóżka, a drugi jest cierpiący na nerki i astmę ma. I belferzyna Omlet był w szluzroku i cham bestya przebrał się po cywilnemu i przyszedł, ba nawet szczęście miał do jednej osoby, o ile, że lepiej po niemiecku rozmawiał, a ona mu wasy skubała i śmiała się ze wszystkiego, co poseł Ćwiertnia mówił. Omlet bardzo trącnęty deklamował po rzymsku wierszyki Lukrecjusza i Virginała i podobne w swoim tłumaczeniu, bo jest zdolny i podobno ma przyszłość wielką — niektóre bardzo wesołe. Jeden nawet umię na pamięć i za przyjazdem Ci opowiem, tylko mnie teraz ogromnie głowa boli.

Doktor Smoczek dobrze zawiany ogromnie był wesoły, rad różnych udzielał i dyrygował zabawą i za kulisy latał i wszystkie osoby po przedstawieniu do naszej separatki znaczy się zamkniętej jadalni, która jest i salonem odrazu, bo i kanapki i kwiaty są i pianino i obrazki z mitologii współczesnej nam. Tak więc chociaż na dole jest kawiarnia, gdzie czekały już podobno takie gachy, lalusie i szlifibruki młode z miasta, wszystko to z zakulis do nas przyjść musiało, choć mój szluzrok naprawdę już źle leży i marszczy się na plecach, a nie zapina w pasie ani rusz. A co? Nie gniewaj się moja Najśłodsza Najukochańsza Anulko, że z takimi cyrkówkami ja obcowałem w towarzystwie, ale widzisz tu się tak musi, i to nie jest wcale nic zdrożnego i brzydkiego, bo i starosta, mój przyjaciel obcował i sławny redaktor i wszyscy: Mglej, Omlet, Stędzicki, a dr. Smoczek dał mi słowo, że i kapelan

byłby przyszedł, tylko arcybiskup nie może zasnąć bez niego, bo on musi mu czytać Żywoty Świętych Męczenników do poduszki.

Zapomniałem Ci napisać, że Kolega Ekscelencya Hrabia telegrafował na ręce dr. Smoczka, że sercem i duszą jest przy nas ciągle, ale że zajęcia politycznej przyrody go trzymają na złość wtedy, kiedyby Sam z nami się trącić kielichem.

Odelegrowaliśmy dziękując Mu serdecznie za koleżeńską serdeczną pamięć i prosząc Go o przyczynę do składki na grobowy pomnik kolegi Pszczyńskiego, który zabił w pojedynku rotmistrza czy coś podobnego, a nie może przyjechać, bo się lada chwilka spodziewa syna, zresztą całej awantury nie pamiętam, bo mnie głowa jeszcze boli, naco wedle konsulty dr. Smoczka zjadam 3-cią cytrynę, co nie wiem jak się skończy, bo żołądek po wczorajszym nie tegi.

Dziś mamy tu zwiedzanie wystawy obrazów i nowego Muzeum, w którym są piękne rzeczy z Madagaskaru i z Pokucia, ale nie wiem, czy się to uda, tak wszyscy jakoś nie w sosie. A co prawda, to i wczoraj na nabożeństwo uroczyste niektórzy się spóźnili tak, że tylko 7 było, a reszta aż potem. Obiad dzisiaj o trzeciej urządził starosta w swoim hotelu, podobno figla chce zrobić i na złość księżom poprosił co lepsze z wczorajszych panien i będą nam śpiewały. Szczególniej jest ładną piosneczka, którą się śpiewa chórem: „Menszen, Menszen sind wir alle“. Nuty z tego może się wystaram i przywiozę dyrektorowej, ale jeszcze nie wiem. Wogóle tu znacznie weselej, niż w Nowym Gródku i co prawdy nawet porównania nie ma z tą dziurą obrzydliwą. Taka na przykład elegantka, jak głupia Młynarowska ani się umyła do takiej na ten przykład Pepity



Murillos, ekscentrycznej i nawet międzynarodowej su-
bretki, która mi ciągle mówiła i zaprzysięgała się, że
jestem podobny do jej skarbu, t. j. narzeczonego, tylko
że tamten ukradł jej bransoletkę złotą i wyjechał. Tym-
czasem całuję Cię moja Anusku, moja najdroższa po
tysiąc razy i głowa mnie już mniej boli, tylko mi się
spieszy, bo znowu żołądek... A dzieci i Piszczka pilnuj.
Do rychłego widzenia

Twój Michał i mąż.

IV.

Pokraków dnia 28 czerwca 1999 r.

Moja najmiłsza żono, ukochana moja Anusiu!

Piszę tylko na kartce, gdyż bardzo mało mam czasu
z powodu tych festynów koleżeńskich. Ano wielką no-
winę ci powiem, iż Ekscelencya przyjeżdża 1 lipca,
a my tymczasem czekamy i nie rozjeżdżamy się, ale
do gazet podał Gromadzki, że na nasz Zjazd już się
nowych kolegów zgłosiło dziewięciu, a i Pszczyński,
na którego nagrobek składaliśmy się, przyjechał, nie
mogąc się doczekać niczego. Szluzrok dałem do prze-
nicowania, ale nowy natenczas kupiłem z Pszczyńskim,
który jest fircyk, choć łysy, jak psi ogon i zna się na tem.
Ekscelencyę przyjmujemy na kolejki, a moje nazwisko
stało w gazecie, ile że ze Zjazdu jestem obywatel ziem-
ski z Nowego Gródka. Gazetę Ci posłałem i daj ją
Młynarowskiemu, niech czyta ją i wiedzą, a ona niech pęk-
nie ze złości, lafirynda nowogródzka prowincjonalna.

Ja z powodu owych nut dla dyrektorowej muszę
się wciąż wdawać z tymi pannami i basować im, bo
inaczej nut nie dadzą. Bardzo to miłe dziewczęta, ale

ja tam z niemi nie bardzo, bo wiem, czem to pachnie,
tylko Omlet to głowę stracił i zielone krawatki i takież
skarpetki sobie kupił, bo mu Pszczyński, łysy jak kafla
z pieca poradził. Z Pepitą Murillos to wcale i nie mō-
wie, bo charakter zmienny, a naciągający ciągle, za to
przyjemne są bardzo trzy siostrzyczki Lorrisoniówne,
szczególnie ta od starosty Miśkiewicza, choć i Felka
kuzynka rodzona i Muza Mgleja bardzo wesoła i roz-
sądna, tylko że pieniądze idą jak woda, tak, że wczoraj
drugą stówkę musiałem mieniać.

Kamaszki tum sobie kupił bardzo ładne i cały się
wyekwipuję trochę od a do zet, głównie dla Ekscelen-
cyi. Już Ci więcej nie donoszę, boby Cię to nie ob-
chodziło i zresztą ustnie wieczorami będę miał co,
jak Młynarowscy przyjdą a bębny się spać się położyć.

Mańka zdrowa? A Stach? Trzeba mu odebrać ten
wielki scyzoryk, bo się bardzo boję, aby jakiego żyda
nie spaskudził do krwi, co mi się nawet wczoraj w po-
łudnie śniło. Będę tu jeszcze z jaki tydzień najdłużej,
bo potem jedzie nas kilku do Stędzickiego na wieś,
bo to stary kawaler i strasznie zasmakował we wszyst-
kich trzech siostrzyczkach. Tymczasem Cię całuję i po-
zdrawiam i dzieci. Piszczka pilnuj i jakby co tylko, to
nawet i sama wyróżnij w pysk raz i drugi, a popamięta.

Twój szczerze Cię ukochana Anus kochający mąż
Michał.

V.

Pokraków.

Szanownej małżonce ukochanego naszego kolegi
i przyjaciela Michała zasyła towarzystwo jubileuszowe
zebrane na dniu 31-go Czerwca r. p. bieżącego serdeczne

ukłony i pozdrowienia. Michalczuk, Miśkiewicz, Murillos,
dr. Smoczek, Teodor Tomasz Mglej, Hipolit Omlet,
Stędzicki, L. Lorrison, Ćwiertnia, Gozdawicz, Koło-
polski, Gromadzki, Felka, Pszczyński, A. Lorrison,
Mira Lorrison i Twój mąż kochający

Michał.

TUBALKAIN

(GROTESKA).



Na pierwszym piętrze domu pod l. 5 przy ulicy Ochoczej, Hożej czy Wesołej, mieszkał jeden dyrektor banku.

Na drugim piętrze dwóch profesorów uniwersytetu, bogatym żonom poślubionych. Na trzecim piętrze trzech urzędników prywatnych instytucyj, dwóch redaktorów, jeden baron, jeden kupiec. Na czwartym piętrze sześciu malarzy, jeden matematyk, trzech urzędników kolejowych, dwóch poetów z Bożej łaski, jeden poeta z łaski reporterów i bardzo inteligentna, a więc niezrównanie brzydka nauczycielka muzyki, naturalnie fortepianu.

W oficynach mieszkali szewcy, ślusarze, krawcy i wogóle ludzie, których nazwano raz na zawsze rękodzielnikami, co ci tłumaczą pochodzeniem od dzieła rąk, tamci od dzielności rąk, a ktoś podobno od dzielenia rąk.

Głupstwo. Nie o to teraz rozchodzi się, ale o tamto, o zjawiskowe stworzenie w parterze oficyn, o ten fenomenalny okaz fauny ludzkiej, o tego Cyrankę.

Żorż Cyranka był mężem praczki, tak jak ktokolwiek może być „mężem aktorki“, mężem żeńskiego doktora chorób „skórnych i analogicznych“, mężem energicznej żony, mężem od parady. Za młodu był kelnerem, poczem kelnerem płatniczym, poczem płatniczym oszustem, poczem oszustem restauratorem, poczem restauratorem bankrutem, poczem bankrutem kryminali-

stą, poczem emerytowanym kryminalistą, człowiekiem z przeszłością, mężem do wzięcia w przyszłości.

W trzydziestym roku życia dał przypadkowo trzy koszule różowe w zielone paski do prania, a w jakiś czas potem kobietę, która zdecydowała się na wypranie tego rodzaju koszul, poślubił.

Oświadczył się tej praczce z ulicy Radosnej, Rozkosznej czy Szalonej w sposób logiczny, racjonalny, bez domieszek płytkiego sentymentalizmu.

...Pani Kalikstowa mieszka od oficyn, ja bardzo lubię mieszkać od oficyn, pani Kalikstowa ma troje bębnow, a ojców dla tego potomstwa nie wyszukałabyś już pani i z paczką świec stearynowych, a ja dzieci mniej więcej prawie że nie mam, więc dajmy na to, nie obrażając honoru pani, ja stoję jak wół do karety i ino mnie brać, co?

...Kiedy podobno pan Żorż próżniak i nicpoń, a podobno i w kozie się bywało, he?

...W kozie nie w kozie, na wozie nie na wozie, ale zawsze i kelnerem byłem w hrabsko-książęcym restaurancie i restauracyjkę sam miałem i 500 serwet z monogramami i bardzo złoty szyld i dyabli wiedzą, co jeszcze. Teraz się tego nie ma, ale za to wynalazki, rozmaite perpetua i automobile, krocie będą, jak słowo daję, milionowe krocie, tylko cicho, czekać w kącie i sza... sza...

...Już kto tam wie, kiedy będą! (sceptyczny ruch ramion).

...Dziś jutro, byle gotóweczka była na machiny, tak jak jej teraz nie ma, chyba, że pani Kalikstowa da rączkę do ołtarzyka, a potem siknie coś z gotówki, no!

I po dwudziestu sześciu takich i tym podobnych

rozmowach, prowadzonych coraz to więcej drgającym namiętnością, coraz to cichszym, filuternie modulowanym głosem, udało się wreszcie Cyrance przekonać praczkę brudów z ulicy Śmiejącej czy Ochoczej, że małżeństwo z nim jest dla niej awansem o trzydzieści pięć szczebli na drabinie hierarchii socjalno-towarzystwej. Ślub byłego restauratora z obecną praczką odbył się tak, jak się odbywają śluby jeszcze funkcjonujących restauratorów z praczkami, o ileby oczywiście podobna kombinacja małżeńska była możliwą w tych czasach, w których już tak rzadko zresztą mówi się o mezaliansach.

Wiele lat przechodziło podobnych do siebie tak bardzo, jak podobna jest dziatwa kobiety, której udało się w życiu mieć pewnego razu czworaczki. Praczką Kalikstową prała jak zwykle bieliznę różnych ludzi, starzejących się z dnia na dzień. Mąż jej Żorż prał Kalikstową jak zwykle, wymyślając jej od pomywaczek płótna, ordynarnych babsztyłów, obrzydłych ropuch, ośmierdłych krów, wyrzucając jej niskie pochodzenie, mydlinowy światopogląd, czerwone ręce, pogardzając nią za to, że jego „talentu“, jego iskry Bożej, jego wyższego duchowego „ja“ nie rozumiała.

Bo i on przecież miał iskrę Bożą w łonie pod tą sumiennie wypraną, wykrochmaloną, wyprasowaną koszulą, która niedawno jeszcze była własnością hrabiego z przeciwka przy ulicy Hulaszczej czy Rozpustnej. Miał talent wynalazczy, talent intuitywnego mechanika, nowego Papina (kociołek), czy Stevensona (lokomotywy), talent, który lada chwila, dziś, jutro, pojutrze miał dlań zdobyć rangę i dostojność „polskiego Edisona“.

Dzieckiem w kolebce kto łby urywał muchom i to systematycznie wszystkim muchom przy oknach, ten

mógł w lat kilka potem konstruować mały młynek, który w ruch wprowadzała woda z rynsztoka, ten mógł w lat kilkanaście potem zostać kelnerem, restauratorem i mężem bogatej praczki, zamieszkałej przy ulicy, która słusznie nazwaną była Wesołą, kiedy stały przy niej dwa szpitale i to jeden dla obłąkanych, a nadto i lombard.

Pocóż zresztą dłużej ukrywać tajemnicę Żorża Cyranki; on jej sam nie ukrywał, nie stawiał światła pod korzec, nie gasił tego, co w nim paliło się wielkim płomieniem, nie zalewał płomyków swych pomysłów mechanicznych, ale owszem dumnie i śmiało głosił swą wolę ku lokomocyi, swe tendencje automobilowe, swą głęboką wiarę w nowy motor benzynowy, który kiedyś w majaczącej w mrokach przyszłości jego i jego żonę i jej bębny w wygodnym a wytwornym samochodzie, popchnie do uznania, popularności i sławy.

Płynęły lata za latami, podobne do siebie jak gazowne latarnie ulicy Ochoczej, słusznie dla swych szpitali tak nazwanej. Żorż Cyranka, były kelner, a przyszły Edison przejadał i przepijał mydłem i krochmallem zapracowaną monetę ordynarnej żony. Nie przepijał jako one celniki, które wlewają w zazębione otwory swych bladych twarzy całe spokojne oceany piwa i czarne morza boku i żółte rzeki koniaku. Był wrogiem alkoholów, odkąd pewnego typu powaga naukowa, prawnuk Eskulapa, a daleki powinowaty Wenery powiedział mu kategorycznie, jako każda kropla alkoholu, spadająca w jego żołądek, wydrąży w nim dziurę tej wielkości, że przez nią śmierć wygodnie weń wlezie. Nie pijał więc Cyranka alkoholu, ale za to dużo kawy z kożuszkami, zupy rakowe, czekolady, orszady, wody sodowe z wybrednymi sokami i drogie wody alkaliczne.

Przytem przez dzień zajmował się jedzeniem, a jadł za sześciu i to za sześciu kancelistów, czy też kamelotów, jadł jak smok.

Tylko, że jacy tacy smakosze jedzą gulasz i cielęcą, a on wybierał pulardy i kapłony, a jedząc myślał i medytował nad automobilem o motorze benzynowym, o kolejach parowych, praczkach, kelnerach, zbankrutowanych restauratorach, a myśląc dłużył wykałaczką w zębach. Skończywszy dłużyć, zapalał cygaro i odkładał na bok prześlicznie wyprane manszety (dawną własność barona z pierwszego piętra) i zaczynał grać. W karty? Tak, w karty.

Grywał w wista, winta, maczka, geryłasza, taroczka, preferka i szmendę.

I w tem leżał jego „ból istnienia“, jego „tragedya nieludzka“ jego niesmak do wszechrzeczy, jego smutek, przepożętny rozpaczny smutek człowieka przerastającego otoczenie o głowę... o łysą głowę ze zgarniętymi i zczesanymi na front włosami barwy szarego popiołu.

Co zaś do reszty jego powłoki, to wyznać trzeba, składały się na nią długie kościste nogi, wydęty, obwisający, jak to mówią brzydki brzuch i na długiej, podatnej do wysokich hrabiowskich i baronowskich kołnierzyków szyi twarz, gabineutowa fotografia duszy, a w tym razie harmonijne skombinowanie trzech twarzy: rzezimieszka, aktora, i aktora, który ucharakteryzował się na rzezimieszka.

Godziny popołudniowe poświęcał Cyranka grze w karty, ale za to przedpołudniowe pracom wynalazczym, aby się stało zadość słowom: w pocie czoła żony Twojej spożywać obiady (w restauracyje narożnej) będziesz.

Na małym podwórku, zamknętem z czterech stron

niebotycznymi ścianami, których brudną monotonię klóciły tylko setki brudnych okien, pod małym prowizorycznym daszkiem, stała Cyranki prowizoryczna pracownia, a na środku niej wielki, skonstruowany ze starego powozu samochód, dla którego właśnie od 10 lat dorabiał Żorż Cyranka, mistrz swego wynalazku, swego „patentu“... resztę.

Dziewczęta służebne z trzech piąter trzepały trzcinami spłowiałe dywany burżuazyjne, zupełnie głuchy kataryniarz kręcił korbą, aby z instrumentu szło coś, co mogło kiedyś być jakimkolwiek walcem, szewc bił w kopyta, ślusarzowa waliła plecy lekkomyślnej córeczce, ubierającej się z tajemniczym a modnym przepychem, słowem gwar i hałas podwórzowy, dość zresztą popularny i nie ciekawy, stanowił tło dla nadludzkich wysiłków technologicznych Żorża, który całymi godzinami dłubał przy swoich blaszkach, drucikach, sprężynach, kółkach, kociółkach, paskach transmisyjnych, blaszanych rezerwoarach, manometrach, termometrach, paląc przy tem dość drogie „sygary“ z srebrnym paskiem na brzuszku. Dłubał, wiercił, kręcił, toczył, ciął, krajał, palił, maszynka furczała, syczała, jęczała, piszczała. Dym szedł kręconymi czarnymi festonami z poddaszku, od czasu do czasu coś pękło, coś trzasło, coś się złamało, coś wybuchło, a tylko cztery koła samochodu stały z niewzruszonym spokojem i kamienną powagą, nie wróżące nawet jednego cofnięcia się w tył. Tak bowiem było ciężkie pudło olbrzymiego powozu (dawniej własności krociowego rzeźnika), że nawet lotna pomysłowość genialnego Cyranki nie zdołała kółek cośkolwiek wysadzić ze stanu nieubłagalnej równowagi statycznej.

...Żebyś tak jeszcze i sto wieków nad paskudztwem

„się fiertolił“, przesadzała w pojęciach czasu bogata praczka-żona, tobyś i tak nic nie „skurał“.

...Zamknijże twarz stara brytwanno! cedził przez cygaro starzejący się już mocno Żorż, nie odwracając nawet łysej głowy ku oknu parteru, w którym dzierżąc w rękę amerykańskie żelazko do prasowania, przepędzała pani Kalikstowa 25 rok (jubileuszowy) opierania mieszkańców ulicy, słusznie dla swego lombardu Hożą zwanej.

...Marnujesz tylko czas i pieniądze „bencwale jeden“! Myślisz geometro głupi, że bez koni będzie ci jechało, mówiła z okna.

...Ażebyś se pamiętała poczwaro, że jak jest talent iskry Bożej, to i tak pojedzie bez żadnych koni, ino przez benzynę, albo i kamfina, a może i bez nitroglicerynę z salmiakiem podwójnego potasu i kwas wodorowy z aliażem anorganicznym, a może i *u ha em es o cztery* — łgał bezczelnie, imponując zebrany, jak zawsze koło samochodu dzieciakom, stróżowi, kataryniarzowi, handełsom i lekkomyślnej ślusarzównie, ubierającej się z modnym a tajemniczym przepychem.

...Głupiś ty cały z twoim organowym kwasem. Prędzej ja się na cmentarz powlekę ze zgryzoty, żeś stary taki hycel, zanim ty gdzie zajedziesz na tej maszynie dyabelskiej, mówiło od okna z za obłoków pary, buchającej z olbrzymich balij.

...A powlecż się wielbłądzie jednogarbny, powlecż!

Takie i tym podobne dyalogi toczyły się długie czasy między małżonkami Cyrankami, wnosząc miły, ciepły humor między wszystkich mieszkańce oficyn, potęgując nigdy nie kłamaną wesołość dzieci pana dyrektora banku z pierwszego piętra i rozweselając smutnych.

Filozof z trzeciego piętra, pałacy tytoń w długim, sięgającym do pierwszego piętra cybuchu, uśmiechał się tylko i to silnie złośliwie i pluł od czasu do czasu na dół, starając się zawsze przez dziurę wielką w daszku pracowni technologicznej trafić na „ponsowe“ aksamitne siedzenie niechodzącego samochodu; był bowiem sceptykiem w swej filozofii.

Malarze z czwartego piętra, rzadko co prawda, ranki przepędzali w swych pracowniach ze względu, że „słońce ścierwo w południe bywa wściekle zimne i brudne w kolorze“, ale gdy tylko przypadkowo byli w domu, nie omieszkali wylewać na dół bardzo brudną wodę z miednic i t. p. nieczystości, wzywając zwykle filozofa z 3-go piętra, aby łapał, a pana Cyrankę, aby się rozbierał „bo idzie tusz“.

Cyranka kłął, filozof cofał głowę do swego pokoju, a za nią wciągnął i niebywałej długości cybuch; był bowiem więcej sybarytą, niż sceptykiem. Pewnego dnia spuszczone mu na sznureczku kartkę, gdzie czarne na białym stało napisane:

„Filozofowi „kupa-mięci“ : (dosłownie)

„Próżno się Schwabska chlubią swoim Kantem

„I wciąż piszą o Nietschem,

„Wszak i my umim wszystko puszczać kantem

„Filozofować o niczem...

a równocześnie cały brukowany podwórzec zasypiano różnokolorowymi, pstrymi karteczkami, cennikami i reklamami wszystkich możliwych firm światowych fabrykujących rowery, tryckle, tandemy, automobile o wszystkich możliwych motorach, z wyjątkiem motoru poruszanego „nitrogliceryną i salmiakiem podwójnego potasu i kwasu i t. d.“

Dorastające dzieci bogatej praczki i ojców, „których by i z paczką świec stearynowych doszukać się było trudno“, zbierały wesoło i skrzątnie przepiękne, malowane czasem anonse, na ślicznym, czasem pergaminowym papierze. Ale sam pan Żorż, z początku doprowadzony do spienionych ataków pasyi, następnie jakby zawstydzony i zgnębiony, cofnął się do swoich apartamentów za baliami kochanej żoneczki i dziwnie zasmucony i zgorzkniały zapalił dobre cygaro, kazał sobie ugotować czekolady, byle z jajkiem, albo z dwoma jajkami, byle wnet. Swoją drogą anonse i reklamy skrzątnie od bębnow pozbierał i jak wieść niesie, zamknawszy się na klucz, przez cały dzień i noc nad nimi studyował, martwiąc się i gryząc w duszy, chrapiąc przez sen przy lampie, to znowu chrapiąc jabłka i gruszki, które suszyły się na szafie, jak zwykle jabłka się suszą na szafach.

Na drugi dzień, trzeci i następne znikł gdzieś pan Cyranka z domu pod l. 5 przy ulicy Śmiesznej, wziąwszy poprzednio jak najwięcej gotówki z komody, mimo bardzo zdecydowanego, jaskrawego oporu pani Żorżowej; po trzech dniach wrócił, aby wynalazkowi oddać się z podwójnym zapalem pracy. Dzieciska, jak zawsze, otaczały go rojem, wyrывая mu z pod ręki świdry, pilniki, heble, śrubsztaki itp. Rączy konie pana dyrektora banku, stojące na stajni przy podwórzu, parskwały radośnie nozdrzami, jakby chciały troszkę podśmiewać się z człowieka, który pracuje na podwórzu nad wynalezieniem czegoś, co by je zupełnie zastąpiło. Osiem fortepianów w kamienicy grało równocześnie rozmaite melodye pod rączkami bladych dziewczec o długich pracowitych paluszkach, a pan Cyranka już spocony i jakby zdeterminowany, kłął, przeklinał, aż wreszcie...

...Pewnego dnia przednia para kół z okropnym, nie-ludzkim zgrzytem zaczęła się dość prędko obracać i z niespodziewanym rozpędem pociągnęła za sobą arkę Noego Cyranki i drugą parę kół z gromadką dzieciaków. Pociągnęła, z hukiem przebiegła całe podwórze i z trzaskiem uderzyła o ścianę przeciwną. Cyranka tylko ryknął z radości i tryumfu, popatrzył z bezbrzeżną pychą w okna pralni i pomknął za gotowym automobilem, aby go wstrzymać w szalonym rozpędzie. Przód pudła powozowego był dosłownie strzaskany, motor znacznie zepsuty, ale operacja okazała się możliwą i trwała... pół roku.

Dyrektor banku przez ten czas już i wyprowadził się. Na pierwszym piętrze zamieszkała wdowa po znakomitym garbarzu, kilku malarzy wyprowadziło się, kilku nowych wprowadziło; to samo działo się z poetami, którzy przez ten czas zostali już naszymi znanymi, poczem cenionymi, poczem znakomitymi. Jeden z nich, tylko niestety, nie doczekał się pocziwej nieśmiertelności, gdyż dostawszy obrzydliwej megalomanii, gryzł wszystkich ludzi z otoczenia, wskutek czego do szpitala przy tej samej ulicy Karnawałowej czy Weselnej musiał być odwiezion i wrzucon do oddziału, gdzie panuje płacz i zgrzytanie zębów aż do znudzenia.

Wreszcie pewnego dnia pogodnego obie pary kół zaczęły się szybko poruszać, ale powóz nie wyszedł jeszcze z równowagi, gdy pierwsza para obracała się gwałtownie naprzód, a druga para w tył i w ten sposób obie pary paraliżowały wzajemnie swoje tendencje ku lokomocyi.

Upłynęło znów wiele dni podobnych do siebie, jak tylko pocziwi reporterowie mogą być w swym stylu podobni do siebie, aż wreszcie pewnego razu (także

pogodnego) obie pary ruszyły kilka kroków naprzód i dopiero w środku podwórza nastąpił ogłuszający, straszny wybuch benzyny więzionej w miedzianym walcu. Rezerwoar pękł, filozofowi z trzeciego piętra wypadł cybuch z ust i wleciał prościuteńko do otworu kanału. Wyprowadzona z cierpliwości pani Kalikstowa powracającemu do mieszkania staremu Żorżowi wylała na głowę nibyto przypadkiem, cebzyczek pełny białych, puszystych, piankowych mydlin.

Upłynęło znów wiele tygodni podobnych do siebie tak, jak to sobie z trudem tylko wyobrazić można. Aż wreszcie żółto lakierowany, olbrzymi automobil pomysłu Georża Cyrankiewicza z pośród przelicznej gawiedzi „bez się wyjechał na bramę“, jak się w domu z tryumfem wyrażano „bez dzień cały“.

Na tyle grubemi literami stało pisane: „Amorosisima“, tytuł czy pseudonim automobilu; tak radził gruby, pękaty malarz „scen deserowych“, który w ostatnich czasach zaprzyjaźnił się serdecznie z Cyranką.

Sam nawet malarz deserowy lakierował cały automobil i napis: Amorisissima, za co dostał cztery razy tyle monety, co za zeszłego roku sprzedany cykl obrazów fantastycznych pod napisem: „Człowiek i miłość“.

Ten to pękaty malarz, nadto filozof z trzeciego piętra wsiedli z Cyranką i z zuchwałą śmiałością w automobil i wśród rozpasanych okrzyków, gwizdów gawiedzi, płaczu dzieci, obelg rodziny Cyranków wyruszyli w świat; córki lekkomyślnej ślusarza nie chciano zabrać ze sobą, mimo jej przepyszny kapelusz rembrandtowski z czarnymi i zielonemi piórami i mimo jej prośby i płacze.

Tegoż dnia nad wieczorem hałaśliwy wóz towarzysstwa ratunkowego odwiózł do domu przy ulicy Wesel-

nej trzech panów, którzy wzięwszy na drogę cylindry i cygara, zapomnieli przedtem zaasekurować się na życie i spisać ostatnie swe wole. W godzinę później kilku pijanych, jak zwykle, posługaczy publicznych przytoczyło na dziedziniec „Amorosissime” potłuczoną i pogruhotaną, zażądało zapłaty, wzięło zapłatę i poszło pić w dalszym ciągu. W dwie godziny potem doktor z dwoma cyrulikami, w niczem niepodobnymi do słynnego konowała ze Sewilli, porobił kilka szczęśliwych operacyj i amputacyj, mimo udania których żaden z operowanych nie umarł. W trzy godziny zaś urzędnik pocztowy stanął w progach pralni i przerażonej, ogłuszonej i powiedzmy sobie wreszcie ośłupiałej pani Kalikstowej oświadczył kategorycznie, że „Amorosissima” musi być przemalowana na kolor inny, gdyż kolor żółty jest wyłącznie herbowym kolorem poczt i telegrafów. Urzędy zaś te nie chcą mieć z waryatami nic wspólnego, a publiczności w błąd wprowadzić nie dadzą. Satis.

Upłynęło kilka miesięcy podobnych do siebie, tak, że to trudno plastycznie określić. Amorosissima naprawiona, pomalowana na zielono i przechrzczona na „Atlantyde” znów wedle rady pękatego malarza, wyjechała ku niesłychanej radości zebranej gawiedzi na szeroki świat, wioząc jak ongiś trzech panów w cylindrach, ale już i córkę lekkomyślną ślusarza, która od rodziców przeprowadziła się na front na drugie piętro do dawnego mieszkania profesora uniwersytetu, tego, co to ongiś poślubiwszy posag wielki, napisał dzieło znakomite „O nędzy w ogóle i w szczególnościach”, zgasił świecę i umarł.

Po kilku godzinach powróciło towarzystwo zdrowe i wesołe. Tylko filozof troszkę zwicznął sobie lewą nogę, malarz nadłamał prawej ręki (którą przeważnie

malował II. cykl „Śmierci i człowieka” czyli coś w tym sensie), panna Korynna (recte Franka) zgubiła kapelusz, parasolkę, torebkę, broszkę, kulczyk i kluczyk. Cyranka ostał się zdrowy, cały. Funkcjonaryusz urzędu cłowego w godzinę później przybyły, zażądał natychmiastowego przemalowania „tego błazeństwa” na kolor inny, gdyż urząd ten i t. d. w błąd wprowadzać nie można. Racya.

Wskutek tego Atlantyde przemalowano na kolor brutalnie pesymistyczny; tak rozpaczliwie czarny, jak czarna jest rozpacz murzyna zamkniętego w ciemnicy o czarnym chlebie i czarce wody z Czarnego morza. Nazwano zaś Arabeską.

I teraz. I teraz spotkać ją można czasami nad wieczorem tę ongiś Amorosissimę, Atlantyde, Arabeskę, a w niej ongiś kelnera, a obecnie „naszego Edisona”, jak sycząc i fuczając, kwicząc i bucując, kwapiąc i sapiąc, tłukąc i huczając, jedzie z lekkomyślną córką ślusarza ku nieznanyemu świtom majaczącej przyszłości... za rogatkami, gdzie w pewnej restauracyjce są i raki i pularda i kurczęta i sałatka i czekoladka z dwoma jajkami, której nie czuć tak, jak tę domową z ulicy Ochoczej, Wesołej, czy Karnawałowej... mydlinami.

SZAMBELAN SAR.

OPOWIASTKA.



Przedewszystkiem nikt nie chciał wierzyć w możliwość tak wielkiego faktu w tak małym powiecie. Z czasem jednak, kiedy się dowiedziano, że z Wiednia przyjechał tapicer z czterema pomocnikami, że potrzeba na gwałt ze 100 murarzy, kiedy na własne oczy przekonano się, że magazyn przy dworcu kolejowym zapełniony po brzegi meblami przeróżnego kształtu, owiniętymi w śmierdzącą trawę morską, kiedy pocziwe chamy zaczęły dziwy opowiadać o dwóch parowych pługach dyabelskich, które wczoraj właśnie przywieziono na folwark i o meklemburskich bydłach, wielgich nieprzymirzajonc jak obora, stojących z braku miejsca pod gołym niebem w ogrodzie, kiedy wreszcie ktoś na własne oczy zobaczył jadący z kolei błyszczący wiedeński powozik od Lohnera, zaprzężony w parę kurtyzowanych perszeronów, anglika na koźle, a nowego galicyjskiego magnata wewnątrz, — wtedy uwierzono.

Był wprawdzie w powiecie jeden Michał, który jak osławiony niegdyś sceptycyzmem św. Tomasz, chciał najpierw włożyć palec w bok milionera, a potem dopiero uwierzyć, że pan Saryusz Grzanowski dostał w spadku kragły milion, ale i ten Michał, kiedy w kronice czarno na białem przeczytał artykuł p. n.: „Niebywała scheda“, nawrócił się i nie był w całej ziemi sanockiej niewiernych. Zresztą podobnie konfidenalny ruch jak szturknięcie palcem w bok w obecnych

warunkach byłby niemożliwym, gdyż pan Saryusz powróciwszy ze stolicy po zerwaniu całego bukietu olbrzymiego kwiatów fiskalnych, postanowił odgrodzić się od okolicy. Co prawda i okolica pana Saryusza dość marna była, przeważnie ekonomiczne potomki i expachciarze, o dwie opętane mile dopiero kilka nazwisk. Dotychczas co prawda żyło się i z tym i z owym dość demokratycznie, ale teraz... I to teraz przedstawiało się panu Saryuszowi jak ogromna kotlina pełna złota, w którą on może zejść w każdej chwili i brać złoto garściami, we workach, na wozach, brać, brać w nieskończoność. Ale co z tem złotem robić, jeszcze zdecydowanie nie wiedział. Stał przed Sezamem z otwartymi ustami, nie wiedząc jak się wziąć do Golkondy. Tymczasem jednakże z miasta przywiózł p. Saryusz obok miliona doświadczenie życiowe, nabyte przez dwutygodniowy pobyt, które sobie streścił w sentencji: Mając panie milion guldenów uważać, aby się nie miało drugiego miliona przyjaciół, bo wtedy pierwszy milion pójdzie. Nie była to sentencja ani zbyt zgrabna, ani głęboka, ani świeża, ale taka, na jaką go stać było. Obok tej sentencji, która miała być jego stem na fali nowego życia, przywiózł kuzynka. Wytworny ten młodzieniec, wysoki, blady, z wąsami wystrzępionymi a la Reise-Rede-Kaiser miał dziwnie wąskie inexprimable, a dziwnie szerokie poglądy na świat i ludzi (jak na swój młody wiek). Kuzynek ten „przypadkiem” spotkawszy w hotelu pierwszego zaraz dnia pana Saryusza w mieście, otoczył go prawdziwie macierzyńską opieką, stał się mu niezbędnym reżyserem w inscenizacji miliona, stanowiąc ten pożądany łącznik między skromnym właścicielem ziemskim, starym kawalerem w miarę zdrowym i dowcipnym, w miarę

inteligentnym, w miareczkę wykształconym Saryuszem Stanisławem Grzanowskim a potężną kulturą zachodu. Wzorowy młodzian, wychowaniec OO. T. J., doświadczony i taktowny, szanujący tradycje bez lekceważenia zdrowego postępu, odkrywał mu misterye komfortu światowego i wskazał na drogę, którą wesoło, wygodnie a bogobojnie, nie zaprzędając duszy czartowi i aniołom jego, przejść można przez padoły płaczu do królestwa (jeżeli się oczywiście prowadzenie kasy odda w jego ręce). Przygnieciony milionem pan Saryusz patrzył w kuzynka jak w Pityę, a Pitya siedząc na trójnogu: Bakkarat-Barrison-Bookmacher wróżyła: Saryuszu, jeżeli chcesz mieć dobry kawior astraचाński sprowadzisz go z Odessy wprost od firmy Strogów et Römer... Saryuszu, jeżeli... Saryuszu, wyślej ludzi na kolej jutro przed 7-mą, bo przyjdą orłowskie rysaki z Kijowa... Saryuszu, podpisz ten głupi weksel hrabiemu Y, a będą cię ludzie szanowali i wejdziesz w arystokrację. Kuzynek mentor wróżył, a w państwie pana Saryusza rozpoczynał się ruch na amerykańską skalę. Zdawało się że tu chyba odkryto nowe kopalnie złota, zdawało się powiat cały buduje swoją wieżę Babel powiatową z pozwoleniem Starostwa i po zapłaceniu podatku gruntowego i budowlanego. Tuziny gratis i franko cenników per express przychodziły dziennie. Tuziny telegramów dziennie szły w centra europejskiego handlu i przemysłu. Tylko bez fannaberyi szowinistycznych mój Sar... wróżyła Pitya... nie daj się brać mój drogi przypadkiem na t. zw. krajowy wyrób. Pan Saryusz nie dał się. Pan Saryusz powinien być Polakiem z Europy; zmieniając dwór staromodny na renensansowy pałac z bajeczną szklaną kopułą, zacofaną polską gospodarke na wzorową

fermę angielską, musiał zmienić także swój troglodytyczny światopogląd na cywilizowany kąt widzenia — jak uczyła Pitya. A milion naśladował Stwórcę i stwarzał... chaos. Milioner tracił czasami świadomość własnego obywatelsko-szlacheckiego ja. Kiedy znużony, zmęczony, zbity opadał wieczorem na londyński fotel, tęskną myślą wracał potajemnie do dawnego spokoju złotej mierności. Dokoła piętrzyły się stopy cenników gratis i franco, prospekty leżały na planach, a na prospektach kosztorysy, kartony budowlane, listy i książki. Z kąta wyłaniał się imponujący gmach ogniotrwałej pocieszycielki utrapionych, wspomnienia wierznych, wieży z blachy pomysłu Wertheima. U drzwi dwóch komiwojażerów koniaku francuskiego i węgierskiego patrzyło na siebie, wściekłymi oczyma hyen stojących nad trupem podróżnika po Saharze. Przez okno widać było mrowiska ludzkie, pracujące na łeb, na szyję. Koło plebanii stawiano lukullusowe murowane stajnie z ceglany dachem, asfaltową posadzką i elektrycznym oświetleniem na wzór stajni wyścigowej króla kłosekowego mrs. Astora w Birmingham. Od dworu do dworca kolejowego zakładano przepyszny bruk drewniany w kostkę, tuż pod dworem koło werandy szklanej, ulubionej przez ś. p. matkę p. Saryusza, rozrywało chłopstwo z wandaliczną zaciekłością stary, omszały parkan, burzyło mur. Na jego miejsce przyjąć miały żelazne sztachety ze złotymi głowami, z oryginalnym secesyjnym deseniem — arcydzieło roboty słusarskiej firmy braci Kremsler z Lipska. Polami na przełaj z kolei jechały wozy pakowne, ładowne, a na nich cuda nad cudami: samych angielskich tapet podobno 5 pak, coś ze 20 paczek truskawek, osobny wóz z winami z roku 1874, osobny wóz z 2 lustrami weneckimi

do salonu, z Brukseli kucharz z pomocnikiem, ogrodniczek egzaminowany aż z Bukaresztu...

Tylko gdzie my to wszystko pomieścimy? pytał melancholijnie milioner. Pitya była niema, a raczej zajęta próbkami cognacu. Pan Saryusz wzdychał, zapalał hawańskie i siedł w ogród, jak najdalej, tęskniąc do spokojnego wczoraj, a ciesząc się milionowym dzisiaj, „Staffage europejskie“, „nowości z zagranicy“, „zdobycze wieków“ przestawiały go już interesować. Co dzień tyle tego przyjeżdżało! nim to wszystko przyjdzie do porządku! potem struś się człowiek tym pasztetem, potem ten hałas piekielny, to chłopstwo gapiące się z za sztachetów i drwiące, drwiące bez miłosierdzia. Pan Saryusz siedł w ogród jak najdalej. Ale ot co natrafił. Zakładanie fontanny, jego marzenie z dawnych lat, przybierające realną formę, zakładanie bażantarni, zakładanie oranżeryi, zakładanie sadzawek, zakładanie zwierzyńca. W kościele dzwonią na Anioł Pański, niebo czerwienieje od zachodzącego słońca, chłopczyśko jakieś gra na fujarce, ale tak smutno, że aż łzy w oczach świdrują, wiatr chłodny zaleciał, robotnicy kapelusze zdejmują i mruczą Zdrowaśki, a fontanna do góry strzela, dziś po raz pierwszy. Leci woda do góry i szepce, rozpryskuje się w nowym białym basenie i znowu leci i szepce: Milion... milion... milion. Jutro przyjdzie trójka orłowskich rysaków z 6 ludźmi do obsługi, z drzewem genealogicznym każdego rysaka, prawdziwe szory angielskie, przyjdzie dwóch panów architektów, przyjadą zaraz, coś to jeszcze, aha, zwierzęta do zwierzyńca, 20 sarn, 10 jeleni, bażanty w kojcach, i coś to jeszcze, aha, byłby człowiek zapomniał najważniejsze... te dwie śliczne przyjaciółki kuzynka Rumunki panny Ta-

bes... Tabes... Tabescu... — Co ja byłbym sam zrobił z pieniędzmi bez niego! poczciwy chłopak.

Pan Saryusz wraca do dworu zamyślony poważnie... Trzeba będzie zrobić też coś obywatelskiego... Tak koniecznie, po cichu, żeby on się o tem nie dowiedział, on to nazywa jakoś złośliwie i szydziłby z tego na funty. Tak, trzeba koniecznie. Na pogorzalców i powodzian 500 złr. na wstydzających się żebrać 500 złr., na kółka rolnicze 500 złr., na oświatę chamską 500 zł., na odnowienie parafialnego kościoła 500 złr., na Wawel 500 złr. Tak dosyć, to wystarczy, boby znowu człowiek wyszedł na filantropii, jak Zabłocki na mydle... mydle. Złośliwego echa nie ma, więc słyhać, tylko hałas, gwar, łomot piekielny, z jakim Europa wprowadza się w Lodomeryę. Echa: bydle nie słyhać. Ogłuszony łomotem sanocki milioner, uspokoiwszy sumienie obywatelskie setnymi darowiznami, postanawia jeszcze podnieść wysokość siedmiu wypłacanych na wsi i w mieście alimentów i zjadłszy pół kopy raków idzie spać. Spi w swej sypialni na materacach na ziemi, bo stare łóżko wyrzucono, a nowe ma przyjść w tych dniach wprost z Londynu od firmy: Harry Harrison et Comp.

Spi jeszcze doskonale, chrapie po staropolsku.

* * *

Panny: Róża „Płomień“ i Irena „Filutka“ z rumuńskiej dynastyi książąt Tabescu objęły rządy absolutystyczne w państwie p. Saryusza dnia 1. czerwca r. 1890... ku ogólnej radości obywatelstwa okolicznego. Panowały pół roku sprawiedliwie i wesoło, kierując robotami architektonicznymi, gastronomicznymi, alkoholycznymi

i erotycznymi. Dnia 24 grudnia t. r. nastąpił zamach stanu ze strony: „dieses famosen polnischen Krösus“, poparty wojenną akcją c. k. Sądu obwodowego. Śmiało jednakże okres ich rządów możnaby nazwać złotym okresem, epoką oświecenia u p. Saryusza, peryodem przepływu miliona, a pamięć tych czasów dochowa pieśń gminna. Stary dwór Grzanowskich z całym rojem przybudówek, skrzydeł, werand, stracił fizyognomię nieotwartej wystawy krajowej dla handlu i przemysłu — zagranicznego, a stawał się *modern* kombinacją trzech stylów: nadwiślańsko-szlacheckiego... (stary dwór), galicyjskiego renesansu... (prawe skrzydło z terasą kamienną), i stylu hotelowo-kolejowego... lewe skrzydło z efektownym podjazdem o szklanym dachu, czterema przerażającymi karytydami i elektrycznymi słońcami. Roboty prowadził architekt wiedeński. W ogrodzie zaszły małe reformy, w zwierzyńcu, gdzie swobodnie puszczono jelenie i sarny, chłopstwo swobodnie je pokradło. W ogóle etyczny poziom we wsi zmienił się znacznie. Wszystkie obejścia blisko dworu sprzedawali gospodarze dziedzicowi na park, wszystkie grunta blisko ogrodu także na park i to za grube pieniądze. Parobcy i dziewczki cały dzień boży spędzali koło dworu nibyto pracujący, a Boże odpuść, figlując, gząc się bez końca. Gospodarze znowu cały boży dzień marnowali w Kółku, gdzie dziedzic przysyłał najrozmaitsze frykasy z kredensu, nadpsute pasztety, bażanty, kawitory i zlewki koniaków. Siedzieli i gadali o złocie i o chamskiej doli, o bogaczach i dobrym napitku, o dziwach dworskich i o milionie. A pan Saryusz w opinii chłopstwa rósł a rósł a rósł do tytanicznych rozmiarów jakiejś pra-wszechpotęgi, o której się ciągle mówi w Kółku przy piwie, koniaku i wódkach.

A dwie królowe kierowały sterem rządów. Kuzynek, wprowadziwszy „ekscentryczne subretki“, z medyatywanych książąt z Bukaresztu w pałac milionera, zwrócił uwagę tegoż na Rożę, jej urodę, młodość, żar oczu, czerń włosów, orientalny temperament i wyższe akademickie studia erotyczne. Pan Saryusz onieśmielony, przerażony, instynktem kierował się w stronę Irmy Filutki, ale systematycznie odsuwany od jej towarzystwa, pod suggestywnym działaniem kuzyna, rzekł się jej wreszcie i poddał znacznie starszej Rożie „Płomień“. Stary to ród tych Tabescu, papa udzielny książę w Rumunii (był żonglerem u berlińskiego Renza) mamany, z domu niesłychanie starożytnego... („*Danseuse japonaise*“ w drezdeńskim *Etablisement Excelsior*)... Rozpoczynały się miodowe miesiące płynące Abricointą i Veuve Cliquot. Pan Saryusz, który niegdyś szumiał ale tanio i cicho i dobrze się zakonserwował do piątego krzyżyka, poznawał teraz nowe światy rozkoszy, oceany lubieżności, upojenia i przesady, sarabandy i farandole gorącej krwi, poznawał kobietę Satana, Wampyry, Pajaka, Sfinksa, Venus Bestię i t. p. Potworne robaczki sumienia wypełzały czasem na jego psychę obywatelską, błąd strach osiadał mu na wargach. Tęskne pożądanie dnia wczorajszego ogarnęło go wreszcie kleszczami.

Poblady Saryuszek cieszył się z owych postępów w kurtyzanowaniu czy jak tam, kulturyzowaniu, niech ci będzie panie, swej osoby, ale z drugiej strony smakując po szlachecku w nowych rozkoszach, nie tracił świadomości swego moralnego *décadence* na tle erotycznym, higienicznego *décadence* na tle żołądka i finansowego *décadence* na tle kasy Wertheima i Spółki. Rósł krytycyzm co do ludzi i rzeczy, rósł też scepty-

cyzm, co do szczerości serdecznych uczuć, jakimi obsypywano jego osobę. Żyłka gospodarska wracała. Suchem okiem patrzył na kuzynka i jego „cywilizacyjne czyny“, rankami wglądał w rachunki i odkrywał nowe nieznanne światy oszustw i okradai, „myłek“, fałszów w księgach i rachunkach. Tymczasem kuzynka, który kochał miliony, cierpiał także za nie. Używając nadmiernie i niepotrzebnie chyba kawioru astrachańskiego firmy Strogów et Comp., zepsuł sobie nim swój europejski żołądek i legł na łożu boleści, niemocem używania Irmy, rozkoszy ziemskich, rozkoszy... miliona. Irma Filutka zamiast pielęgnować chorego „*über tausendmaleinzig Geliebten*“, dzień w dzień forsownie spędzała rysaki ku miasteczku, gdzie załogą stały regimenty żółtych dragonów imienia któregoś z carów. To było nieładnie z jej strony — myślał pan Saryusz — kombinując ten fakt z faktem przyjazdu, tak zwanego „brata“ panien Tabescu. Braciszek miał wygląd trochę naprawdę anormalny: nosił czerwone krawaty, kratkowane spodnie, olbrzymi złoty zegarek z baronowskimi emblematami. Przytem palił „Virginia“ bez przerwy, gwizdał na zębach maniakalicznie, przyjaźnił się ze służbą. Siostronie nazywały go raz: Alfons, raz Louis, raz Kitzerl, raz Schatzerl, a raz w irytacji, podczas jakiejś sceny rodzinnej, nawet: Stritzi. Nie, brat absolutnie nie może pochodzić z głównej linii książąt Tabescu, myślał sobie pan Saryusz, to jakieś podejrzané krewieństwo. I postanowił zwracać uwagę na zacne rodzeństwo. Kuzynkę leczył, Irma od kilku dni siedziała w mieście, Roza sprowadzała biżuterię na milionowe konto, brat jadł, palił i gwizdał, sąsiedzi dość często zjeżdżali się na kolacyjkę z szampanem, chłopstwo w karczmach ukła-

dało pieśń gminną i przygodną, o milionie, a milion, wielki milion rozpływał się wielkimi i małymi strumyczkami w dal. Kragłe pieniążki chmarą toczyły się w świat z galicyjskiego zakątka, nie pomagały i nie ocierały łez nikomu, nic nie budowały i nie tworzyły niczego.

Reakcyja musiała przyjść i przysła. Pan Saryusz przychodził do siebie. Przekonawszy się z ksiąg, że koło kroć sto tysięcy gdzieś znikło, przepadło, jak mara senna, że koło czterekroć pochłoneło cywilizowanie się, że ostatni kroć zaczyna się z niejednostajnie przyspieszoną szybkością rozchodzić w małych rączkach Irmy i Rozy, brata i kuzynka, tu powiedział: dosyć, musimy raz skończyć (jak w Mickiewiczu). Matka nieboszczka krupy i kaszę ważyła dla czeladzi, ojciec, świeć Panie n. j. d. o godzinie czwartej wstawał i z chłopami użerał się do dziewiątej wieczór, a on syn, wyrodney stary syn, puszcza teraz taką fortunę, siedząc na wsi panie i z taką panie hołotą. Zimny pot oblał czoło pana Saryusza, zgroza go ogarnęła, zgrzytnął zębami i powziął finalną decyzję: rozpędzić całą koteryę do stu dyabłów, całą panie, no tak, może tylko Irnę i kucharza zostawić. Zresztą fora ze dwora, to jest z pałacu, wszyscy, a przedewszystkiem ta perła, eh nie, jakże, coś on mi winien, ale tego brata, tę Rosę, lokai, ogrodników, 2 jockeyów, pasztetnika, angielskich groomów, nadwornego golarza rozpędzić, wszystko, wszystko natychmiast.

Jak pomyślał, tak i odwagi... nie miał zrobić. Nie wiedział jak rozpocząć akcyę dezynfekcyjną. Ale podjął ją w niecały miesiąc potem c. k. Sąd powiatowy otrzymawszy gończe listy z rysopisem sióstr Tabescu, ich cnego brata i z dużą litanią popełnionych w Budapeszcie i Wiedniu „nietaktów“, „ekscentryczności“ z „włamaniem“.

Obie księżniczki oraz młodego prynca Alfonsa Louisa Stritza trojga odstawiono drogą administracyjną do Węgier do królewskiego Sądu powiatowego w Kisfaludy-Szorosz Hunyadi-Lajos. Obywatelstwo okoliczne trzymało się literalnie za brzuch długie czasy.

* * *

— Wiesz Sar, to było do przewidzenia ta cała awantura, złodziejstwa *en masse* etc. — mówiła Pytya.

— Jakto? — pytał pan Saryusz, myślami krążący koło ś. i błogosławionej pamięci Irmy Tabescu.

— Milion... w tak dzikim... i nędznym kraju... jak nasz — musi działać destruktywnie. Mając milion... można być... szczęśliwym prawdziwie... tylko z a g r a n i c ą, tylko... wyłącznie z a g r a n i c ą...

Mówił i patrzył w Saryusza i badał, czy ziarno padło na grunt podatny — czy się przyjmuje...

...A grunt był podatny.

Pierwszą stacyą była stolica Piastów, gród podwawelski, w którym zwykle na sezon zimowy zjeżdża się dwa kilo godnych potomków kasztelanów i hetmanów, rodziny ukraińskie z fornalkami córek, ogiery obywatelskie na ożenek i... cyrk, podły cyrk.

* * *

Tu w krótkim czasie zostali obaj Grzanowscy popularnymi, sympatycznymi, kochanymi, nieocenionymi. Zajmowano się ich przeszłością i ich planami na przyszłość. Wszędzie widzieli dokoła uśmiechnięte twarze. Rozbili z kuzynkiem namioty w dzielnicy, która miała

charakter polskiego przedmieścia St. Germain w „prastarej stolicy Piastów” i tu postanowili zabawić do końca karnawału. Poczem pan Saryusz miał wpaść na dzień na wieś, skontrolować gospodarkę dzierżawcy pana Jakóba Złotogórskiego (?) poczem dopiero mieli wyjechać zagranicę, by rewizytować Panią Kulturę, która w czas swego pobytu na wsi galicyjskiej z tak niefortunnej przedstawiła się strony. Tymczasem zaś wraz z attachem swego miliona zawiązywał pan Saryusz liczne i znakomite stosunki, protegował arystokrację i karnawałował. Kuzyniu sterował przez wysokie progi, a Saryusz wjeżdżał na salony, na które zwykłemu synowi człowieczemu trudniej się dostać, niżli wielbładowi przez igły uszko. Szczęśliwym trafem zdarzyło się, że tego sezonu koczowały w mieście na gościnnych karnawałowych występach dwie familie hrabiowskie, każda obdarzona zdrową fornalką, t. j. czwórcą córek i pewna jedna hrabina wdowa z dwoma córeczkami bardzo skrofulicznymi, ale bardzo sympatycznymi, wobec czego uważano za stosowne dać przywódcom złotej młodzieży *carte blanche* na zaszczycające prezentowanie i wprowadzanie w zaczarowane koło historycznych nazwisk i takich panów, którzy choć nie z Braminów, ani są w koligacji z Branickimi, ale są dobrą partią maryażową, są gentlemanami, mają wykształcenie salonowe i piękny, o minimalnym dochodzie rocznym 12.000 złr. charakter. Pan Saryusz miał charakter jeszcze piękniejszy, był na Granowie Grzanowskim herbu Wciele, wskutek czego stał się partią sezonową *prima qualité*, takim Saryuszem, który przy końcu sezonu mógł sobie pierwszy swobodnie proponować Księżciu Piotrowi tykanie, a któremu hrabia Paweł swobodnie mógł pożyczyć na raz swą żonę.

...Niepotrzebnieś dał hrabiemu zaraz całe 6 tysięcy... mentorował nietaktownie zirytowany kuzyn. Można się go było pozbyć jakimi dwoma... Cóż z tego że hrabia, że matka jego księżniczka Pizy, no, no, naciąga jak inni. Powinieneś przestać raz być szlachetką z milionem, a zostać milionowym szlachcicem! Szlachetka słuchał, korzystał i dość prędko nabierał swobody, pewności a nawet arogancyi. Jużto arogancja zawsze będzie przymiotem starej rasy, przykładem choćby żydzi. To też kochano go i psuto. W kasynie końskim zrobiono go dygnitarzem, w klubie wyścigowym wydziałowym, Towarzystwo św. Wincentego a Paulo walczyło o niego z Towarzystwem Misji Zanzibarskich, a dwie wysychające bez podlania hrabianki pożądały go jak zbawienia, kochały go jak mamę, papę i Bożę, a kokietowały go, jak się tylko *prima quality* partyę koko kokietuje.

Karnawał przechodził, małe haracze karciane, klubowe pożyczki i karnawałowanie wyciągnęły przeszło półkroć, conto hrabiego i conto jego żony znów przeszło pół krocia. Rezultat finalny: kilkaset wizytowych kart arystokratycznych, paki orderów kotylionowych, kilkadziesiąt ukoronowanych przyjaciół, zaszczytna opinia przyjaciela domu hrabiostwa Piotrów, kilkanaście zaproszeń na polowanie w poście, godności klubowe, turfowe i... tytuł.

Tak jest, pan Saryusz Grzanowski wykazał się tużinami protoplastów i dzięki wpływom został... szambelanem J. Cesarskiej Mości. Po tym fakcie dał bal kawalerski z muzyką cygańską i węgierskimi szansonetkami, 5000 złr. Towarzystwu św. Wincentego i ufundował dwa stypendya akademickie dla uczniów szlacheckiego pochodzenia rodem z ziemi sanockiej na

studya agronomiczne za granicą. Życie towarzyskie nie przeszkadzało mu zresztą wcale popierać sztuk pięknych... a wesołych, literatury... żurnalów mód i cenników win, nie przeszkadzało ocierać łzy biednym... cyrkóweczkom. Pańską fantazją ruszony, sprowadził na przedstawienie „Kościuszki nad Racławicami“ 190 sztuk chłopów ze swoich dóbr i fetował ich przez dwa dni, o czym i gazety dużo pisały. Tak więc i sam używał i innym używać pozwoił, a milion w rękach dojrzałego obywatela nie podwoił się wprawdzie, jak w tych kupieckich rękach nowożytnych żydów Anglików, ale rozchodził się z przerażającą szybkością między ludzi, którym okruchy jego najmniejsze więcej szczęścia przynieść mogły niż szambelanowi Saryuszowi: pałac, fontanna, Róża, kuzyn, hrabina i wielki świat ze szerokimi stosunkami. Pan Saryusz dobiegał do drugiego momentu, w którym po raz wtóry już ogarnęło duszę przerażenie i groza nad własną ciężką lekkomyślnością. Postanowił ratować resztki, wracać na wieś, zerwać kontrakt dzierżawny z tym złodziejem Goldbergiem, gospodarować, zacząć pracę dla społeczeństwa, dla dobra obywateli, biednego panie narodu. Postanowił kandydować na posła, zostać marszałkiem powiatowym, ratować Galicję, Ojczyznę i resztki miliona.

...Oj, to, to, mój szambelanie, pouczał hrabia Piotr, służba krajowi to nasz wielki, święty obowiązek. A komu więcej dane, od tego więcej będzie żądane. I to słuszne, bardzo słuszne. W myśl tej sentencji w dwa dni później zażądał od Saryusza na razie pięć tysięcy na słowo, poczem sobie obaj zapomniawszy o wspólnej żonie, o kuzynku, „pierwszym mistrzu na drodze życia“, o całym świecie galicyjskim i o „naszym

wielkim świętym obowiązku“, w Środę popielcową expresem pomknęli via Wiedeń, Monachium, Strasburg, Avricourt do Paryża, gdzie każdy Polak szanujący się tj. należący do towarzystwa i posiadający resztkę miliona, powinien choć raz na rok być, aby czerpać cywilizację w największym jej rozkwicie, u źródła samego... na deskach Bouffes Parisiennes, u stóp boskiej Cleo de Otero, lub w samym środku u stóp boskiej belle Łabounskaja! No a wtedy boska Łabounskaja miała swoje pierwsze początki, zaczynała karierę nogami, nie była tak otyłą i ciężką, była lekką jak puch pudru i cięła kankana jak archanioł.

* * *

A teraz? A teraz w r. 1909 gdzie szambelan?

A teraz siada Sar przy oknie sztywnie i prosto z niezdrowymi ceglastymi rumieńcami a starannie wychernionym wąsem, w małej ordynarnej cukierni prowincjonalnego miasta galicyjskiego. Jest agentem Tow. Wzaj. Ubezpiecz., ma filię w Śmierdziochowie, dwa pokoiki od frontu z ogródkiem bardzo ładnie zaniedbanym, mnóstwo fotografii, biletów wizytowych, kilka drobnych obrazów, dywan i rasowego doga. Żyje wspomnieniami z niedalekiej przedwczorajszej przeszłości i podłym wiktem z pierwszej restauracji w Śmierdziochowie. Po obiedzie idzie do brudnej cukierni (pamięta dobrze Angielską, Regence Sachera) na czarną kawę, pożał się Bogu jaką. Stracił wszystko i ponad wszystko, bo i zdrowie i humor i siebie. Do cukierni schodzą się figury z miasteczka: hałaśliwi, gadatliwi, ordynarni i głupi w każdym calu. Nie patrzy na nich, nie widzi ich, nie znosi tych padlin. Czyta gazetę, zapala cygaro,

szklanem wzrokiem patrzy przez okno uśmiechając się dziwnie, gorzko, spokojnie... W powiecie ktoś inny został posłem, marszałka wybrali tego co dawniej, kuzynek żeni się bogato w Warszawie, był łaskaw nawet list napisać. Tam gdzieś daleko wre życie, wielkie, gorące, szalone, gdzie on mógł królować. Ludzie bawią się, szaleją, denerwują się, biegną, tworzą, budują, niszczą, żyją. On tu spędzi sobie może i całe życie... on szambelan Saryusz, partya *prima qualite*, Paryżanin... milioner... exmilioner. Czasem oblewa mu szyję zimny pot, rozpacz ściska gardło, straszny żal zaćmiewa i zamruża oczy. Wstaje sztywnie, płaci, czasem spostrzeże w lustrze drwiąco uśmieniętych „panów z miasta“. Wychodzi.

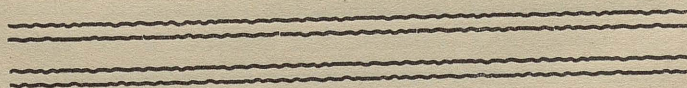
Wraca do domu bezradny, pokorny. Siada w starym fotelu i patrzy godzinami na ścianę ponawieszoną fotografiami... Iza... Irma... Róża... hrabina... Ninetta..., Fanchon... Mimi... ten i ów, w środku dawny stary dwór ojca i matki w Grzanowie...

Patrzy. Łza mu pod monoklem zwisa. Biedny Sar! Żal mi cię!

Oby najbliższa cholera wybiła do nogi całe obywatelstwo Śmierdziochowic, co się z ciebie wyśmiewa! Evviva vita Sar! Coś użył to twoje! À votre santé Sar! Sacreuble!

HISTERYCZNY HISTRYON

SZKIC DO AKTU DRAMATYCZNEGO



Uczyniliśmy go wszyscy „histerycznym histryonem”. Ta ekstrawagancka etykieta jego skomplikowanego aparatu psychicznego była jak wszystkie inne psychologiczne etykiety, przylepione na czoła naszych socjalnych arystokratów ducha, moim patentowanym wynalazkiem. Dumny z niej byłem, jak z tylu innych, np. z Don Jouana Parafii, katolikoliryka, nosorożca nastrojów, itd. jeszcze nudniej.

O pewnym zgietym w kolanach dramaturgu przed 65 laty oderwanym od piersi mamki, powiedziałem: *super bestiam feminam homo*, o jednym nikczemnie tłustym a naiwnym *homo sapi...*ąc, pierwszy bowiem pisał misogyniczne sonety, nienawidził modelek i otaczał się siostrzeńcami, drugi sapał, siedząc przy dekoltowanej kobiecie, choćby była tylko kamienną karyatydą, podpierającą balkon. Androgynestetą nazwałem młodzieńca, który od kilku lat pisał cykl powieściowy pod skromnym tytułem: „Rodzina androgynów”. Więksi geniusze osławionej kawiarni: „Pod pawiem i papugą”, którzy już przepłynęli oceany czarnej kawy, na wyspach ukojenia fejetonowego rzucali kawały nagich dusz w „bezczelnie zmateryalizowane” społeczeństwo i poszli w salony, w mecenasy, w nakładcy, mieli też swoje nagłówki sylwetowe mego patentu, znacznie złośliwsze i dokumentujące lapidarnie moją niechęć do wszelkiego kompromisu z mrowiem filisterskiem, niechęć do ananasów fabrykujących banany

nonsensów dla snobów i snopków. Tak tedy Tycyana Rudla nazywałem Tycyanem Pudlem, Sapaską Archan, gielą-Karyatydą, Sarskiego faunem ze Szklanej góry, Klaka, który pisał stylem zalakowanym anagramistą metafizyki i t. d. jeszcze nudniej.

Jak zresztą wiadomo, sam byłem twórcą teorii o płodozmianie ewolucji duchowych, wynalazłem dogmat sztuki dla nieskończoności i byłem pierwszym, który w szkicowych zarysach postawił na nogi krytykę protoplazmatyczną literackich objawów naszej epoki na posiedzeniu klubu literackiego: Chryzantema, którego organem, jak wiadomo, był: Cyklamen, pismo kwitnące i rozkwitłe pod ręką trzydziestu dziewięciu po sobie następujących redaktorów. Wszystko to jednakże należy do historii literatury, a nie do *affaire* — Gabryel, o której będę mówił wobec tego, że do historii literatury nie mam talentu, jako jednostka wykształcona i historycznie i literacko.

Gabryel Petrowski był jedynym synem ojca Witalisa, który szczęśliwym trafem miesiąc przed wypadnięciem na świat Gabryela opuścił padoł płaczu, plotek, panoram, parasoli, paszkwilistów i pianin i milutkiemu pogrobowcowi zostawił cały majątek (180 pianin, 80 fortepianów, 40 fortissimo-pianów, t. j. organów, nie licząc mrowia fisharmonij, ksiąg handlowych, katalogów, listów zastawnych). Mały Gabryel z podejrzaną wielką głową rósł zwolna wzdłuż, znając swego papę tylko z licznych fotografii, na których stary Witalis zawsze uchwycony z bardzo inteligentnym i sympatycznym wyrazem twarzy w szerokim „szluzroku i halsbindzie“ stał oparty o fortepian, palcem dłubiąc w łańcuszku od niewidzialnego, ale na pewno złotego zegarka. Tak milusim jednakże, jak na fotografii, nie

bywał podobno nieboszczyk Witalis na padole pary, pokuszeń, papierosów, pornografii, paralizy, parlamentów; mama Gabryela, dymisyonowana od impresaryów pianistka, miała zwyczaj „szarówką“ czasem bardzo zgryźliwie i sarkastycznie opowiadać szczegóły biograficzne o założycielu firmy: Petrowski, Petrowska i S-ka. Szczególniej kiedy koło jej pamięci zazębiało się o przykre wspomnienie, jak to „hycel, stary lump i laufer“, nie umiał się „wyznać“ na jej artystycznej półkowie (dosłownie), jak to on „cham, kupiec z urodzenia“ sprzeciwiał się delikatnie jej ogrywaniu fortepianów tak, że czasem tygodniami leżała w łóżku, a „krew jej z nosa szła strumieniem, albo i z rąk i wogóle“, jak to on przed nią oba „Steenwaye“ (Brooklyn) zamykał na klucz, a klucze chował pod słomianki stare, jak to późno w nocy zlatywał na gniazdo rodzinne niepomiernie pijany, głośno oddychający, a co prawda nawet „na welwetowe poduszki łososia, kawior, sardynki oddając, co aż wstyd“.

Kiedy maleńki Gabryelek dochodził już do sympatycznego wieku, w którym dwie służące predestynowane absolutnie „do wszystkiego“, uskarżały się pani na nieskromne gesty panicza, oraz wogóle cały jego sprośny światopogląd, wdowa po Witalisie rozpoczęła etyczną kontrakcję w ten częsty zresztą sposób, że Gabryelkowi opowiadała kolorystycznie, plastycznie, ale apostrofując morałami o oburzających stosunkach ojca w kołach ekscentryczno-kupletowych wiedeńskich u Schwendera, Danzera, o obrzydliwych obcowaniach zmarłego Witalisa z gwiazdami: „Coloseum“, „Odeon“, „Trybadion“, „Alhambra“, „Akropol“, „Olimpion“, „Venerion“ i t. p.

Te i inne fakta zwykła była wywlekać mama Pe-

trowska pod światło gazowych ampli i potem już po latach, kiedy nieodrodny Pogrobowiec, idąc szlakami papy cicho zamykał 6 Steenwayi stojących na składzie firmy P. P. i Sp-ka, aby eterycznym wylewom muzycznym mamy fizyczną, nieprzepartą kłaść tamę i klapę. Choć sam bowiem obok nauk przyrodniczych i filozoficznych, kantem muzyki nie puszczał, owszem oddawał jej się pochopnie, to jednak nie podzielał matczynego protegowania antycznych kompozytorów jak Spetrini, Bellini, Omletti, Tortoni, Materacini, Ricinellini. W każdym calu modern, w światopoglądzie, w erotyce, narkotykach, w podwójnej buchhalterii, w muzyce był hyper-ultra-super modern.

Lubił pedał, Paderewskiego, Parçivala, pas de can-can, Perosiego Puccuniego, Patetyczną, i t. p.

My wszyscy, t. j. kwiat i śmietanka społeczeństwa, poznaliśmy go właśnie w tej epoce, kiedy entuzjazmował się wyłącznie Ryszardem Straussem, liczył już 3 decennia wieku, a jego mama, zatęskniwszy mimo wszystkiego za Witalisem, przeszła na kosmate łono Abrahama. Fotografie ojca w liczbie 27 zawieszono w przedpokoju, a osiem Steenwayów czekało spokojnie i cicho z wyszczerzonymi kłami klawiatur na lekko-myślnych kupców. Były to właśnie świty nowej sztuki na ciemnych horyzontach duchowych, pierwsza epoka assocyacji intelektualnej: Chryzantema, pierwsze zeszyta objawień: Cyklamenu. Pewnego dnia (jak w bajce) stanął u szklanych drzwi redakcyjnych apartamentów (jak duch komandora), wywrócił pełne naczynie, zawsze cierpiącego na chorobę woli nad-naczelnego redaktora i znalazł się (o szczęśliwy!) oko w oko z siedemnastoma geniuszami niegolonymi, którzy z angielską flegmą dyskutowali nad 3-cim sonetem Wyżygalskiego

Anatema, od czasu do czasu rzucając tylko w siebie podręcznymi przedmiotami, a zarzucając sobie wzajem atrofie i anestezyę krytyczną:

— Jestem Gabryel Petrowski, filozof arystokratycznego anarchizmu z Jeny.

Grynszpański, Klak, Oszczerski, Padalica, Tycyan Pudel, etc. i siedemnaście nazwisk, przed którymi drży absolut w obłokach, brutalnym dźwiękiem zmąciło półcienie pokoju (czytaj salonu), pierzchające z wolna a skromnie.

I imperatorskim ruchem złożył Gabryel z Jeny imponujący banknot na stole: na 3 lata prenumeruję Chryzantemę (fanatyk optymizmu!), nadto drugi banknot za inserat dla swego fortepiaństwa: „Petrowski i Sp-ka“.

— Sądze, że inserat jest oryginalnym, zresztą może i nie jest oryginalnym, ale nie o to chodzi teraz, czyż nie prawda? a jeżeli kto z panów ma cośkolwiek przeciwko temu, to proszę, bo ostatecznie coś pośredniego być nie może. — I siadł.

Staliśmy, zapomniawszy o „Anatemie“ i architektonice muzycznej sonetu i o kolorystyce samogłoski *a*, a absolutnej żółtości samogłoski *u*, staliśmy, dziwiąc się jaskrawej energii tego egzemplarza ludzkiego w aksamitnym kołnierzu, stalowych pierścionkach, białych butach i czarnych binoklach. Zimni i bardzo spowici w rezerwę, zaczęliśmy topnieć, słuchając jego rozpasanej, kosmicznej tyrady przeciw mikrocefalizmowi pozytywistycznego makrokosmu, i przeciw dyletantyzmowi specjalistów. Nagle ucichł, jaszczurczym wzrokiem potoczył po areopagu królów bez ziemi, podniósł się i chimerycznym krokiem zmęczonego fakira zwrócił się do mnie:

— „Tyś panie pisał: Philisterę omnipotens. Tak, czy nie, pytam do kroćset. No?”

— „Ja panie” — mruknąłem blade, sztywnym profilem odwracając się do człowieka, który płaci „Chryzantemę” na trzy lata z góry. Kolos rodyjski optymizmu...

— No to krótko i węzłowato jesteś genialny mój panie, ge-nial-ny. I doprawdy, szczerze mówię do dyabła, obraziłbyś pamięć ś. p. ojca mego, gdybyś mnie, przeciętnemu psu nie zrobił zaszczytu mówiąc mi: Gabryelu, wprost Gabryelu, idyoto — powtarzam, Gabryelu — idyoto!...

Efekt ciszy.

— Idyoto! — wyszeptałem głosem pseudo-wzruszonym, zdławionym sentymentem, naśladować stare aktorki w rolach rozkochanych margrabin... — Gabryelu, idyoto, — powtórzyłem i w tym momencie uczułem na swem czole pocałunek suchych, wąskich warg filozofa arystokratycznej anarchii z Jeny.

— No tak, a teraz spodziewam się, że nie odmówią wszyscy tu obecni zaproszenia na dzisiejszy wieczór, powtarzam, wieczór, t. z. godzinę 12-tą wieczorem. Zastaniecie panowie tylko siebie i królowę duszy mojej: panią d'Ernę z parą przyjaciółek. Spodziewam się, że ani *in summa*, ani też *in persona* nikt temu nie zaoponuje. Chyba się przesłyszałem, nie, co, noooo?

I powiesiwszy w powietrzu znak zapytania, zgrabnie zakreślił elipsowy ruch półcyndrem koloru myszki, sięgnął do stołu po grubą ordynarną laskę, owiniętą jednak szczerzo-srebrnym u główki węzem, skłonił się wszystkim głęboko i dyplomatycznie i wśród akompaniamentu niezdefiniowanych słów, pożegnań, dziękowań, obiecywań, efektownie elastycznym, krokiem wysunął się.

Orkan radości wpadł z hałasem i hukiem w pokój redakcyjny. Nad-naczelný redaktor raptownym susem wpadł w tempo bachicznego płasu, a na wszystkich przywódców frakcyj redakcyjnych szła obrzydliwie wielka potęga wesołości; zapominano gestów Hamleta, wielki redakcyjny mag okultyzmu pluł z tajemniczej radości na szyby najdalszego okna: Odkrycie Maece-nesa, Augustus, Juliusz II, podjął tradycje Ludwika XIV, wznowiona Ferrara tu będzie, mamy swoich Medyceuszów, nowy Gonzaga, roi soleil, philosophe soleil, Gabriel słońce, słoneczny filozof anarchizmu... inserat przyszłości... muzyka programowa reklamy... virago d'Erna... pokojówki szatana... dostawca pianin apokaliptycznych... d'Erna omnipotens... Philistera omnipotens.

Wszystkich oczy zwróciły się w kierunku pięknej twarzy pазia Attyli, bicza Bożego na filisterę vastatrix, na mnie.

— *Silence* kanalje, *silence!* Petrowski to epoka, na której zbudujemy synagogę nowej sztuki. *Silence canaille!* Petrowski papież pianin, największy miliarder między modernistami, jest anarchistą między filozofami i o ile wiem, młodzi pachciarze piękna, z ojca strony materyalistą, a po mamie dziedzicznie artystą i filozofem, *in summa* socyal-hermaphrodytą, *in persona* historycznym histryonem, na którego atlasowych, (nie atłasowych idyoci) barkach spocznie blok kamienny naszej sztuki. Więc idziemy?

Idziemy.

Tryumfowałem, gdyż moja „Philistera omnipotens” była tem słońcem, które prostopadłego kretyna, zwykłego sobie filozofa anarchizmu z Jeny i obszarnika od fortepianów oślepiło, rzuciło o ziemię, ewentualnie

o posadzkę, znów podniosło i pchnęło w nasze o kosztowne! objęcia.

„Philistera omnipotens“, objawienie nowej sztuki, podgatunek: pointyilizowana nowelleta z cynicznym schlussefektem. Amen.

Pierwszy wieczór w gościnnym domu Gabryela z Jeny przeszedł w assyryjskiej atmosferze najkolosalniejszego upojenia. Drugi po pierwszym a trzeci po drugim w jeszcze rosnących rozkoszach, gdyż wszyscy rewolucyoniści myśli, nihiliści formy, antierotycy i mefistofelofile, przychodzili w rosnącym komplecie ze swoimi pokojówkami Szatana, a bachanalie i orgie wśród rozstawionych pianin i fisharmonij przechodziły przepychem swych dymensyi podobne fraszki Petroniusza na stawach kalpurniańskich lub reduty markiza Sade w lasku Dyany. Bosko piękna d'Erna, chyba niepotrzebnie przecież lecząca się poważnie u doktora specjalisty od chorób skórnych itp. ubierana była według szkicu genialnego neo-impressyonisty w egipsko-angielski kostyum, zasadzający się tylko na 2 przepaskach na główce i na rączce i długim, całe ciało spowijającym welonie. Zwana szumnie Venus-Isis była literalnie zasypywaną krociem epigramów anakreonycznych oraz erotycznych apostrof; pod jej batutą szły imponujące monstre-koncerty na dziesięć fortepianów, czterdzieści rąk i nóg; ona tylko miała przywilej rozbijania luster i szkła, oraz wlewania piwa w otwarte paszcze pianin, ona jedyna prawo rzucania i celowania widelcami w łusą głowę księcia Gabryela, (tytułowany księciem na wzór księcia Jana Floressac d'Esseintes z powieści Huysmansa i księcia Prospera z noweli Poego). Koło niej, koło tej praprotoplazmy modernizmu, grupowały się nastroje, marzenia, ciemne hallucynacye, sny sonnambu-

liczne, extazy, wizye, delirya. Od jej oczu demonicznego błysku i tajemniczego ruchu rąk zależało, kto z wielkiej sali organów i fisharmonij ma wynieść się cichaczem do gotyckiej sypialni księcia Gabryela i tam cierpliwie czekać zejścia Venus-Isis: wybraniec dnia. Lubiłem tę sypialnię filozofa anarchizmu z jej ciemno-orzechowemi tapetami, szafami bibliotecznymi, zapełnionemi po brzegi nierozciętymi dziełami, z jej starami zbrojami żelaznymi, rozwieszonemi na pokornych drewnianych manekinach. Lubiłem w tej sypialni ciemne zasłony okien, zieloną amplę lampki, wiszącej pod kopią „Szału“ Podkowińskiego i tę kanapę — olbrzym zaścieloną tureckimi poduszkami, między którymi znaleźć łatwo można było to scyzoryk, to kluczyk od zegarka, to wykalaczki, to jakiś notesik, to mały pieniądz miedziany, wszystko wypadłe z kamizelek tu ukrywających się w ciszy, a tam hałasujących od frontu ponad — ludzi. Tu była kaplica Astarty. Tu niemi i wyklęci poeci odzywali się głosem potężnym jak trąby Fortimbrasa, lub kogoś podobnego, tu wieszaly się dywanów różowe słowa miłosne, purpurowe przysięgi szału i okrzyki fioletowe wielkiego momentu rodzącej przyrody, a blade westchnienia zmęczenia. Rdzewiały z wściekłej zazdrości nieruchome zbroice, wielki fotel huśtający z radości niepomiernej wpadał w zachwyt i kołysał się sam, kobieta na koniu Szału Podkowińskiego w rozpaczonym galopie wypadała z ram i szalejąc w przesyczonej opoponaksem atmosferze gotyckiej sypialni, osadzała małego świetnie narysowanego wałacha tuż, tuż nad turecką kanapą, zdyszana, zziąjana, spocona a podziwiająca wygnanych wśród tureckich poduszek syna i córkę Hewy.

Ta jednak Venus-Isis wywabiła też z ciemni, gdzie

szatanki siedzą i czekają wielki dysonans życiowy, fałsz gruntowny w harmonijnej symfonii życia na koszt orzechowych i lśniących czarnych instrumentów. Ona rozbudziła ze snów garbatego ducha niezgody, kiedy razu pewnego (jak w bajce) silnie burgundem podniecona, już czwarty raz wróciwszy z gotyckiej sypialni (byłem trzeci, blady, jak bankrutujący fabrykant papieru), bez słusznej przyczyny ni ztąd, ni zowąd, ni ztamąd rzuciła o głowę Gabryela, interpretującego konwulsyjnie Griega, bardzo wielką, ciężką, jasno palącą się lampę o mosiężnej podstawie kształtu kuli ziemskiej, na której stał nagi człowiek w rękach trzymający rezerwoar z naftą. Pożaru niestety dzięki przypadkowi nie było, nieszczęścia niestety także, gdyż chytry książę Gabryel, mimo wysokiego napięcia artystycznego, instynktem dobrze karmionego samca wiedziony głowę nagle cofnął i głośniejszy tylko krzyknął: Nooo, proszę do kroćset, co za siła — grał dalej.

Byliśmy dostatecznie otrząskani z nadzwyczajnemi, ba nadnaturalnemi sytuacjami, sensacyj bardzo tęgich szukaliśmy i znajdowali je, wiedziało się ile Venus-Isis i jej fraucymer obecny znosi alkoholu, a ile dolce far niente w gotyckich ścianach. Trudno było jednak rozwiązać nam na razie psychologiczną zagadkę jej straszego ataku passyi, pogardy, wstrętu, obrzydzenia, choć byliśmy wszyscy psychologami analitycznymi pur sange, par excellence, prima quality. Było coś z wulkanu w bardzo obrzydliwych słowach, którymi równocześnie go zasypywała, a w których wagnerowskim leitmotivem były porównania ze świata zwierzęcego i *epitetes rares* z kryminalistyki.

Efekt generalny — szepnąłem półgłosem, pragnąc wetknąć koniecznie moją indywidualność w tragedję

dwojga, która się miała rozegrać przed areopagiem „je-siennych liści kultury“. Dopiero teraz zauważyłem na fortepianie, faworycie Gabryela, dwa średniej wielkości naczynia blaszane zamknięte i zapieczętowane, odbijające rażąco trywialną barwą blachy od szklatego połysku fortepianu. Zauważyłem, poznałem i przebaczyłem.

Zebrani antinaturaliści, serafini gardzący materją, cherubinowie nienawidzący bryły, łowcy nieuchwytnych nastrojów, wirtuozi półtonów, młodzieńcy pre-rafaelityczni, kosmogenetyczni symboliści, partenogenetyczni Peraklici, atrydo-monomani, en bloc wzięci znużone dusze nadchodzącego jutra i t. p. nie zwracali wcale uwagi na tak materyalną drobnostkę jak dwa blaszane naczynia, wobec tak materyalnych drobnostek jak flaszki burgunda, Vino de Pasta, Asti spumante, Samos i Cognaku. Potomek patrycyatu stawiał te drobnostki blaszane tylko wtedy, kiedy nastrój bachanalij dochodził do zenitu, kiedy pijane pokojówki szatana kładły się dobrowolnie na fortepiany w pozach przypominających Babilon, kiedy któryś z liryków refleksyjnych krzyczał z kąta kabalistycznie: „Nie patrzeć tutaj“, inny magicznie: „nie przeszkadzać nam“, inny powtarzał sakramentalne: „Omne animal post“... wtedy książę potępionych Gabryel rzucał się do swego faworyta fortepianu i z bajeczną szarżą sentymentu i patosu śpiewał klawiszami Griega: Modlitwę ojca...

W d'Ernie tym razem ceremonia czarnej mszy wzbudziła wściekłość. — Bydle, bydle — ryczała, nie krzyczała, wijąc się w płaczu, krztusząc się łzami, gniewem i obrzydzeniem, kaszląc w gwałtownym napadzie histeryi, pieniać się z wściekłości... — Bydle, potwór, ratujcie mnie, weźcie go stąd, wyrzućcie, za-

bijcie psa, o matko droga, waryat, ratujcie mnie, zlitujcie się zabijcie go! Precz z tobą, won, won, na rany Boskie wyrzucie naczynia, bo oszaleję. Bydle, ty bydle! Przestań! Precz! — krzyknęła nagle zmienionym ogromnie silnym, obcym głosem i omdlała upadła na ręce podbiegających dziewcząt.

Wszystkie beczały. Musotte, Margot, Marion, Uajali, Lora, Lilian, Liana, Katüscha, wszystkie łkały i krzyczały, zaczynały rwać włosy, biły po twarzach uspakajających Hamletów; Sybill upadła zemdlała, Hermiona plunęła w twarz grającego. Inferno.

A Petrowski kończył: „Modlitwę ojca“ przepysznymi akkordami, pozornymi dysonansami dobiegał, wreszcie rozdzierającym wiązania nerwów fałszem urwał, kłapę spuścił z hałasem, wyprostował się i z oplutą twarzą i binoklami szedł elastycznym efektownie krokiem do omdlałej d'Erny, zrzucając i tłukąc po drodze flaszki, talerze, kieliszki.

Ktoś chciał go zatrzymać w drodze, rzucił nim jak piórkiem edredońskim o organy (fason dla kapliczek pałacowych) i szerokim ruchem klęknął przed leżącą na kanapie d'Erną:

...Mylitto ty moja! Pani! Artystko! d'Erno budzę Cię, nooooo! Ja potwór? Ja bydle, pies, następnie waryat i znowu pies i świnia, ja! nooooo dlaczego, co? No, bo przecież do stu par kalesonowanych dyabłów nie dla tego, że modlitwę Griega gram zawsze przed swymi synkami, co?... Trzymał jej rękę jak w kleszczach. Otworzyła oczy swe obłądnie. Myśmy wszyscy stali wystraszeni, bladzi i oczekujący, tylko jeden Wyżygalski komunista i esteta „dostojna dusza“ w każdym calu zlewał burgunda z kieliszków i szklanek w flaszki na zapas, właściwie, właściwie na ciężkie czasy.

Wśród dławiącej ciszy słychać było tylko plusk wina we flaszczce, gorący oddech Petrowskiego i zegar; dziewczęta chustkami zamknęły usta.

„Nooo, moi panowie, ja jestem bardzo grzeczny, ale ostatecznie kto chce wyjść żywym stąd, musi powiedzieć przedtem, czy wolno mi do krośset szatanów stawiać moich niedoszłych do życia synków z uniwersyteckich lat z Jeny na fortepian, czy nie? Coś pośredniego być nie może. Tak albo nie? Noooo? I wstał. Wszystkich oczy zwolna i bojaźliwie kierowały się ku fortepianowi, na których wśród czerepów lampy rozbitej, kieliszków, flaszek, widelców, nut, kwiatów, rękawiczek, sznurówek, bielizny, stały dwa równej wielkości naczynia blaszane z lśniącymi czarnymi napisami: Embryo Remus i Embryo Romulus.

Dreszcz ranny przeszedł wszystkich; obrzydliwy pająk pełzał na ścianie, wreszcie zatrzymał się i zdawało się szyderczo patrzył na całe przedpiekle Mylitty.

— Więc? Mogę?

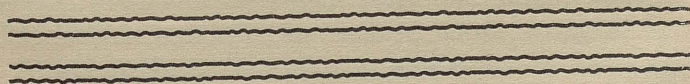
— Naturalnie, że możesz Gabryelu — oświadczyłem sucho, głośno, rozkazującym, obcym, nieznanym, głosem.

A widzisz hurysso, że mogę. Paż Attyli pozwala. — I małe, wąskie, suche wargi zbliżył do jej cudownych pasowych warg. Symboliczny komunista, chował dwie flaszki zlewków na piec, właściwie, właściwie na ciężkie czasy. Czarna msza miała się ku końcowi.

Banalnie harmonijne nastroje wracały.

A z nimi dzień szary, faworyt filistrów.

BAJKA
O KSIĘŻNICZCE
I KARLE



Axel Meyer kaszlnął. Kaszlał od jakiegoś tygodnia najdawniej, charkał zirytowany, pluł, krztusił się ze złości, lecz mimo to nie przestawał palić dziennie do 101 papierosów: „Nora“, nie zaniedbywał zimnych jak lód kąpeli, obluzgiwań całego ciała i powolnego spaceru po zalanej wodą podłodze, co przecież tak mu pomagało do myślenia, fantastycznych medytacji i rozgrzebywania smutku. Spał nieubrany przy otwartym oknie jak młodzi, czujący w sobie nadmiar sił rzeźnicy, przez dzień oblani krwią byków, w nocy śniący o wiotkich dziewczynach. Axel hartował się i pił.

Pił, jak piją nałogowi systematycy, lub ludzie nie mający już absolutnie żadnej deski ratunku, jak zbankrutowani idealisci, rozkochani w swym upadku. Mógł sobie pozwalać dziennie na 10 butelek „Ale“, przytem na brzydki, w zielonym kolorze zwiedły płyn alkoholowy. Już w 20 roku życia przeszedł drogą łańcuchowego rozumowania i naiwnych doświadczeń do wniosku, że nic tak nie systemizuje życia, jak systematyczne używanie alkoholów. Czytał gdzieś, że alkohol to jedyny narkotyk, dostępny dla Europejczyków.

Do bawienia się kobietami, co było także narkotykiem, absolutnie szczęścia mieć nie mógł. Kaleka. Nie można wymagać od kobiet, które spotykał tu i ówdzie w tłumie na ulicach, bulwarach, w teatrach,

kawiarniach i wogóle wszędzie, gdzie kobiety chodzą jak najpiękniej i najwesелей ubrane i uśmiechnięte, aby ich myśl choć przelotnie przemknęła koło jego osoby, jego uścisków, jego oczu, wąsów, bućków, ręki. Był przecież tak strasznie, smutnie śmieszny w swojej karłowatej brzydocie ludzkiego kaktusa. Te kilkadziesiąt funtów mięsa, ta głowa stanowczo za duża do tak chłopięcego korpusu, te w złoto oprawne szkła na czarnym grubym, zatłuszczonym sznurku, no, i to, to z tyłu na plecach, nie tylko razem wszystko nie mogły wzbudzać żadnego pożądania u kobiet, ale sprawiały im wprost fizyczną mękę wzbudzały niechęć i bese optymizmu. Złote blondynki, dziewczątka nie przeczuwające nawet jeszcze jedynej zagadki istnienia swego, swych znajomych i innych, odwracały się na jego widok, z bojaźnią i wstrętem. Dojrzałe, odurzające zapachem czarnych włosów kobiety, patrzyły, nań jako na coś, czego się nie potrzebuje dotykać tylko dzięki losom pocziwym.

Stał więc kaleka w swej zielonej, grubej kamizelce i czarnej jedwabnej koszuli, przy otwartym oknie i patrzył z bezmyślną, głęboką tęsknotą, w swój pejzaż, w jakiś nieskończony zator spiczastych, płaskich, opadających dachów, długich wyskakujących z nich kominów fabrycznych, w krzyżujące się siatki i nieskończone linie pajęczne drutów telegraficznych, telefonicznych, szpilki piorunochronów, w oddali rysujące się wieże teatrów, pałaców, kościołów, wszystko niknące cicho i łagodnie w cień nadchodzącej znów nocy.

Milionowe miasto, grzeszące cnotami głupców, płaczące wielkimi łzami elektrycznych, bładoniebieskich lampionów, szeptało dalekim pomrukiem wielkich placów i bulwarów wieczorną modlitwę do trzy-

kroć potężnego Mammona. Jasna, niepewna luna, lekka, różową kopułą ciążyła nad miastem, nad coraz ostrzejszym i czarniejszym konturem oceanu dachów i wież; jeszcze niektóre grzbiety dachów zdawały się przeciągać i jakby ziewać z przerażającej lotne kominy nudy, jeszcze chudzi poeci dachów, kominy, zdały się wydłużać, rósć w wielką lunę i przyglądać się gwiazdom, nucąc smętnie czarną pieśń pracy nędzników, snując żałobne pióropusze dymów, jeszcze gdzieś błysnęła krwawa miedź uciekających w nieskończoność drutów, ale powoli wszystko nikło w ciemnościach nocy, w różowej półmgle, — w ciszy konania ostatnich światłości dnia.

Axel drgającą ręką kręcił papierosy, mechanicznie jeden za drugim, byle ich jak najwięcej upadało w lakowe pudełko. Bezwładnie patrzył wybladłymi oczyma w ciemniejszą przestrzeń i uczył się nie myśleć. Była zresztą powszechnie w modzie w lepszych warstwach społeczeństw ta nauka niemyślenia np. przez godzinę albo dwie, albo i jak najwięcej godzin; tak bowiem wielu przekonało się o szczęściu bezmyślności a niepokoju ciągłych procesów myślowych. — Axel opuszczał w dno pudełka długie nikotynki i gwizdał przez zęby coś, co nie mogło być nawet popularną piosnką, tak było kunsztownie melancholijne i przeciągłe w melodyi obcej, nieznannej. Wreszcie skończył wygwizdywać ból swych myśli, piosenkę z szóstego piętra i leniwo wyszedł na balkonową terasę, na swój żelazny, wiszący ogród. Wynalazł sobie trójnożny stołeczek przy żelaznej balustradzie i siadł, jakby siadaniem zrzucał z siebie cały ciężar poprzednich smutków z dziwnym zadowoleniem. Siadł i słuchał, jak z niższych pięter, od ulic dochodziły monotonne, urywane melodye starych for-

tepianów, wyszkolony śpiew jakiegoś barytona, syk nadjeżdżających i odjeżdżających tramwajów elektrycznych i przytłumiony, mrukliwy huk oddalonych dzielnic miasta, gwar jakichś niewidzialnych w łunie tysięcy ludzi: kroki ciężkie Czasu.

Zdawało mu się, że miasto umarło, a tylko miliony umarłych z grobów jęczą w przestrzeni. Czuł, że jest sam, sam jedyny na świecie, że jest fikcją, że cała nędza ludzka jest fikcją. Wpatrzony hypnotycznie w lampę elektryczną, wiszącą wysoko nad narożną kamienicą, uczuł dokoła niej ciemność straszną, bezkresną ciemność, mówiącą złym szeptem o tajemnicach życia zmarłych. Balkon terasa tonął w cieniach, ale z opłatających mroków wydobywało się takie mnóstwo przedmiotów, że i balustrady widać nie było: długie płaty skóry, gutaperki jedwabnej, wyprężonych tkanin, miedzianych drutów, śruby motorowe różnej wielkości, błyszczące kawały aluminiowej blachy, rurki srebrne zaścilały całą żelazną, zawieszoną w powietrzu podłogę.

I dopiero z pośród rupieci, żelaziwa i stołeczków, maszynek, piecyków, wsparty na prętach żelaznych dominował nad balkonem wielki, potworny, sztuczny ptak, wielkości przedhistorycznych ptaków — jaszczurów o olbrzymich jedwabnych płaszczyznach skrzydeł, które, jakby baldachimem zakrywały całą terasę i sięgały pod dach domu. Środek terasy zajmował widocznie Daimlerowski motor, maszyna z lśniącej blachy, kółek, pasów i jak wszystkie maszyny, gdy nie jest w ruchu, żałosne i smutne sprawiająca wrażenie. Z za balustrady zwiślał na ulicę potworny, nadęty, zszyty z kawałków różnokolorowego jedwabiu ogon jaszczurów biblijnych z kanciastym grzebieniem blaszanym, który lekko wiatrem

poruszany szeleścił niemiłym zgrzytem o pręty i poręcz balkonu. Ptak aerokab z ohydą głową zwrócony był do mieszkania, głową prawie skopioną z piekielnych monstrów, jakie wymyśliła ekstatyczna wyobraźnia niderlandzkich malarzy z średniowiecza. Końskie szczęki wystające, sarnio baranie czerwone rogi, szeleszczący, blaszany koguci grzebień przez szyję i łeb, szatańskie włochate uszy, długi pałakowaty, aksamitny język, nawet dla dorosłego człowieka całością potworną zastraszającym były widokiem. Wreszcie oczy, oczy sztucznego ptaka, największa, bo cicha дума Axela, musiałyby wywołać okrzyk przerażenia u każdego chyba, ktoby przez szklane drzwi terasy zobaczył głowę potwora, zwieszającą się niezgrabnie z szczebla wysokiej drabinki żelaznej. A w tej głowie żywe, ruchome, głęboko osadzone czarne oczy, ciągle zmieniające wyraz swój, kierunek spojrzenia i siłę, błyszczące co chwila świetlanie i zdradzające iskrę elektryczną, uwięzioną w szkle, zawsze żywe oczy sztucznego ptaka.

Tylko że odkąd garbus, antypatyczny rumianym ludziom z dalszych pięter, wprowadził się do swojego mieszkania, nie było u niego wcale nikogo, nikogo oprócz... „tego wtedy“. „Ten wtedy“ był to, w opowiadaniach ludzi z dolnych pięter, jakiś młody człowiek, który w jednym z poprzednich lat pewnego majowego ranka, kiedy to wszystko, co żyje, nie wiadomo czemu jest tak wesołe, (że zdaje się nawet być pocziwem), wbiegał po schodach wielkimi susami na 6-te piętro do atelier garbusa, a po jakiej godzinie najdłużej, schodził stamtąd, jak opowiadała żona portyera, wlokąc nogę za nogą, jakby wracał z pogrzebu matki lub kochanki z twarzą bladą, błędną i nic dobrego nie wróżącą. To był jedyny gość Axela i to... nieproszony.

Teraz patrzył garbusek w dół na stygnący wir mrowia ludzkiego, rozchodzącego się w przedmieścia i jego ulice, to znowu w terasę, na rysujące się w ciemności kontury apokaliptycznego ptaka... to znowu oczy jego błdziły w łunie. Wiatr cicho zaszeleścił jedwabnymi skrzydłami potwora, które uderzały o rynny dachu, a każdy silniejszy i gniewliwszy podmuch wiatru sprawiał już głuchy łoskot propellerów i skrzypienie blaszanych grzebieni. Niekiedy i potworny łeb odwracał się powoli i sztuczny ptak Axela patrzył na garbusa śmiejącem i złośliwym patrzeniem rozświetlonych iskrą oczu, w których mimo wszystko była jeszcze jakaś łagodność spojrzenia, przypominająca konia, starego, patrzącego na spragnionego i dłonią czerpiącego wodę pana... Bądźże cierpliwy, bądź, mrucał Axel, gładząc wyschłą swą dłonią miękki jedwab wyprężony przy końcach tylnego skrzydła na aluminiowych żyłach... Siódmego dnia nie odpoczywałem, a ciebie lepiłem, mało z glinu, i tchnąłem w ciebie ducha wszystkich nauk, a widzisz, a już wnet po raz drugi powiem ci: wstań Ikar! wstań robaczku skrzydlaty, wstań moje ptasze, potworze, dyable wstań, prześcigniem się po przestworzach, przegonimy słabe orły, powstydzimy jaskółki, a przez bramy eterycznego kryształu wlecimy z jasnym poszumem twych jedwabnych skrzydeł na pola błogosławionych a nieszczęśliwych za życia... Co?... Cieszysz się bydle z benzynową duszą? Przez z czerwonych chmur kręcone słupy, mleczną drogą miriadów dusz dziecinnych, po przez niebiańskie stawiska z wodnemi liliami gwiazd, popłyniemy w pałace z tęczowych ścian i przeźroczystego złota, jak mewy, muskając jedwabnymi twemi skrzydłami nieskończone fale mgieł z westchnień ludzkich powsta-

łych... I tak monotonnym, bezdźwięcznym głosem pieścił się z potworem, którego kadłub i lewe skrzydło nikło już zupełnie w ciemnościach. Świecił małym żarem papierosa, z którego kółka dymu podnosiły się w górę, muskały łeb ptaka, osiadały na uszach, wlatywały w niby otwarty dziób, a czasem jeszcze tworzyły jakby okulary koło oczu raz wraz rozświetlających się, żywych oczu „lkara“. I było już cicho, coraz ciszej dokoła, wiaterek wieczoru lipcowego gdzieś zniknął i pokładał się spać na dachach, ptaszysko na balkonie, jakby zmęczone już figlami niemymi, ani biło ogonem, ani drgało całym korpusem, jeszcze tylko lekko trzeszczało, zasypiało... Axel ruszył się, ostrożnie przeszedł po żelaznych płytach balkonu, zarzuconych rupieciami i wszedł do pokoju. Znów zamyślony, tak jakby ta myśl była jego serdecznym przekleństwem, zaświecał lampę, bardzo starą lampę z zieloną umbrą. W kącie zatrzepotał i ruszył się ptak prawdziwy, ruszył się gwałtownie. Axel podszedł z lampą do drucianej klatki... Aza się niepokoi, czy ma złe sny, hę? Kochanko ty moja, śpij i śnij ścierwo złote sny wolności; przyjdą na twego pana czasy tryumfu. Będziemy pyszni oboje, śmiali, pogardliwi, będziemy lekceważyli i dobrodziejstwami upokarzali, pluli, deptali i pluli i deptali... i pokochamy deptanych, co? Bhraavo! zakrzyczała papuga. Bravo, bravo, kochanko moja, ciesz się, wrzeszcz, zbliżamy się do celów. Będzie widowisko, jakiego świat jeszcze nie widział, straszne widowisko, największy meeting ludzki pod gołym niebem. Pokażemy im, co? Dawniej mówiono: geniusze a karły, teraz powiedzą moby: genialny karzeł, tak genialny karzeł, genialny, wynalazczy geniusz karzeł. Brahaavo! zakrzyczała papuga. Teraz śpij przekłeta bestyo, gnij kanalio

obrzydła, mruczał bijąc brudno-białą papugę laseczką po głowie, śpij śmierdząca małpo, towarzyszek chwil nienawiści, zła karlico śpij. A jeszcze teraz pal, palże, pal! I odchodząc, rzucił pałacy ogarek na głowę papugi. Ptak syknawszy z nienawiści i strachu, skoczył na wyższą poręcz. Gahrrbus! gahhrrbus! gahhrrbus! wrzeszczała papuga z pasyą ordynarnych wyrostków z ulic. Axel oglądając się, stawiając lampę na stole... Teraz śpij stara ulicznico, śpij, jeżeli ci resztki życia miłe i nie krzycz, nie krzycz, bo pójdziesz żywiuteńka w kociołek Papina, naleje ci się wody, zapali gaz i zrobimy papuzią zupe, Aza-zupe z piórkami. Gahhrrbus!... wrzasnęła papuga... Cicho, cicho, zmiłujże się sama nad twojem życiem i siedź cicho. Aza dostanie pomadkę morfinową, jak będzie cicha, grzeczna, pomadkę. Papuga kołysała się teraz z niknącym niepokojem na drutach, uspakajając się i już tylko kiwając miarowo wyłysiałym łebkiem, tymczasem Axel ubierał się. Nasadził na głowę dziwnie śmieszny półcylinder amerykański, szalikiem obwiązał kilkakrotnie szyję i stanął przed wąskiem, długim lustrem, które od podłogi sięgało do sufitu, bardzo antyczny mebel, przypominający zawsze piękne, gładko uczesane kobiety w amarańtowych krenolinach nie mogące w wąskim lustrze ogarnąć wesoło całej swej postaci. W takich lustrach przeglądali się też wytworni eleganci mieszczańscy z 1848 roku. Teraz stała przed nim figurka, wstrząsana suchym kaszlem... Niema co mówić, przystojnym jestem mężczyzną, tylko niezupełnie foremny i harmonijny, ale bo też ktoby teraz szukał harmonii. Nos jest chyba za długi i za chudy, nie przypomina niczem greckich nosów Skopasa, usteczka za murzyńskie, są sobie przeciętnem przeciwstawieniem ust Antinouse, a już ta

zbyteczna krzywizna narośli z tyłu oszpeciłaby nawet młodzieńca Budhę... pfe! pfe! napluć na taki obraz boski, powtarzał w wesołym podnieceniu i pełnym wstrętu wzrokiem patrzył w staro-holenderskie lustro.

Idziemy, dobranoc Aza! dość tej samo-kokieteryi, Dobranoc Herod! Będziecie mnie widzieli aż jutro wieczór, co spowoduje u was słodkie męczarnie głodu, ale tem większą da rozkosz przesytu. Dobranoc Herod! Z pod małego, prawie dziecinnego łóżka wyłaził teraz przeciągając się stary mops o zakrwawionych ślepiach i obrzydliwie wystającej szczęce dolnej. Patrzył z zapytaniem na garbatego dobroczyńcę, podlażł do Axela i począł się niezgrabnie łąsić i przytulać do nóg pana... Herod pragnie komedią wykręcić się od dnia postu? Nie graj bydlę sentymentów, nie pójdziesz z panem, nie, nigdy. Im czulej się łąsisz, tem gorzej dla ciebie, a jakbyś zaczął skomleć, to ci się przywiąże prawą nogę do szafy, a lewą do kantorka i starowina spać nie będzie mogła. A co? Pies patrzył w górę, w twarz Axela, błagającami o litość ślepiami, Aza trzepała się coraz niecierpliwiej, oboje ogarniał strach przed samotnością i głodem... Kochanka i przyjaciół widzę niezadowolonych i to na dzień przed koronacją i wniebowstąpieniem. Ej, bydlęta, dworzanie, nie gniewajcie królewicza z bajki, bo pohulam, słyszycie, po...hu...lam! W tej chwili pies z podwiniętym ogonem uciekał z przerażeniem pod łóżko, ani oglądawszy się po za siebie, Aza przestała nagle kołatać drutami. Jedno słowo tylko wystarczyło do wzbudzenia konwulsyjnego strachu w psie i papudze: „po-hu-lam“. Musiała w tej pohulance leżeć największa w wymyślnościach złośliwość kaleki. — Axel wrzucił do kantorka szuflady plik papierów rozrzuconych po stole, kilka lis-

tów zapieczętowanych wsadził do kieszeni, zaświeceł małą nocną latarkę, zgasił lampę i zabierał się do wyjścia: Żegnam! kiwnął laską ku karykaturze Napoleońskiej, wiszącej na ścianie. Żegnam! kiwnął ku okrągłemu portretowi bardzo przystojnego mężczyzny w stroju cyklisty, nad którym czerwoną farbą grubo nakreślone było: Papa-Don-Jouan-Mima, pod spodem: Tomasz Axel Meyer † 1923. I wśród złośliwego ujadania mopsa i niepokojącego trzepotania rozwściekłej papugi wyszedł, zamykając drzwi frontowe przynajmniej na dwa spusty.

Szedł szybkim krokiem pustymi już prawie ulicami, wywijając zgaszoną tatarką, — szedł w kierunku przystanku niebieskiej linii tramwajów elektrycznych. Na rogach przystawał czasem, aby w twarz zagłębioną blanszowanym i ceglasto różowym znudzonym kobietom, cierpliwie czekającym na pijanego przechodnia. Kobiety, jak zawsze, wybuchały chrapliwym, przepitym, wymuszonym uśmiechem, krzycząc sobie od rogów: bzik idzie. Wpadały w humor i wywijają parasolkami: był przecież dla nich punktem programu przedpółnocnego wyczekiwania. Zawsze o tej samej godzinie z papierosem: „Norra“ w ustach, zamyślony i komiczny przechodził z jednego chodnika na drugi, czasem rozradowany głupawo i krzywiąc twarz w dziwne grymasy, kokietował je swoją laseczką i gwizdaniem melodii z tinglów, transponowanych w b-molach, zeszepeconych smutkiem.

Bzik idzie... filozof, grubas, grubas... Karpiel. Nazywały go Karpiem ni stąd ni zowąd, bez przyczyny, tak, jak dzieci w szkółce bez logicznego psychologicznie związku nadają sobie przydomki. „Karpiel!“

krzyczały na pustej ulicy prawie, otaczając go, jak zwykle, dla figlów, kołem.

...Filozof chodź, bzik, chodź do mnie, karpie ze mną, nie kochasz mnie, skarbie? I jasnymi sukniami uperfumowanymi tanio i fałszywie, przytulały się doń i nastroszonymi kapeluszami kiwały nad głową tak, że różowe i białe pióra muskały mu szkła.

Smutnie, marnie robioną z nudy namiętnością obejmowały go wpół i podsuwały sobie jedna drugiej w zmęczone objęcia i chichotały jak łyse kotki, bijąc się rozpiętymi parasolkami.

Zwykle nie puszczały go, aż póki na którejś z ulic nie zaczerniła się sylweta mężczyzny idącego, jak większość, bez celu. Wtedy cichł piskliwy gwar nieszczerych dowcipów i śmiechu z kanałów, a motyle nocne opuszczały go, nie żegnając ni jednym spojrzeniem. Miały obojętność odjeżdżających znowu komiwojażerek rozkoszy, które nudzą się nawet przegniłym zapachem pieprzności Axela.

I karzeł garbaty zostawał nagle sam. Stał zwykle chwilę chichocząc, czasem krzyczał za niemi jakiś dowcip utarty, obracał się na pięcie i szedł dalej aż do jasnej szklanej budki, gdzie na ławkach wyczekiwano tramwajów. Wsiadł do tramwaju, w którym jak na złość, co chwilę gasło światło, aby znów oświetlić żółtego pana w kącie z pocziwym wyrazem twarzy, przypatrującego się cichej parze młodych z drugiego kąta z miną, jakby chciał mówić: ot kochankowie przed punktem znudzenia się sobą, szczęśliwcy dzisiaj.

Przesuwali się, dudniąc i sycząc ku większym arteriom, bulwarami z wysokich topoli, wyśmiewających swą świeżą zielonością karle szare żywopłoty, które

oddzielały od ulic wille ludzi nudzących się bogactwem i szczęściem rodzinnego życia. Gdzieś tam ktoś wskakiwał do tramwajów, ktoś sapiąc schodził, słychać było zwykłe pożegnania ludzi, którzy wiedzą, że jutro znowu widzieć się muszą i tramwaj odjeżdżał, sycząc dalej.

Axel wysiadł przed assyryjskimi sfinksami Banku agrarnego. Tu ruch panował wieczorny, zbytorny, celowy i bezcelowy. Mężczyźni dumni z czernionych wąsów i jasnych zarzutek, eleganci z monoklami, płaceni za obnoszenie najnowszych fasonów sportowych ubrań, skąpiący na tingle emeryci, kobiety droższe i zachęcające do modnie zielonym pluszem wybitych buduarów, wybladłe, fatalnie grzeszące przeciw naturze wyrostki z cygarami, rozpychającymi ich wąskie blade wargi, starzy łowcy młodych dziewczątek, wracające z teatrów filisterskich śmieszne w swej solidarności spóźnione rodziny, wreszcie najrozmaitsi ludzie z asfaltów: wszystko to powoli, bezcelowo celowo przebiegało w różnych kierunkach. Tłum. Omnibusy przepełnione pochylającymi się do siebie głowami przejeżdżały środkiem ulic, jak po falach głów. Jarząco oświetlone tramwaje niknęły w dali; czarne, wytworne powozy gumowymi kołami dotykały ordynarnego bruku, z trudem uciekając przed przeklętym łoskotem, chrypliwym trąbieniem automobilów i głuźszącym dzwonieniem wychudłych jak suczki rowerzystek.

Przed kioskami państwowych transparentalnych dzienników szukali znudzeni tłumem, widowisk jutrzejszych i telegramów z krain głodu. Z bocznych przecinających ulic wyjeżdżały piętrowe wieże reklam, oświetlone jaskrawo, z ludźmi na kolanach wyjąłymi ochryple przymioty: Atrysinu, gamodolu, tropenu,

kalokagatu, megamaggi, sulamitu eterycyny, sacharonu, fałszowanej żywności, fałszowanych materyi, fałszywych religii. Oświecone kioski gdzieś tam gasyły, by znów się rozjaśnić ku radości uliczników, zapominających o obowiązku pracy złodziejskiej. Tuż jakieś konie, pędzące w galopie, roztrzaskały pudła landary o żelazny słupek. Tłum się zamrowił koło katastrofy, koło wysokiego starego mężczyzny we fraku, wydobytego z landary. Axel patrzył, jak zgrabna czarnowłosa dziewczynka sklepowa, dźwigająca olbrzymie pudło, zwalniała zmęczona co chwila kroku, i już zdecydowana, po trzynastu latach dzieciństwa, ogłądała się za idącym za nią lunatycznie otyłym mężczyzną, o rudych, szerokich bokobrodach.

Axel uśmiechnął się. Od czarnego sukna rozpostartego na przestworzach, obszytego złotymi kółkami, odzepiła się jedna gwiazdka i spadała szybko ponad ulice, za dwie czarne wieże archikatedry katolickiej św. Chryzostoma. Wolnym próżniaczym krokiem, oswojony z tysiącami obcych twarzy, szedł Axel pomiędzy ludźmi, ciekawie gładząc spojrzeniem węzowe kontury sukien kobiecych, twarze nieuginające się, mimo ciężaru bujnych, rozstrzepionych włosów, ręce sciskane czerwonymi rękawiczkami. Egzaltował swe zmysły modnemi, purpurowymi w lakierowanych bucikach, pończochami, o czarnych nierównych paskach, jakimi przemysłne kobiety jeszcze więcej pobudzały zmysły mężczyzn, w jasnych zarzutkach niż słynna trupa: *Tableux vivants* Paxtona, odtwarzająca lubieżne sceny z mitologii buddyjskiej. Purpurowa pończocha była hasłem mody i tytułem powieści najukochańszego przez Europę poety i artykułem handlu, ratującym bankrutujących kupców. Purpurowa pończocha w nierówne czarne paski.

Axel wiedział o tem i tem rozkoszniej wsłuchiwał się w delikatne, miękkie akkordy kobiecych szczebiotów. Miał uśmiech człowieka, który pobłażliwy jest na szczęście innych, nawet cieszy się z serdecznych uśmiechów obcych, bo wie, że na jedno jego przepotężne, magiczne słowo, wzięte ukradkiem z kabalistyki, potrafiłby oderwać wszystkie kobiety od ramion mężczyzn, rzucając je obnażone na jeden wielki stos, sięgający do tamtej bladej gwiazdy na niebie... zasypać stos miliardem czerwonych kwiatów azalii i podpalić wszystko — ot tym papierosem: Norra.

Uśmiechnął się do siebie i swych sardanapalicznych, majaceń karła, tęskniącego wiecznie do miłości, uderzył laską o asfalt — i marzył dalej szczęśliwy, że tłumy odpływają do miejsca niespodziewanej śmierci senatora kupca Milleubaszera. Marzył o jutrzejszym dniu, kiedyto nazwisko jego przejdzie w jednym momencie wszystkie telegraficzne urzędy świata, kiedyto wszystkie redakcje rozkrzyczą się jego życiem i przeszłością, marzył, jak jego imię powtarzać będą miliony nieznanych, dalekie tłumy i ci, co tu jadą w powozach i ci, co siedzą w narożnych, jasnych kawiarniach, co mieszkają na pierwszych i ostatnich piętrach, marzył, jakto imię jego jutro będzie popularnem nie tylko w tem mrowisku domów, ale na całej kuli ziemskiej, popularniejsze w jednej godzinie, niż napoleońskie w stu latach; jakto cywilizacja potknie się o jego wynalazek, by nie ewolucyjnym, ale raptownym skokiem dojść do najzawilszych tajemnic bytu, jakto poeci abnegacyi i filozofowie samobójczej etyki będą na cześć jego śpiewali hymny nowego życia.

Karzek marzył.

...Będę odrodzeniem ludzkości, Chrystusem faktu

naukowego, słupem najwyższym myśli ludzkiej, będę dnem nieznanego, najbogatszego oceanu szczęścia, oślepiającym przed drogami jutra światłem, tronem najwyższej mądrości, Kolumbem wszechświatowych podróży, gwiazdą zaranną, zrodzoną z tego błotnego chaosu. — Jestem Prometeosem, — ukradłem przyrodzie wszechtajemnicę, uskrzydlałem ludzkość, a ludzkość uskrzydłona rozmrowi się i powiąże Saturna z Uranią, Uranią z Marsem, Marsa z ziemią, z miliardem ludzkich mrowisk, plunie w twarz tajemnicom nicości, z meteorów złotych zbuduje na Marsie świątynię, przykryje ją sklepieniem z tęcz, a z świątyni wystrzeli w wszechświat koralowa wieża Babelu. Potem wykryją z plazmy tajemnicę rozrodu, zabiją w sobie zmysły, potracą płęć, zrzucą ciała, zastrzelają się, a ludzkość widzialna, przeklęta, nieszczęśliwa, — zniknie... Przedtem rozkopią wulkany, przedtem przerwą tamy oceanów, obrócą osie kuli ziemskiej, pchną słońca na słońca i będzie: The finisch.

Stał oparty na łaseczce, gryzł papierosa w ustach i śmiejąc się z idyotycznych fantasteryj maniaka, patrzył w ciemną twarz nieba i mrużące się miarowo niezliczone oczy gwiazd. Rzęsy gwiazd spadały i podnosiły się, czasem jedno oko oderwało się od ciemnego stropu i padało z hamowaną szybkością w przestrzenie. Zdawało mu się, że gwiazda przebiegła tuż koło jego twarzy, oświeciła go i znikła, że za nią pójdzie druga, trzecia, że się zaczną odrywać całymi dziesiątkami, całymi rojami i padną tu na ulicę, na asfalt i będzie je można podnieść takie lekkie ośmioramienne, nie większe jak koło wozu z niebieskiego szkła z lampką, ukrytą w środku, a inne sturamienne jakby z zielonego lodu, a inne z żelaza rozpalonego

do żaru, ciężkie; inne stokrotnie nalepione gęsto świętojańskimi robaczkami, a inne wielkie bańki mydlane z iskrą elektryczną w środku. Zdawało mu się, że te gwiazdki zaczepią się u gałęzi kasztanów, zawieszają na drutach telefonów, kapeluszach kobiet, szyldach sklepów, zaścielają całą ulicę, że będzie taka rozpaczna jasność, powietrze takie świetlane, taka niebieska biel będzie biła od leżących gwiazd, że ludzie otumanieni i odurzeni sztywnie, jak drewniane figurki będą padać twarzą na gwiazdki i spalać, stopią się jeden po drugim. Śmierć światła zniszczy ludzi.

Marzył bez kontroli rozsądku i patrzył w czarny aksamit nieba. Patrzył w białe ciała gwiazd, które odpoczywały na aksamicie nieba leniwie rozciągnięte i tylko drgając niekiedy od snów pożądliwych rozkoszy, podnosiły w górę nieprzeliczone szeregi białych ramion i opuszczały; jak mleczno-białe dziewice przeginały w rozkosznym takcie ciała, odskakiwały od aksamitu, zbiegały się w koła, węże i figury i rozpoczynały kosmiczny tan. Niknęły, gasnęły i rozświeślały się na nowo, wznosząc do góry liliowe ramiona, formując olbrzymiego węża, którego białe pierścienie rozpadały się i kółkami zaścielały całe niebo. I znów srebrne nagie dziewice zbiegały się w jeden krąg, by z rozszalałą szybkością rozwijać się w przedziwne arabskie desenie. Wreszcie krocie kół kobiecych formują wielki krzyż, ginący czterema ramionami w horyzontach, ciała srebrne zaczynają się plątać, obejmować wzajemnie białymi nogami, zaciskać rękoma koło piersi, srebrne rzęsy opadają im na koralowe oczy, świetliste głowy ciemnieją i skłębione, poplątane ciała nieprzejrzanymi miriadami srebrnych kobiet wielką matową rzeką płyną, płyną i spływają zwolna w otchłanie.

...Czarny aksamit nieba drga jeszcze cały od nieprzeliczonych rozszalałych nóg gwiazdzistych tanecznic, poczem fałdy rozciągają się i czarne przestworze znów wygląda, jak bezkres, nieskończona kopuła, ciemna i tajemna...

Garbus drgnął. Dwóch mężczyzn o kilka kroków pokazywało go sobie palcami, rozmawiając głośno w obcym języku... Takiego sylwetę, czarną z podwójnym konturem, byle garb wyszedł, zagapionego w niebo, a na niebie gwiazdami pisane: „acetylentynit“ na dole komin fabryki i firma. No nie wrzeszczy to do oczu, he?... Drugi w cylindrze kreślił paznokciem w powietrzu, patrzył złośliwie na Axela i kiwał głową potakująco.

W Axelu zawstydzenie i wściekłość falą krwi płynęły na twarz. Ruszył się prędko naprzód, przeszedł koło nich niepewnym, z nerwowej irytacji krokiem, odwrócił jeszcze głowę i zmałym głosem mruknął głośno.

...Dodać embryona kochane kretyny powieszonego na krzyżu... I szybko wmięszął się w dość jeszcze wielki zator ludzi na rogach dwóch ulic, poczem wszedł w ogródek z jasno oświetlonymi kasztanami, przepełniony gośćmi przy stołach. Po kilku szerokich schodach wszedł do wielkiej restauracyjno-kawiarnianej sali, gdzie w rogu, pod wybladłym obrazem, przedstawiającym „polowanie Dyany“, zbierała się od dawien dawna, co wieczór garstka ludzi, w średnim wieku, o przeciętnych fizyognomiach, których ktoś z szachistów, grających zawsze przy sąsiednich stołach nazwał dość dziwnie: klubem mikrocephallusów.

.....

Lokal miał szyld międzynarodowy „Alkazar“, obsługę

męską i reputację taką, jaką w mniejszych warunkach mieli jego goście; tu bowiem zbierały się redakcje kiku anarchistycznych świstków, tu artyści z cyrków i warieteteatrów, tu najślawniejsi szachiści, bilardziści i szulerzy z całego świata, tu wreszcie klub „mikrocephallusów“... i jego członek Axel Meyer, syn Anzelma Tomasza Meyera, człowieka sławnego z kobiet, jakie posiadał, z talentu aktorskiego, z dziwactw, z orderów.

W ogródku „Alkazaru“ grała orkiestra walc o melodyi tak szarej, monotennie ekscentrycznej, jak życie tych muzykantów. Biegały obsługujące w ogrodzie kelnerki w czerwonych bluzkach, a spodniczkach tak żółtych jak twarze ich profesjonalnych kochanków, kelnerów z sal. Gromadka dzieci stała przed pawilonem z muzyką i maleństwa, nie oswojone jeszcze z otoczeniem, zmęczonemi oczkami wodziły za rękę chłopca, bijącego w bęben. Inna gromadka uganiała za chudym psem i chciała mu przybić ogon do deski. Inny pies, doprowadzony do histeryi, biedny, chudy dog, nienawidzący muzyki, faworyzowanej przez ludzi z ogródków wyciągał szyję i wył przeciągłym falsem. Tony skrzypiec boleśnie wpijał mu się w mózg i serce, a z psich oczu padały na żółty piasek łyzy bezsilności wobec tych muzykantów w czerwonych fezach, podnoszących indyjskim stukotem serdeczny nastrój spoczonej burżuazji.

Axel wieszał pelerynkę gumową na wieszadle u drzwi, powolnem, pogardliwem spojrzeniem przeszedł cały ogród, poczem całą amfiladę jaskrawo oświetlonych sal, wreszcie przeszedł na lewo do rogu pod polowaniem Dyany, gdzie przy dość wielkim stole było już prawie pełno i tylko dwa miejsca jeszcze miał wolne.

...Kiepski wieczór panom! Niech będzie pochwalony Budha, bałwan samobójców! Oby dziś wreszcie deszcz kamienny spadł na głowy najdroższych naszych braci i synów.

...Amen, odpowiedziało mu kilku. Inni nie podnosili nawet głów od gazet, w które się zagłębiali. Przed kilkoma stał opalowy, żółto-zielony absynt w długich wysokich szklankach, przed innymi ekscytoryt lub forsan. Jeden ssał długą słomką plazmol z ogromnej szklanki.

...Apyst z cytrynką zamawiał sobie Axel... towarzystwu po pół szkła alkoheletu. Z nad gazet podniesiono ciekawie głowy.

— Garb-Meyer stawia, karzeł dostał schedę. Wściek się? Kochanka cię okradła? Strzelasz się może? pytaniom nie było końca.

— Stawiam, bo mi się podoba, kto niechętny, lub ciekawy, dlaczego, może mi wetknąć palec przez ucho w mózg, a przekona się, żem zdrow na umyśle. A co do doktora specjalnie, to ten rozumuje, że tylko jego kochanka okradła go na korzyść jego lokaja, z którym jeździła do morza, podczas kiedy doktor w szpitalu dobijał kiepskimi receptami zdechłaków...

...Wnioskowanie z wyjątków na regułę.

...Ekscentryczny idyotyzm!

...Moje kochanki obchodzą tylko mnie...

...I twoich lokai.

...I przyjaciół ich.

...I znajomych tychże przyjaciół!

...Kretyn rogaty a łysy. I ożywienie wstąpiło w towarzystwo, zaczytane w dziennikach.

...Yokohama się pali!... wrzasnął z nad gazety otyły brunet z blizną przez całą twarz i szyję.

...Od dwunastu godzin — sentymentalny szulerze — od dwunastu godzin. Wysadź się terpentyną z twojemi nowinami.

...Gdyby pan chciał zostać reporterem, przynajmniej tak genialnym, jak Szymon Słupnik, toby pana pierwszego dnia zrzucili tylnymi schodami z dyrekcyi.

...I wykadzili za nim assafetydą.

Staruszek, zwany Szymonem Słupnikiem, siedzący, jak zwykle, pod marmurowym czerwonym słupem, poruszył się z za gazety.

...Jeżeli dzisiaj ma znowu panować nastrój pseudo-koncepciarski, to napluję każdemu w duszę i przeniosę się vis-a-vis do Anetty. Widzę, że ona lgnie do mnie nanowo, a wy zaczynacie być nudni, jak stare symfonie... Kilku rozśmiało się.

...Jeżeli słuchaczowi nie podoba się przy naszym stole, może wleźć pod stół, a my mu tam Anettę poślemy.

...Szumowiny wielkowiejskie!

...Pianka morska na szumowinach. Nieudały lingwista!...

...Już dość, nie mówię nic, tylko mnie nie obgryzajcie. Przepraszam. I białym kościanym grzebykiem począł przyczesywać farbowaną na rudo siwą bródkę.

...Kokiet, Don Jouan Lir.

...Potężnybyś zrobił efekt, Słupnik, przebrany na Lonę Lison. Zrób nam to kiedy, rozczesziesz bródkę, włożysz żółte trykoty na zwiedły akt, ażurowy płaszczyk z czarnych koronek na plecy i zatańczysz na stole rumuńskiego kankana, co?

...Śpiewając ojodolidola, dolaolili, dolaolili.

...Dolaolili zamruczeli wszyscy chórem, przykładając do nosów po pięć rozłożonych palców.

...Dolaolili, doladolali! doladola... li!

...Na weselu Pipermentu z Herminetą Basker to zrobię, — syknął złośliwie Szymon Słupnik, i wszystko przy stole wybuchnęło szczerym śmiechem ludzi rozradowanych czyimś pogromem.

...Już 7 czy 9 razy prosiłem godne towarzystwo, aby imieniem mojej anielicy nie wycierało sobie żółtych zębów. Za 11-tym razem osobnikowi, który odważy się poniewierać w tej kanalicznej atmosferze czcigodnej tej dziewicy z za morza, wbiję w łokieć scyzoryk. Wybierajcie.

...To ja wybieram z tego wszystkiego pocziwą Herminetę Basker, jeżeli oczywista ma jaką godzinę wolną... mówił powoli Szymon Słupnik z odważną intencją doprowadzenia do wściekłości pana, który był dzierżawcą Hermi Basker, szansonetki sławnej z wydatności ud i wąskości w pasie. Wielka peruka pana tego, zwanego Pipermentem, robiona na wzór kompozytorów muzycznych, leżała obok jego papierošnicy i okularów na stole.

...Jak pan będziesz wogóle grał wielką miłość, to się panu peruczkę podpali papierosem — i blondyn z kwadratową głową komików sięgnął po perukę.

Piperment spokojnie uprzedził go i z wielką flegmą wkładał perukę na głowę; był łudząco podobny do Berlioza.

...Pal dyabli waszą Herminetę, bierzcie ją wszyscy, wracam do gazet... Przy pobliskim stole ktoś buchnął serdecznym śmiechem na ceremonię wkładania peruki. Piperment popatrzał na śmiejącego z pasyą.

...Śmiech nie zawsze jest oznaką zdrowia, nieprawdaż panowie... mówił spokojnie podniesionym głosem.

...Przeważnie głupoty... dodał Axel równie głośno.

...Zawsze głupoty, dzikiej głupoty i bydlęstwa... powtarzali wszyscy głośno i solidarnie prowokując. Męczyzna obcy zażenowany i zły z nabrzmiałymi żyłami na skroniach patrzył złowrogo na stół pod Dyana.

...Bezczelnej głupoty normalnych samców... powtórzył ktoś jeszcze dobitnie. Inni przerzucali spokojnie dzienniki z obojętnością, nie oglądając się nawet za człowiekiem, któremu zarzucili głupotę, skombinowaną z bydlęstwem.

I tak bywało zawsze. Grupa tych ludzi stawiała się tylko wtedy bardzo solidarną i klubowo przyjacielską, kiedy ktośkolwiek z nich był w czemkolwiek narażony na nieszczęście. Wtedy zapalały się ich umysły, jątrzył dowcip, otwierali portfele z pieniędzmi i pomagali zagrożonemu. Zresztą dogryzali sobie do desperacji, wydrwiwali wzajem bez litości i podobno jedna kobieta piękna byłaby w możliwości, wstąpiwszy w ich koło, doprowadzić tych zbankrutowanych na rozpustach, a wiecznie łakomych wyższej miłości, do najstraszniejszych wzajemnych intryg. Byli to bowiem przeważnie próżniacy z kapitałem bez zajęcia, sybaryci żyjący tylko życiem gazet, widowisk, skandalów, sensacyi, nie znający żadnej rodziny, ani swojej, ani obcej, zblazowani od kilkunastu lat trwającą manierą wiecznej konceptomanii, wiecznych złośliwości aktor-skiego stylu, wiecznego „plucia w duszę“.

Świętem rodzinnym stołu pod Dyana było od czasu ogólne wywlekane najobrzydliwszych własnych brudów rodzinnych; wtedy każdy przesadzał i starał się drugiego opowiadanie zaciemnić jaskrawością rzekomych skandalów w własnej rodzinie. Każdy opowiadał niesłychane i nieprawdopodobne melodramaty

seksualnie i z najbliższych mu robił kryminalistów i patologów.

Rozmyślnym trafem najbliższe stoliki stołu pod Dyana, zajmowane przez kilkunastu zdolnych szachistów, były jeszcze tak daleko, że nie zupełnie można było słyszeć w całości ich rozmów. Inaczej bowiem byłaby obawa, że młody człowiek, wracający od kochanki, siedząc przypadkowo w pobliżu nich, łatwo dostałby obłąkania, inny zostałby zbrodniarzem, a inny straciłby może cierpliwość, i rzuciłby im na głowy błat z masy, imitującej czerwony marmur. Tak byli obrzydliwi i nie przeciętni, tak konsekwentnie pozowali na oryginałów.

Stawiano przed wszystkich buteleczki alkoholetu i szklanki. Na dworze zaczynała się lipcowa ulewa z niespodziewanie wypełzłych chmur. Tłumnie chłoniono się do sal, uciekano przed deszczem z pośpiechem, mówiącym o ubóstwie i szanowaniu ubrań. Wchodziły większe i mniejsze grupy ludzi, znoszono wszystko z ogrodu, szukano miejsc. Wystraszeni muzykanci w czerwonych fezach, z podniesionymi kołnierzami fraków, nieśli zmoczone trąby. Ucieszone dzieci z hałasem wbiegały do sal bilardowych, psy z ogrodu obwachiwały psy śpiące przy stolikach panów, grających w karty. W salach zaczynało być rojno i gwarno; wtargnął tu jakiś żywioł inny, niższy, chcący się bawić z hałasem, ograniczający się zwykle na ogrodzie i muzyce Alkazaru. Żywioł ten witany był niechętnie i prawie nienawistnie przez apokłotycznych panów przy kartach, przez gorączkowo rumianych bilardzistów i kibiców, wogóle przez codziennych gości, uważających Alkazar za salon swego mieszkania, znających po imieniu 16 pikkołów, znających dochody i wdzięki kelne-

rek z ogrodu i beczelną uniżoność bogatych kelnerów. W atmosferę, przepojoną smrodliwym zapachem mocnych tytoni, wnieśli ci obcy ludzie wilgotny zapaszny smród zmoczonych sukien i bardzo bezmyślnie rozweselone twarze.

...Chipawaye idą na nas, — mówił wysoki, łysiuteńki pan z spiczastą czaszką z pod Dyany, odznaczający się dziwnie białymi, alabastrowymi rękami, długą bródką i długim wąsem co wszystko robiło go niezmiernie podobnym do Don Quichota. Społeczeństwo zajeżdża na salę i zostawi tu tak obrzydliwy zapach nędzy, że nie będzie można dłużej wysiedzieć!

...Przypomną się dziecinne lata.

...Niech Antychryst zatrze z mojej pamięci wspomnienia.

...I tak masz już startą przez solidny, nocny żywot.

...I przez morfinę zapomniałeś mu dodać.

...Kto powiedział, że się morfinuję, jest profesjonalnym oszczercą.

...Daruj, ale twoja kucharka zdradziła się z tem przed lordem Koko, że ci wstrzykuje morfinę raz na dobę. Nieprawdaż Koko?

Młody człowiek, do którego było zwrócone pytanie, potakiwał głową rudą, nie przestając czytać. Morfinista Don Quichot pił ze złością nie słuchając.

...Gdybyście zachowali się ciszej, wyłożyłbym wam dziś ostatecznie moją metodę rozbicia loteryi państwowych, ale szkoda, gdzie tam znowu dla mnie i dla moich wywodów nie ma tu miejsca.

...Bojkotujemy kretynizm.

...Każdy swoje rzeczy obgaduje tu całymi traktatami. Aureliusza słucha się godzinami, jak magluje swoją metafizyką...

...Przepraszam, proszę mnie wcale tego nie wciągać do dyskusyi.

...Nikt cię, cymbale brzącały nie wciąga.

...Uderz w nogę od stołu, a zardzewiałe nożyce się odezwą.

...Nie wywołujcie wilka z gazet.

...Pozwólcież mi przyjść do słowa. Słupnik całymi dniami opowiada nam najobrzydliwsze blagi o strejkach, załgiwa się do krztuszenia wojną angielsko-chińską, Meyer wyklina kobiety i bredzi o ptakach, Piperment łące o rulecie, no, wszyscy... a kiedy ja na dzisiaj zapowiedziałem mój traktat ekonomiczny o rozbijaniu loteryi państwowych, to wszyscy czytają bibułę reporterską, Meyer płaci narkotyk, to znaczy, będzie miał długą mowę... i ja znowu dzisiaj nie będę czytał...

I otyły jegomość w fioletowej, rażącej krawatce, sapiąc z irytacyi, stukał palcami o stół... Tu się nigdy nie doprowadzi do niczego, rulety stoją otworem, miałem na nie metodę, nie wzięliście jej, ewangelię chaldejską ilustrowaną chciałem wydać przepysznie wspólnym kosztem, nie chcieliście, mieliśmy założyć łożę wolnych mularzy nie chcieliście, lord Koko miał dostać obłąkania i udawać przychodzącego Antychrysta i byłoby się go pokazywało za grubym wstępem, nie chciał. Do kanału z taką egzystencją. Zaczyna być piekielnie nudno między nami.

Mówił i patrzył w pstro szary tłum siedzący i stojący przy stolikach.

...I będzie jeszcze nudniej, jeżeli młodzi tak wszystko zagarniać będą dla siebie. W świecie ducha za dużo teraz, uważacie panowie, młodych i młodzieńczego pierwiastku. Co? Poco? Na co? Młoda Europa banalizuje się okropnie, powtarzam po 113 raz. Nadchodzą czasy

reakcyi literatury politycznej, malarstwa ludowego, muzyków monstrualnych, nadchodzi amerykańizm wszędzie. Do dojrzałych należy jutro.

...Dość, dość, sto razy, bójże się pan dyabłów, powtarzasz pan katarynkowe komunały. Co kogo obchodzą pańskie stagnacje duchowe, impotencje artystyczne, głupstwa jakieś. Co pan nam tu ciągle wyjeżdżasz z amerykańizmem.

...Chociaż co do amerykańskich ludzi, pełnych kinematograficzno-kinetycznej energii, to ma rację.

...Wogóle pełnych inicjatywy i ryzyka, grandiozności idei, to zgodziłbym się zupełnie z nim. Na przykład ja... I pulchną rączką potrafił niezgrabnie pełną szklanekę płynu siedzącego przy nim aktora, który zagłębiony w bardzo małym pisemku, do nikogo słowem się nie odzywał. Opalizujący, biały płyn rozlewał się we wszystkich kierunkach.

...Skandal! — syknął raczej niż zakrzyknął czuły na dystynkcyę w ubraniu aktor, — wyraźny skandal. Pano-
wie, to bydlę najwidoczniej mnie prowokuje. I jakby atropiną zapuszczonemi, szklącemi oczyma powiódł po zebranych z oburzeniem.

...Ten profesor kleptologii bankowej myśli, że złoto może wylewać z szklanek.

...Wznowiony Krezus.

...Archimistrz łoży mularskiej.

...Morderca tłumów.

...Barnum Antychrysta...

I jak z rogu obfitości zaczęły się sypać bardzo obrzydliwe wyzwiska na tłusciucha, który, jak to wszystkim było wiadomem, zebrał półmilionowy majątek na hotelu, faworyzowanym przez samobójców każdego stanu i wieku. Z czasem hotel ten stał się już prawie

wyłączną specjalnością znudzonych walką z życiem, nazwano go Hotel-Mors, a dorożki nie podjeżdżały z gościem przed hotel, ale wjeżdżały w sień. Człowiek wysiadał, wypełniał certyfikat poświadczający samobójczą śmierć i szedł zapłaciwszy z góry rachunek do swego numeru. Pokazało się, że ci, którzy całe życie płacili wszystko z niechęcią i ze skąpstwem, tu dawali nadto magnackie napiwki, a obsługujące pokojówki ściskali ze łzami i wzruszeniem parafian, trzymających do chrztu pierworodki. Otyły jegomość w fioletowej krawatce dał sobie dopiero wtedy zamknąć swój Hotel Mors, kiedy cyfra samobójców doszła do 5000 sztuk, a jego majątku do 5,000.000 i więcej. Wtedy to sprawił ucztę, na której po raz pierwszy zebrał się w komplecie klub demonicznych mikrocefallusów.

Aktor zabierał głos, prosząc z dystynkcyą o ciszę... Na jedno zgodzić się muszę, o ile panowie pozwolicie, z tym epicierskim Hamadryasem, jeżeli to panów nie drażni, z tą czerwionną kreacyą w fioletowej krawatce, to jest na to, że szanowni panowie niepotrzebnie wbiacie te okulary w reporterską bibułę, bo i tak nic ciekawego się z nich nie dowiedzie. Świat, darujcie mi to powiedzenie, jest nudny. Tu i tam wystrzelają po tysiącu robotników, tu i tam sadzają anarchistów na elektryczne foteliki, tu i tam aresztują senatorów po separatkach z Ganymedami, ostatni królowie dostają bzika, kościoły zamieniają na tingle, tingle na poetyczne varieté, macochy żenią się z synami, braci aresztują, ponieważ siostry...

...Ciszej pan gadaj, bo kelnerzy słuchają...

...Zaczyna być tak nudno na zadrutowanej skorupie, że jak pozwoli mój preopinant, powtórzyć jego zda-

nie, że tylko wielkie idee monumentalne idee mogłyby nas poruszyć... Dixi.

...A widzisz pan amerykańskie idee! A takie, daruje pan, miewam tylko ja. Wobec tego, że nikt z klubu mnie nie popiera, ja stoję sam i teraz naprzykład otwieram olbrzymie: Etablissement Mors na własną rękę.

...Co?... Co znowu? He?... Kiedy?

...Wnet. Będzie to już nie tylko hotel, ale przepyszne łazienki, oraz sala stylowa z ogrodem zimowym, stawem i skatingringiem. Tak więc, gdzie i co kto zechce może się wieszać, topić, przecinać sobie żyły, strzelać podczas szampanowania i t. d. Przede wszystkim, wykapać się przed śmiercią, co jest bardzo higienicznym chyba? Nie? U wejścia Etablissement dwa nadnaturalnej wielkości szkielety trzymają lampy ażurowe. W program wchodzi kinemakoloron odtwarzający najapetytniejsze samobójstwa, z różnych narodów. Dla niemających odwagi są prze rozmaite necandautomaty, wonne, rozkoszne, trujące kapiółki, bukiety zabijające zapachem, foteliki magnetyczne i t. d. Włożyłem w to cały majątek prawie i drwię z was, snoby.

...Drugiego dnia sam się otrujesz w tem Etablissement.

...Jeżeli cię nie powieszają.

...Zbankrucisz. Pomysł stary, nie amerykański.

...Aha! Embryonalny nie monumentalny.

...W każdym razie, jesteś najobrzydliwsze bydłem jakie świat wydał, bo jedyny jeszcze poetyczny fakt, na jaki sobie człowiek mógł pozwolić, uspołeczniaasz, kategoryzujesz, uwygodniasz. Jesteś ostatnim parobkiem filistery!

...Ma pan rację, on temu bydlu nawet śmierć uprzyjemnia, czyni śmieszną, łatwą, hotelową, kupną, obrzydliwą.

...Już to z naszego grona nie będziesz miał żadnego gościa, choć można ręczyć, że żaden z nas naturalną śmiercią nie odejdzie.

...Chyba.

...Ja też na ludzi o waszym dochodzie i podobnej konduicie nie reflektuję.

...Amen! Parobek ludzi chcących nawet umrzeć ordynarnie!

I szeroką strugą wymyślań spływało oburzenie estetyczne tych ludzi, którzy wprawdzie zazdrościli Pecuchetowi jego świetnych operacji, ale resztkami swego zmysłu dla piękna złościli się na zdrowego otyłego mężczyznę, który ich wszystkich w produktywnym cynizmie przeszedł i daleko przy kawiarnianym stole zostawił. I nocny reporter i Piperment i lord Koko i doktor od Hermy Basker i wszyscy, którzy się schodzili, mieli w swej psychicznej konstrukcji wiele z artystów ostatnich czasów XIX wieku jak: słomiane oburzenie wypalające się szybko i dymne historyczne monumentalne kulta dla czegoś, co zasługiwało na kult psychiatrów tylko i ciekawość kryminologów i kapliczki budowane w duszy dla pierwszej interesującej sentymentalizmem awanturnicy. Życie było dla nich złotą kulą rzuconą przez los, podskakujące o sensację rozpusty i wpadającą w sadzawkę niebytu. Młodocieństwo wyprała z nich optymizm chemicznie.

Axel nie czytał gazet, z których już nic ciekawszego dowiedziećby się nie mógł, tylko zmęczonym okiem wiódł od jednego do drugiego, patrzył ciekawie w ich zniszczone fizyognomie, jakby ich pierwszy raz

widział, obserwował tę grupę ludzką, z którą przecież codzień po kilka godzin przesiadywał aż do momentu obrzydzenia i czczego wstrętu.

Wolno popijał alkohelet, puszczał obłoczki dymu w kierunku różowego aktu polującej Dyany, lub w twarz tego, który właśnie wypływał jakiś frazes, uśmiechał się do siebie z wyrazem tajemniczego ale głębokiego zadowolenia, poczem odwrócił czerwono lakierowane krzesło w stronę kawiarni. Rozpoczął obserwację sali, przepełnionej rakowemi, pomarańczowemi i zielonemi bluzkami kobiet, szczególniejszą uwagę zwracając na stolik, przy którym zabawiało się kilkanaście znanych sportsmenek w czarnych, sztywnych bluzkach, i szerokich, kolorowych bloomersach. Wysoka, rudawa brunetka, śpiewaczka ludowa Marya, opowiadała coś widocznie niesłuchanie ważnego i fachowego, gdyż wszystkie słuchały z głębokiem zainteresowaniem rozegzaltowane i możliwie ciche. Patrzył impertynencko na pannę Maryę, która zirytowana, że jej ktoś, i to garbaty przeszkadza obserwowaniem jej ruchów, pokazała mu wreszcie długi swój język, robiąc przy tem obrzydliwy, arabeskowy grymas swą twarzą. Axel odpowiedział tem samem, ale już wszystkim pannom, oglądającym się za napastnikiem, poczem wolno i leniwie przeniósł wzrok na grupę małych dziewczątek, które przy wielkiej miedzianej muszli wodociągowej stały, patrząc ciekawie na maleńkiego piccola z twarzą starca, myjącego sennie, jakby somnambulicznie, szklanki. Uczuł ukłucie w serce.

Jedna z dziewczątek była rzeczywiście skończenie piękną. Dwunastolatka może, miała ogromne czarne oczy, silnie podkreślone niebieskiem podkuciem jakby przedwczesnem życiem zmysłów tak dziwnie wnika-

jące swemi spojrzeniami, że zdawało się, jakby te oczy żadne całusów wilgotnych, szły magnetycznie po szpiku pacierzowym biednych mężczyzn.

Jasne pukle miedzianych włosów, błyszczących jak asbest, spadały na czerwoną, empirową sukienkę.

Nóżki półgołe, w żółtych wyzywająco przylegających bucikach, miały półpończoszki purpurowe, w czarne paski, chytry wynalazek szatana mody.

Twarzyczkę cudnie rysowaną złocił wyraz takiej rafinowanej pogardy, znudzenia i obojętności, że nie potrzeba było i tych omdlewających, powolnych, lunatycznych ruchów ciała, żeby każdego mężczyznę, odczuwającego w miłości przedewszystkiem rozkosz supremacji swej płci, a uległość na łaskę i niełaskę kobiecości, wzburzyć do męczarni głodu wszystkich zmysłów.

Była to piękność cezaryczna, Mała Kleopatra. Indyjska bajadera Budhy. Ostatni wyraz pogańskiego piękna i nowożytnego. Najwykwintniejszy kwiat pięknej grzesznicy natury.

Piękne kobiece... dziecko.

Stała przy muszli, oparta prześliczną rączką o łeb miedzianego smoczka i niby to patrząc w sennego piccola, dziwnie ciekawie wnikała w oczy Axela. To znów wodziła okiem po wszystkich tych panach pod Dyana, którzy z takim wesołem szyderstwem rozmawiali ze sobą. Axela zamroczyły zmysły. Niespokojnym haustem popił alkohelet i zawstydzony pokornym, psim wzrokiem, wiódł za wyzywająco dumnem dziewczęciem. Zbladł z dziwnego wzruszenia i przejęcia się niespodziewanem w całej swej przeogromnej, okazałości pięknem. Znieruchomiał w jakimś wewnętrznym niepokoju i przeczuciu namiętności, rozżarzających się

równocześnie w całym jego jestestwie napływających mu do skroni potokiem gorącej ciężkiej krwi, zamykających mu powieki omdleniem tylko okrucieństwami kojącego się pożądania.

Chciał być jej ojcem, bratem, kochankiem.

Marzył, jakby krwawiąc ręce, drapał najgrubsze mury, byle ona wyszła na wolność. Jakby za tonącą rzucił się pod koła starych młynów, które znał z kinemakolodramów. Jakby pośród głodu i zarazy siekierą odrąbał sobie lewą rękę, byle ją karmić własnym ciałem. Jaki przepiękny poemat słów o niejby mówił na sądzie ostatecznym przed Jehową, gdyby za jej oczy tylko wysyłano ją do piekła.

I nagle gorące łzy stały się mu w oczach. Widział jej bladą twarzyczkę na białej atlasowej poduszce; czerwoną sukienkę, zarzuconą białymi kameliami i bzem, widział dokoła niej sześć wielkich świec jarzących i nieskończenie długą salę, obitą czarnym kirem i potworne znaki zapytania, wyszywane ze srebrnego lampasu na ścianach. Niewidzialne organy grały słynne Miserere Camilla Nortona...

Przetarł ręką oczy. Dziewczynka stała przegięta, pochylona nad ładnym, wesołym psiakiem i głaszcząc go, szeptała coś do niego, uboczne spojrzenie rzuciła na garbusa. Mówiła oczami coś takiego, co Axel słyszał szeptane do ucha dokładnie, a co przyprawiało go zimny pot na całym ciele. Znadto bo rozpijał się alkoheletem, który chłostał mu fantazję i doprowadzał ją do szalonych i niezrozumiałych skoków. Tracił już panowanie nad sobą i oczyma wpijał się w blask jej, żywych elektryzujących włosów, w ospałość jej rytmicznych poruszeń, w przegięcie się pleców.

Widział ją otoczoną i ujarzmiającą najpotworniejsze,

obrzydłe kraby morskie, ściskające w długich ramionach mackach mężczyzn poduszonych. Widział ją tańczącą czarowny, serpentynowy taniec przed mrowiem łysych głów. Widział ją w kabalistycznym kole, za którego obrębem klęczały szkielety, bijące czaszkami o ziemię, i wyciągające do niej błagalnie długie kości-ska rąk. Widział ją na szczerozłotym misternym tronie, siedzącą na najwyższej terasie jakiegoś asyryjskiego pałacu, oświetloną zachodzącym słońcem; widział ją stającą w pysznej sukni balowej z nagimi pączkami piersi, a u boku jej rudego, chudego mężczyznę w monoklu, we fraku, z szatańskim uśmiechem, zajęczymi uszama i maleńkimi stopkami kozła i oddającą dumny ukłon niezliczonym tłumom dekolowanych aż do kolan kobiet w jakiejsz zwierciadlanej, okrągłej sali. Na koniec widział ją w rozpalonej fantazji nagą, w purpurowych półpończochach z pawiem piórkiem w lewej alabastrowej rączce, wiodącą na sznureczku śmiesznego garbusa z wielkim brzuszkiem w amerykańskim półcylinderku... Muzyka kawiarniana grała najpopularniejszy kuplet, walc Lony Lison o ślepym malarzu, głuchym kapelmistrzu i wesołym poecie, publiczność odśpiewywała ulubione „ojodolidola dolaolili, dolaolili“.

Roztańczona, zmęczona fantazja Axela błagała o przebaczenie.

Garbus ocknął się, uśmiechnął i spojrzał dokoła. Mała Messalina rozmawiała z piccolem, któremu wystąpiły nieznane rumieńce na twarz i oczy błyszczały. Melodya jej głosu głaskała mu lubieżnie piccolo serce. Od chwili do chwili rzucała wzgardliwe, a przyciągające spojrzenia do stołu pod Dyana.

Szymon Słupnik nie odwracał od niej oczu od chwili, kiedy mówiąc coś do Axela spotkał się z jego

wzrokiem lunatycznie zawieszonym na dziewczynce o miedzianych włosach. Z rogu sali szedł do dziewczynki niski mężczyzna z czarną bródką, o wyniszczonym, splakany, ospałym wyrazie twarzy. W przechodzie rzucił wyzywające spojrzenie pasożytom z pod Dyany, ujął dziewczynkę za rękę i odprowadził między stolikami do rogu, gdzie siedziało krzykliwe, wesołe towarzystwo. Ojciec. Był rezygnacyjny smutek w ruchach tego bladego człowieka i wściekły, wewnętrzny gniew na tych wyżółkłych łotrów, bezsilne oburzenie, że nie może torturować ich za te gangrenujące spojrzenia, za to, że oczyma szli po liniach jej ciała, myślami ją rozbierali i brzydkie głowy kładli na jej jeszcze dziecięcą pierś.

Axel nie dziwił się postępkowi niskiego mężczyzny. Tyle bo było i tak strasznych wypadków w nowoczesnym Babilonie. Całymi wieczorami odczytywano je dla zabawy z gazet przy stole pod Dyaną. Dzisiaj tylko wyjątkowo nie czytano, bo czas zabierała dyskusja nad poskromieniem demo-su. Lord Koko rozwodził się nad tępieniem i karceniem gminu za pomocą kultury bakterii na wielką skalę, specjalnie bakterii dżumy i kiły: miał wściekłą nienawiść do wszystkich, odkąd jego plan szpitali stawianych na rzekach wyśmiała bezlitośnie cała prasa europejska. Doktor popierał go argumentami ze statystyką zbrodni ludzi zdrowych. Stary aktor próbował oponować, niepomny na to, jak go rozzłoszczona publika do krwi poraniła lornetkami, kiedy, zdenerwowany sykaniem, rzucił jej obrażający frazes ze sceny. Drugie szklane oko byronisty przypominało znowu katastrofę z meetingu wyborów do senatu, kiedy to kandydaci rządu, wygłaszali piorunujące mowy przeciw rozpasanemu motłochowi, a ze-

brani wyborcy w Sali Stanów zrzucili wszystkich pięci z balkonu pierwszego piętra motłochowi, aby się z nimi pobawił. Byronista chodził odtąd bez jednej nogi, a ze spokojnem, bezmyślnem szklanem okiem. Wszyscy przy stole nienawidzili militarno-socjalistycznego rządu i byli przyjaciółmi anarchizmu, poetyzującymi te teorie, które w pobliskim, t. zw. czarnym gabinecie, rozpisywali w artykuły i manifesty rewolucyjni anarchiści terroryzujący od dwóch lat socjalistyczne rządy i kraje.

Zwykle po 12-ej w nocy wpadano przypadkiem na ulubiony temat karcenia społeczeństwa, a z tego tematu wpadano równemi nogami w aberracye seksualne i kryminalistyczne. Tematy antyspołeczne zagajał przeważnie lord Koko, albo człowiek z szramą przez całą głowę, jeden z najzdolniejszych elektro-chemików, jakich posiadał świat uczony. Rozmowy seksualne zagajał Szymon Słupnik zwykle jakimś artykułikiem z gazet bardzo drastycznym. Dziś wydrwiwano robotnicze domy zdrowia w parkach podmiejskich i podniecano ogólny humor chronicznemi defraudacyami kasyerów szpitalnych. Doktor zdradzał przy tem tajemnice salonowych profesorów ginekologii i ulubionych lekarzy damskich, a klub mikrocephallusów gotował się do przejścia na całej linii do tematów płciowych.

W salach Alkazaru wrzawa panowała nieopisaną silniejsza, im silniejszy deszcz bił strugami o olbrzymie szyby od ulicy i ogrodu. Coraz nowi ludzie chronili się przed ulewą do kawiarni, zapachy mokrych zarzutek mieszały się z atmosferą dymu i alkoholów.

Przed Szymonem Słupnikiem stał mały boy w ceratowym ubraniu z czerwoną czapką redakcyjną zziąjany i zaaferowany.

...Nadzwyczajny dodatek „Reportera“. Bity o godzinie 11-ej. Proszę. I z olbrzymiej torby wyciągnięty świstek żółtego papieru rzucił na stół. Kilku równocześnie wyciągało ręce.

„Powoli, powoli panicze, najpierw mój oficjalny, potem możecie kupować. Chłopiec podawał wszystkim żółte świstki, czytano ze zwykłą niecierpliwością, z jaką się czyta nadzwyczajne dodatki pism.

...Co... co... Prometeusz XX wieku... Więc już... nie, to ciekawe.

Chłopak odbiegał już do innych stołów.

...Co aerokab sterowany? Ptak... jutro... Dr. Axel... Axel... O tej godzinie...

Prawie równocześnie wszyscy mimowoli popatrzyli na krzesło Axela Mayera. Garbusa już nie było. Dopiero teraz zauważono, że przed chwilą wstał, rozmawiał z kelnerem, a potem gdzieś znikł, dziwnie spokojny dziś i milczący.

Profesor czytał urywanym, potykającym się głosem, z miną zupełnie otumanioną.

Pecuchet powtarzał z słabym akcentem: Humbug, humbug, humbug!

...Czytaj kryminalisto nim wypowiesz światłe zdanie.

Rudy młodzieniec przerwał profesorowi czytanie i sam zaczął donośnym głosem:

„Dodatek nadzwyczajny Reportera reporterów. Godzina 10 wieczór. Dr. Axel. Szanowni obywatele i obywatelki, towarzysze, siostry!

Według pisemnej umowy między dr. Axelem a naszym naczelnym redaktorem dr. Ślaskym, dopiero teraz o godzinie 10 w nocy, dzielimy się ze światem największą tajemnicą, jaką ten człowiek po tylu stuleciach wydarł wreszcie przyrodzie.

Czytelnicy! Prawo ciężkości nie istnieje od dziś dnia, chyba w łysych łbach legitymistycznych bakałarzy socjalistycznych salonów. Nie zdołano przez prawie 300 lat wynaleść sterowanych silnie balonów, mamy wreszcie doskonały aerostat, sztucznego ptaka jutra.

Jest to „lkar“ dr. Axela, drwiący z mitologii greckiej.

Jest to, czytelnicy, prawda bezwzględna, jaką zaprzysięga ludzkości trzech naczelných dyrektorów naszego pisma z senatorem Stanów Europejskich dr. Ślaskym na czele.

Wynalazcą ptaka aerostatu jest pewien urzędnik pewnego prywatnego banku w pewnej dzielnicy, kryjący się pod przejrzystym pseudonimem dra Axela. Genialny ten człowiek zbudował najprostszą, zbliżoną do natury maszynę, nad którą wysiłało się tyle tysięcy mózgów technicznych ideologów. Wczorajszej nocy nadleciał dr. Axel do terasy ósmego piętra naszej redakcji, poczem zaczepiwszy na kotwicy swój aerostat, przedstawił się zdumionej w najwyższym stopniu redakcji, objaśnił nas najogólniej o swym wynalazku i po krótkiej rozmowie wsiadł z powrotem, w naszych oczach wzbił się do szalonej wysokości i świecąc elektrycznymi oczyma swego ptaka, przeleciał w 11 minut całe nasze miasto, poczem znikł!

Czytelnicy! Byliśmy świadkami wiekopomnego faktu, staliśmy osłupieni na naszej terasie, patrząc, jak lkar z drem Axelem szybuje w powietrzu i leci z szybkością, o jakiej trudno dać pojęcie. Machina dra Axela nie potrzebuje już żadnych udoskonaleń, uproszczeń, wygód, gdyż jest najdoskonalszą, najprostszą, najwygodniejszą.

Stoiśmy u progów nowej doby cywilizacyjnej, nowych stuleci.

Dumni jesteśmy, że „Reporter reporterów“ pierwszy wszystkim sześciu częściom świata wiadomość tę ogłasza:

Czytelnicy! Napoleon wieku socjalistycznego, dr. Axel uniesie się jutro ze swojego mieszkania o 6-ej wieczorem, obleci całe miasto miast i o 7-ej godzinie wieczorem spadnie na wielką arenę Parku Ludów. Biletów wstępu do parku (wydawanych tylko na nazwiska przed hallą restauracyjną) nabywać można wyłącznie w administracyi naszego pisma jutro od 6-ej rano do 12-ej w południe. Liczbę biletów ograniczyliśmy do 150.000. Czytelnicy żegnamy Was do jutra, winszując Wam dożycia tych czasów. Podpisane dr Ślasky, senator m. p. Dyrekcyja“.

Rudy młodzieniec jednym tchem kończył czytanie i rzucił świstek na stół. — Wszyscy stali z rękami w kieszeniach, spoceni wielką sensacją. Nie mieli nadspodziewanie nawet bezczelności drwienia, czy dyskusowania. Ktoś rzucił się do drzwi wchodowych, wybierając za Axelem Mayerem, wszyscy bowiem wiedzieli, że wynalazcą Ikara nie jest nikt inny, jak tylko pół zwaryowany garbus, tkwiący w aeronautyce od kilkunastu lat, zakapturzony nikczemny filantrop.

Przy innych stołach, bilardach, ruletach, przy orkiestrze rozrywano i rozdzierano sobie żółte świstki, zamieszanie i wrzawa rosły w chaotyczny gwar i hałas. Opasły kelner stał na bilardzie i trzymając się dłonią sznura elektrycznych lamp, ochrypłym głosem odczytywał tłumowi gości nadzwyczajny dodatek. Jakiś młodzieniec dla uciszenia gwarów, bił kijem bilardowym o stół. Karciarze rzucali karty i nie licząc pieniędzy, odbiegali od stolików, deptano w zamieszaniu po gazetach, wywracano krzesła, wszyscy rozmawiali

ze wszystkimi, dzieci niekontrolowane uganiały za przestraszonymi psami, otwierały kurki wodociągów, wypijały ze szklanek resztki trunków, młodzieńcy od bilardów tłumaczyli wynalazek dopiero co poznanym kobietom, dodając pieprzne dowcipy. Aktorki w bluserach, rozegzaltowane do ostatnich granic, krzyczały o mrożony szampan. Jakiś ludowy komik rozpoczynał na stole swoje złodziejskie monologi, korzystając z egzaltacyi tłumu. Pod „Dyaną“ lśnił się w świetle elektrycznem śmieszny napis: Mane, Tekel, Ufarsin. — Muzyka grała popularnego kankana.

Dziwnie było i przyjemnie pomyśleć sobie, że podobne sceny zaczynają się obecnie odgrywać w lokalach publicznych całego milionowego miasta, że telegraf i telefon roznoszą wieść na całą kulę ziemską i że za jakie 10 czy 12 godzin nie będzie człowieka na świecie, któryby nie wymawiał nazwiska dra Axela i nie marzył o podróży po obłokach, zdala do tej zadymionej, zadrutowanej, zamrowionej ludzkością kulki ziemskiej.

.....

Tymczasem Axel szedł w najzłośliwszej ulewie na nocną wędrówkę. Kołnierz gumowej peleryny podniósł do góry, poprawił szkieł i chroniąc w rękach papieroś przed deszczem, jasno oświetlonymi pustymi szerokimi ulicami błakał się bez celu. Szedł od rogu do rogu, zaglądał przenikliwie i wesoło przez okna pełnych kawiarni, głaskał rozbudzoną ze snów miłosnych ambicję, wskazując jej rozegzaltowane sensacją wnętrza kawiarni, uśmiechał się z głupkowatą dobroćliwością do mijających pochylonych ku sobie par i próbował rozmarzyć się i rozfantazyować. W ustach miał gorycz alkoheletu i tytoniu, w skroniach czuł od czasu

do czasu rwący ból migrenowy, w krzyżach, jakieś złamanie czy zgniecenie, ale postanowił sobie łązić bez celu aż do kompletnego zmęczenia i wtedy dopiero wejść na coś gorącego do pierwszego lepszego baru.

Miał zwyczaj przy każdym nadzwyczajnym a psychicznym podnieceniu włączyć się najpierw po kilku-stu dzielnicach, potem szedł do barów amerykańskich, gdzie pił grzane wódki, wreszcie do szynków najpodszybszych i najniebezpieczniejszych. — Poczem obniósłszy wszędzie swoją brzydotę i znudzenie, wyczerpany, pusty, ledwie trzymając się na nogach, dowlekał się do jakiegoś danc-housu, by tam zasypiać na zielonych, aksamitnych kanapkach salonu w towarzystwie niedoszłych do celu Lisztów i Rubinsteinów, przegrywających z ospałym sentymentalizmem swój repertoar nocny.

I teraz znudzony towarzystwem mikrocephallusów z pod Dyany, z przeforsowaną najlubieżniejszymi obrazami fantazją, z czczością, jaka jest niewolniczem następstwem każdego uczucia tryumfu, z obojętnością na sławę swą, rosnącą właśnie teraz z piorunującą szybkością, gdy on włókł się po deszczu z obojętnością na wszystkie losy całej ludzkości i swój wynalazek monumentalny i wściekłe zapewne dysputy mikrocephallusów obrzucających go niechybnie obelgami za służalstwo ludzkości, wynalazek dla dobra i szczęścia tłumów, cywilizacyjną produkcję i t. p., — stawał na rogach ulic i wybierał zawsze ulicę na lewo, byle mieć jakikolwiek kierunek i gdzieś zająć.

I temi ulicami na lewo podchodził z wolna do Placu Równości, przesłicznego placu, w który wpływało szesnaście wielkich ulic, a na którym z pośrodku całej

szachownicy egzotycznych krzewów i kwiatów, wznosił się ogromny spiżowy monument generała ludu, pierwszego rewolucjonisty XX wieku, tego biednego zabitego skrytobójczą ręką trybuna tłumów Korsakowskyego. Wielkie lampy elektryczne oświetlały plac jak w jasny dzień i pozwalały objąć okiem całą spiżową postać, dźwigającą się od postumentu na wysokość czwartych pięter domów. Stał starzec z długim, rozwianym włosem, który dziwacznie trochę posrebrzono, aby przypomnieć siwiznę bohatera. Stał w długim, mieszczańskim surducie z prawą ręką, zaciskającą kurzowo rewolwer w dłoni, wyciągniętą raptownym ruchem w przestrzeń, stał, jakby czuł za sobą nieprzeliczone tłumy, rozwścieczone głodem; lewą nogą deptał suto złożoną koronę, emblemat obumierających rodów królewskich.

Axel usiadł na małej ławeczce, z której mógł widzieć całą figurę spiżowego Korsakowskyego i patrzył w srebrną siwiznę włosów spiżowych, lśniących jak srebrne runo, gdzieś wysoko, a wzrok przenosił tylko na złotą koronę, od tylu lat deptaną ciężkim butem „bicza Bożego na mieszczaństwo“ i na złoty, preten-sjonalnie skromny napis na marmurowej tablicy, napis sparafrazowany już przez tyle kroci gazeciarzy: „Wal-czył za lud i umarł odludny“...

Axel sylabizował tylekrotnie odczytywane litery napisu, sylabizował powoli i powtarzał monotennie, zapominając już o treści tych słów i jakby ogłupiając się jeszcze tylko dźwiękiem samym ostatniego słowa: lud, lud, lud, lud. Myśl jego kołowała naprzód koło całego zdania, potem koło ostatniego słowa odludny... wreszcie jak ptak zmęczona, poraniwszy skrzydła o ściany czaszki, upadła gdzieś w ciemnościach, ucihła

i znikła. I zdawało się, że na wielkim Placu Równości nie ma nikogo, taka była cisza umierającej nocy i smutek opustoszenia przed rodzącym się świtem. Zdawało się, że tylko dwie żyjące istoty, unieruchomione zadumą i steżale w ruchu, zostały na tym placu: ten olbrzym spiżowy z śmiesznie rozwianym siwym włosem i wyciągniętą ku przyszłości dłonią, — i ten karzeł schorowany w gumowej pelerynie siedzący u jego stóp z zagasłym papierosem i takim wyrazem na ustach, jakby kielich jadu za całą ludzkość on jeden wypił przed chwilą.

Dalekie zegary zaczęły oddzwaniać czwartą godzinę, jeden po drugim, zlewając czasem dźwięki trzech, czterech równocześnie, urywając na moment, aby znów obcym, nieznanym tonem oddzwonić i znów obcym i znów razem bić harmonijnie po kilka dźwięków, aż cała ta muzyka ostatnimi bardzo dalekimi dźwiękami z przedmieść utonęła w ciszy zarania lipcowego. W tej dzielnicy nie handlowej a spokojnej i wykwintnej już złożonymi balkonami domów i bogatemi, gipsowymi sztukateriami okien kłócej się z wyciągniętą ręką i rewolwerem trybuna motłochu była cisza, jakiegoś zamarłego wyludnionego miasta, przynębiająca cisza uśpienia, w której słychać było monotonny szmer rosy, upadającej na rabaty kwiatów, na lśniący marmur olbrzymiego piedestału, na spiżowe plecy postaci bohaterskiej „generała ludu“.

Axel zasnął. Spał twardo, aż póki oczu jego nie roztworzył dumny zwycięski blask czerwonego słońca, które wschodząc od wielkiej alei Garibaldiego złotawą rubieżą oświeciło wielką postać rewolucjonisty i otoczyło srebrną głowę promienną glorią. Garbus przetarł oczy i zasłonił je ręką; nie mógł znieść tej orgii

blasków, jakimi wschodzące słońce zaigrało na spiżowej postaci. Leniwem, zdumionem spojrzeniem ogarnął jeszcze raz cały ten tryumfujący przepych przeszłości. Wstał. I wolnym krokiem potoczył się bocznymi ulicami do jednego z okrzyczanych American-Barów, w którym nad ranem zbierała się cała szumowina wielkiego miasta: rzezimieszki, ulicznice, następcy tronów z państw sąsiednich, agenci policyjni, poeci kawiarniani, attaszowie ambasad i appaszowie z pod mostów. Tam miał swoje krzeselko zamykane na kluczyk ze stoliczkiem pod sztuczną wysoką palmą, z zielonej tektury. I tam razem ze sapiącą Margaretą, otyłym potworem, przypominającym stare kucharki bandy zbójckiej z dziecinnych bajek przesiedział piękny ranek lipcowy w obłokach zgęstniałego dymu, z którego wyłaniały się tylko, jak we mgle, popielato-zielone twarze sutenerów i trupio blade, twarzyczki ulicznic. Hałas był szalony, zgiełk szkła tłuczonego akompaniował kilkunastu grającym automatom i rozpasanym wyciom pijanych mężczyzn. Wesołość podnosił od czasu do czasu wściekły kankan, tańczony przez którąś z ulicznic na stole z histerycznym obłędem podnieconej chloralem tygrysicy. Z pod czarnej sukienki, podniesionej wyzywająco, wyskakiwały błyskawicznie cienkie nogi, w brudno-białej bieliźnie, a z nich modnie czerwona, tania pończocha osuwała się w dół, odsłaniając wąską łydkę, spoconą tańcem. Ponad głowami klaskających w pijackim wzruszeniu mężczyzn migwały buciki z rozplątanymi sznurkami, zbłocone i dziurawe...

I wesoły motłoch Baru śpiewał tu także potworną, popularną piosenkę, walc Lony Lison o ślepym malarzu, głuchym kapelmistrzu i wesołym poecie. I koń-

czył każdą zwrotkę bezbrzeżnie smutnem zawodzeniem: ojedolidola, dalaolili, dolaolili, dolaolili...

Axel Mayer spał na dekolowanych wymionach spoconej z pijaństwa groźnej Margarety. I śnił...

Śnił... jak wysoki, chudy mężczyzna, z przepyszną głową cesarza Wespazjana, z ogoloną, aktorską, znaną w świecie cywilizowanym twarzą, z czerwoną wstążeczką legii honorowej w klapie fraka, stoi pół-pijany nad jego dziecinem łóżeczkiem, pociska kurek syfonu wody sodowej i lejąc małemu karłowatemu dziecięciu na głowę i pościel śmieje się dzikim, złym śmiechem, krzywdzonego w swem dziecku przez matkę naturę ojca.

Śnił... jak pięknie ubrany, mały, garbaty chłopczyk stoi przy wysokiej pani w czarnej, aksamitnej sukni, otoczonej całym rojem bardzo eleganckich starych panów na trybunach wielkiego toru wyścigowego... Jak jeden z tych panów z długimi siwymi bokobrodami podnosi go do góry, aby widział, jak tatuś w dziwacznym ubraniu, chudy, wysoki i śmieszny, przejeżdża migiem koło trybuny pierwszy i tryumfujący, na niskim, błyszczącym w słońcu rowerze.

Śnił dalej... jak wysoka pani w czarnej, aksamitnej sukni z bezprzykładnie wielkimi, czarnymi oczyma, a małą owalną twarzyczką, leży na wielkiej otomanie błada... on mały kaleka bawi się z białym chartem na białym, włochatym dywanie, a na środku pokoju wygrażają sobie rękami i przezywają się złemi słowami: pan z siwymi bokobrodami i słynny aktor-ojciec.

Śnił... jak ze swą biedną, piękną, dobrą matką i panem z siwymi bokobrodami jadą w ciepłym wagonie nocą w świat... a przez szyby okna widać czerwono-krwawe pióropusze na białej mgłę dymu i niezmie-

rzoną okiem ciemnię nocy i gwałtownie oświetlony biały domek z blaszanym, zielonym dachem i brzydkiego człowieka, stojącego sztywnie przed domkiem ze zwiniętą chorągiewką.

Śnił o czerwonej miss Hay, z którą mieszkał w smutnej wsi, w domku obwieszonym bluszczem i otoczonym miłym ogródkiem, gdzie za parkanem stały chłopaki wiejskie, patrzące nań ciekawie i krzyżące: kaleka, kaleka, kaleka...

Śnił... jak pocziwa, czerwona miss Hay płacząc i całując, żegna się z nim i odjeżdża, wywijając z wagonu białą chusteczką... jak on wraca z kolei z dwójgiem obcych brzydkich, tłustych ludzi, brzydko ubranych i słodkich w mowie...

Śnił... jak siedzi przy trzech panach, grających w karty i klnących strasznie po kałmucku, jak jeden z nich, zwykle pochylony nad biurkiem, uczy go o Napoleonie i wyspie św. Eleny...

I śnił już błędnie o św. Elenie i o Elenie i o Eli, aha: małej Eli, jakiejś Eli, z którą raz gdzieś w jakimś bardzo pięknym, białym złotym pokoju bawił się blaszanymi zabawkami, wojskiem blaszanym, blaszanym wojskiem... Napoleona, kiedy mama w czarnej, aksamitnej sukni z mamą Eli siedziały na złotej kanapie, a Ela, tak, Ela, o rudych włoskach, błyszczących jak asbest, w czerwonej, o, bardzo czerwonej, empirowej sukience, choć taka pogardliwa, znudzona i dumna, strasznie dumna dziewczynka, Ela w żółtych buciczkach i czerwonych pończoszkach, całowała go w usta i oczy, w niemile oczy czternastoletniego garbusa i szeptała, wywracając całe rzędy żołnierzy, blaszanych napoleońskich żołnierzy, że go kocha... jego Axela... kocha... bo taki... śmieszny.

I śnił tę samą Ele, jak z pawiem piórkiem w lewej alabastrowej ręczce wiedzie na sznureczku śmiesznego garbusa z wielkim brzuszkiem w amerykańskim półcylindrze, tak jasno-popielatym półcylindrze, wiedzie po cieniutkim miedzianym drucie, rozciągniętym nad żółtą, spienioną, wezbraną rzeką... jak dokoła na brzegu żółtej, spienionej rzeki stoją i śmieją się okropnie chorobliwie, konwulsyjnie, przysiadając do ziemi prawie i łyży ocierając z ucieśnienia: pani w aksamitnej czarnej sukni z białym chartem u boku, chudy pan z głową Wespazyana, pocziwa miss Hay, blade człowiek z czarną bródką z kawiarni Alkazaru, spiżowy Korsakowsky stojący na ziemi w otoczeniu wszystkich członków zebranego w komplecie klubu mikrocephallusów.

...Garbus zawstydzony i zdumiony szedł po drucie i patrzył na tego spiżowego starca z srebrnym włossem, tego olbrzyma z wyciągniętą z rewolwerem ręką, depcącego ciągle złotą koronę, ten posąg, który zstąpił z piedestału i stanął wśród nieprzeliczonych zastępów bardzo niskich panów z klubu. Tłumy się śmiały. Garbus zmieszał się tym ohydny, złym śmiechem stojących nad rzeką, stracił równowagę i padał, padał z liny w wodę wezbranej żółtej, spienionej rzeki... wśród ogłuszających oklasków, jakie tylko dostawał papa Don Jouan Mima, kiedy grał i deklamował Hamleta lub potwór Margareta, kiedy, kiedy...

I tu złota nić z kołowrotka brzydkich, lepkich snów zerwała się bezpowrotnie. Głowa z stukotem opadła na poręcz krzesła, na którym przed chwilą siedziała jeszcze Margareta, tańcząca teraz na stole z nieludzkim opętaniem murzyńskiego coits-danza wśród ogłuszających oklasków ulicznych, agentów policyjnych, rze-

zimieszeków, następców tronu z państw sąsiednich, poetów kawiarnianych.

.....
.....
Tegoż dnia lipcowego, wieczorem po 8-ej godzinie wśród nawalnego deszczu ukazał się nad wielką areną Parku Ludów, przepełnionego tysiącami ludzi, ukrytych pod parasolami, dziwny ptak „Ikar“, aerokab wynalazku dra Axela Mayera. He! He! Ukazał się świecąc sztucznymi oczyma, jakby żyjącego stworzenia i poszybawwszy przez kilkanaście momentów nad ogłuszająco klaskającym mrowiem wielkiego miasta, z przerażającą, zapierającą oddechy ludzkie szybkością spadł na żółty piasek areny... Spadł i strzaskał się w szczątki.

W rozstrzaskanej czaszce genialnego karła skryła się, chichocząc dyabelską złośliwością tajemnica wynalazku, staruszka szczerząca zęby do małej dziewczynki o miedzianych włoskach, podbiegającej teraz wraz z bladym, niskim ojcem o splakany wyrazie twarzy i tłumem mikrocephallusów do ohydnie zmiażdżonego trupa kaleki Mayera, syna tego sławnego aktora i matki Polki „z domu Korsakowskiej“... tak Korsakowskiej... z tych Korsakowskich co to... pamiętacie... no... kiedyś złotem podkuwali wybrane konie ze swych stad... a teraz... no a teraz... teraz... podupadli... tak całkiem podupadli...

GLADIOLUS
TAVERNALIS

(MIECZYK KAWIARNIANY)



Opaliński spał. Sparty obu rękoma na lasce, z podwiniętym do góry kołnierzem zarzutki, kiwał się na wszystkie strony w miarę niespodzianych, podskakujących ruchów jadącego wózka. Młyński w dość niewygodnej pozycji siedział obok i już cokolwiek zmęczonym wzrokiem wodził po okolicy. Wózek toczył się teraz cicho i gładko po wąskiej, piaszczystej, prywatnej drodze między dwoma wysokimi łanami pszenicy, koła cichuteńko skrzypiały, czasem zawadziły widocznie o podrożny kamień, wózek mazowiecki przechylał się i Opaliński wzdrygał we śnie, aby natychmiast drzemać jeszcze mocniej. Dookoła padały ciężkie cienie i zlegały na łany i lasy, zamazywały coraz gwałtowniej kontury pagórków, dachów wiejskich chat, drzew i zwolna wszystko znikało w ciemnym tle. Jeszcze jakieś ptaszysko jak widmo zerwało się z głębin pszenicznej, przeleciało nad wózkiem, jeszcze zamajaczyła niedaleko biel jakiejś chyba świeżo wapnionej ścianki chłopskiej, jeszcze jakby dla strachu tuż nad piaszczystą dróżką powstały nagle stare, potrzaskane wierzby czarownice, poczem powiał nowy, zimnem przejmujący wiatr i ciemny zmrok stawał się czarną ciemnością. Cisza w polach była przenikająca do ostatnich włókien nerwowych. Opaliński spał, „stylowy Maciek furman“ drzemał, czwórka fornalska ospałym truchtem waliła

po piasku, tylko Młyński gorączkowo, nerwowo, z chorobliwą chyżością myśli kombinował i marzył, rozpamiętywał i planował.

...Tak. Jedzie więc wreszcie do Opalińskich na sierpień, na wrzesień, mówią, że go nie puszcza aż późną jesienią, aż zupełnie przyjdzie do siebie, nabierze rumieńców, zyska na wadze z 10 klg., a przede-wszystkiem pozbędzie się swej newrozy, która go już wnet robi kompletnie niemożliwym dla normalnych ludzi.

Tak... wyrwał się z miasta, z tego nieznośnego, miasta, nie pojechał ani z papą do Maryenbandu, ani z mamą i siostrą na wydaniu do Krynicy, tylko na wieś na wieś, na prawdziwą polską wieś w ziemi krakowskiej, powiecie olbromskim, gubernii kieleckiej. Ostatni raz na wsi był, hoho! jeszcze chłopcem. Odtąd hamował swoją tęsknicę do natury, przechowywał w pamięci i tulił starannie wszystkie wspomnienia chłopięce, zawsze rozpamiętywał z lubością i rozczuleniem fragmenty pejzażowe, zachody słońca, cieniste ustronia parku, wielki leniwy staw z gęsto wyrastającymi jasno-zielonemi trzcinami, wspaniały las dębów i buków, ziemię zasłaną bukwia i żołądziami, przypominał sobie jakieś olbrzymie ruskie dynie, panoszące się olbrzymiami, okrągłemi, zielonemi cielskami wśród żółtych ogórków, mały, jasnozielony lasek końskiego zębu, jakieś cztery pokrwawione cielska dzików, rozłożone na jodłowych gałęziach, panów starych ze strzelbami, pochylonych nad dzikami, potem jakieś ulewy, deszcze, potopy, żółtą wodę, podpływającą potwornymi falami pod same szyby werandy, płacz pań wszystkich, modlitwy gromadne przed obrazem Matki Boskiej... Wszystko to w niknących akwarelowych bar-

wach przesunęło się teraz błyskawicznie przez pamięć Młyńskiego. Niektóre z tych wspomnień traciły nawet mglistość i rozwiewność, a nabierały intensywnych barw rzeczywistości: o ta ukochana weranda z różnokolorowymi szybami, z której schody kamienne wiodły w park, z której roztaczał się w nieskończoność perspektywie widok na rozlewającą się szeroko rzekę, obramioną wiklinami i olszyną, pełną tajemniczych wysp, wysepek i półwyspów. Słońce świeciło szyby werandy i na kamiennej posadzce kładły się jasne, ale jakby chore, blado-fioletowe, blado-czerwone, żółte, zielone tafle. Na brudnej, starej poduszce spał olbrzymi Mendog z wyciągniętymi łapami, z wywieszonym od gorąca językiem, w całym dworze była cisza poobiednia, a wokół werandy przemijały miryady lotnych stworzeń z tem cudownem: zum zum zum, melodyą elfów rozigranych w sennej sferze. Na szerokich stołach werandy suszył się po gospodarsku rozłożony głóg „na marmoladę“, jak mówiła stara Strycharska, a on wtedy młody chłopczyzna, błądy Polo z miasta, rozciągnięty na dywanie w spiekocie lipcowego słońca wchłaniał te kolosalne, niesłychane: „Tajemnice Afryki“, autora? Ech, wtedy go przecież nic a nic nie obchodził autor! Obchodziły go sprawy oranżeryi i starego Strycharskiego ogrodnika, obchodziły go haszcze i wer-tepy i wszystkie wyspy na rzece i ich tajemnice, obchodził go młynek, jaki sobie zbudował, ogródek, jaki dla jego zabawy mu odgrodzono, obchodziły go wszystkie roboty w polu, czyszczenie stawu z gnijącego zielska, wreszcie nawet ta olbrzymia krowiarnia, długa, ciemna, wysoka, nad wieczorem pełna głośnego przeciągłego ryku. Obchodziło go jej misteryum tajemnicze, te dwa olbrzymy byki, zamknięte osobno

na kłódkę z wzbronionym dostępem dla dzieci. Dlaczego?

I Młyński zaśmiał się cicho do siebie. Tak, tak, to był pierwszy poważny problem dla chłopięcia: dlaczego te wspaniałe bycki zamykano jak więźniów, jak zbrodniarzy w komorze, a dlaczego te niezliczone krowy, rozlegiwające się tak wygodnie na brudnej słomie, miały tyle wolności. Drugi problem był wnet po pierwszym religijny, buntowniczy, ateuszowski; w siedmnastym roku życia opadła zeń wiara, jak za szeroki jakiś płaszcz paradny, bez szelestu, bez śladu. Teraz wierzył już tylko raz na rok, prawie peryodycznie, dosłownie jak mówi przysłowie koło Wielkiej Nocy, kiedy z rodziną odbywali t. zw. „Familien Festgang“ na Rezurekcję. Stary hofrat, nazywany w kołach cyganeryi artystycznej mandataryuszem, brał wtedy imponujący kołnierz z wystającymi rogami, do kieszeni zarzutki jedwabną chustkę pasową, miał pysznie uczesaną głowę i siwe faworyty, hofratowa atłasowo-koronkową mantylę, a obaj bracia, pan komisarz starostwa, syn solidny, poprawny i drugi „artysta“, „dekadent“, „filozof“, i „dyabli wiedzą co“, a właściwie jak papa hofrat definiował „nieudała bistya“, „kawiarniana pflanca“... konwojowali siostrę. I kiedy bywało cała rodzina siedziała w stallach gotyckich, kiedy w obłokach dymu kadzielniczego z ciemności w blasku świec i żyrandoli z głębi wielkiej, ciemnej nawy kościelnej zaczęły wyłaniać się chorągwie, feretryny, krzyże, figury, wszystkie dzwony gotyckiego tumu jęczały staremi, pordzewiałymi sercami, kiedy pod wielki ołtarz zbliżała się procesya, w szereg ustawiali się żołnierze, podchodził baldachim, przed nim dziewczątka z kwiatkami, a pod nim w gronie proboszczów w zło-

cie i fiolecie sędziwy starzec biskup siwy z twarzą ascety, z monstrancją w dłoniach... wtedy i młodszego Młyńskiego opanowywało jakieś rozczerzenie, jakiś żal, ból, jakaś duma i radość, że i on należy do tej wielkiej gminy... Robiło mu się gorąco, czerwieniał, bladł, w blade-niebieskich oczach szklily się łzy, dusza mu się modliła stare „Ojcze nasz“, serce biło, niepokój go ogarniał, budził się w nim *unus defensor Mariae*, praprawnuk kresowców, rzeźących poganina i szepczących Zdrowaśki. I dopiero spojrzenie w bok na hofrata gładzącego lewy faworyt, lub na brata ziewającego pod rondem kapelusza, przyprowadzało go do równowagi, zlewało mroźną wodą, oswobadzało go z „katolickiego transu“. Łzy gdzieś znikwały, wyprostował kark zgięty i rozpoczynał przerwane kokietowanie pierwszej lepszej mieszczaneczki z brzegu. Czy nie tak?...

Młyński jakby westchnął.

Wózek wjeżdżał trzęsąc się po większych kamieniach, w niskie opłotki, między chłopskie ogródki. Z niedaleka żółciły się jaskrawo okna chałupin, gdzieś na podwórku zrozpaczony pies wył w noc bezkسیężycową, chłód był przejmujący. Wózek utknął przed dłuższym domkiem na podmurowaniu, karczmą, Maciek zeskakiwał z siedziska, Opaliński się budził.

...A co tam Maciek?

...Imbratowice jaśnie panie, ino zapalczków biorę u żyda.

...Spał pan? pytał Młyńskiego Opaliński, bo jam troszeczkę zdrzemnął.

...A trochę, więcej rozglądałem się po cieniach.

...O noc, zimno, myślałem, że wcześniej będziemy. Trzeba było zaraz po obiedzie z Krakowa wyjechać.

Maciek, długo jeszcze będziesz nami podrzucał, huncwocie!

...A jesteście dobra godzina będzie. Ano bele tylko jaśnie panie stróż Lupusa potrzymał w budzie, bo inaksi będzie źle...

...Ano ma przykazane. Wal w imię Boże dalej ale już nie żałuj, bo późno. Kostnieje się z zimna.

Opaliński spojrzał na zegarek przy zapalce; była dziesiąta, wózek rażno ruszył w drogę. Drzwi karczemki jeszcze otwarły się, szeroka smuga światła padła na drogę, ciekawy żyd stał w progu, kłaniał w pół i życzył szczęśliwej drogi jaśnie dziedzicowi. Opaliński zasypiał na nowo. Młyński oparł się wygodniej o siedzenie, poprawił skórzanego fartucha, przymknął oczu, próbował zasnąć, starał się na moment nie myśleć, znów otwartymi oczyma wpatrzył się w ciemność, wreszcie wyciągnął papierosa i po chwili rozpamiętywał znów dalej, zasnuwając się obłoczkami dymu.

...„Jaśnie panie“, tak, „jaśnie panie!“ ładny tytuł, wogóle przyjemnie to mieć wieść, własne konie, sztangeta... Co to przyjemnie, to rozkosz, to jedyne życie, inne to wegetacja, a to „ich“ życie, no to już parodia. I Młyński cieszył się na myśl samą, że najpiękniejsze miesiące roku przepędzi teraz na wsi i to na wsi, gdzie jest podobno ogromnie starodawny dwór polski i gniazda bocianie i ogrodnik oryginał i sad ogromny z mnogością owoców i stadninka koni na folwarku i chłopstwo nie gangrenowane polityką i fara i cmentarz przy farze i ksiądz pijaczyna i okopy szwedzkie...; dla siebie będzie miał konia karego dobrego chowu i linijkę wózeczek na dwie osoby i pokój z widokiem na podwórze folwarczne, czworaki pachciarza i wieś. Aż zaciągnął się silniej dymem ty-

tuniowym, taka radość go ogarnęła, taka nadzieja wielkiej wolności, bujania, śpiewania, jeżdżenia, ruchu, taka żądza bratania się z naturą, tarzania po trawie, snu na wonnych, ciepłych mchach leśnych, żądza rwania kwiatów i owoców, zbierania jagód, zwożenia zboża, wszelkiej, bylejakiej roboty chłopskiej. Spluwał ze wstrętem za wózek, gdy mu coś szeptało: rozegzaltowany mieszczuch, mieszczuch. Irytował się, gdy mu refleksja ironicznie tłumaczyła do ucha, że... przecież... mój kochanku, wieś wszyscy lubią, nie tylko ty nieboże, ale na krótko, na kilkadziesiąt dni w sezonie letnim. Natura bez kiosków z grenadiną i lodami prędko się znudzi. Las jest czarowny, gdy ma ścieżki, aleje, pawilon z muzyką. Chłopstwo bądź co bądź śmierdzi. Urok wsi większy jest w drukowanych powieściach zdolnych panów, jak w rzeczywistości. Przekonasz się! A Młyńskiego pasja brała na ironizowanie nieodstępного towarzysza sceptycyzmu, który mu jeszcze przed używaniem tych rozkoszy marzonych saczyć zaczynał truciznę. Otrząsnął się, jakby chciał zrzucić z karku gniotący go koszmar... W każdym razie pożądana zmiana w repertuarze życiowym. Ani nie został w mieście, ani nie pojechał z kobietami do Krynicy, czy jakiegoś innego Zakopanego, gdzie miejskie banalnie głupie życie dodaje tylko inne tło zielone. Nie potrzebuje grać w lawn tenisa i z warszawskimi panienkami oblewać się potem w słońcu, nie potrzebuje obtańcowywać po reunionach historycznych mężatek i rozwódek, nie potrzebuje zaznajamiać się ze setką błaznów wysmokingowanych byle siostra, panna Wanda, miała danserów, nie będzie ani „promenował“, ani „emablował“, ani „flirtował“, nie będzie miał bezwarunkowo żadnego stosunku, na Ka-

śki i Małgośki ani popatrzy. Będzie pił mleko, odrestauruje się, może opali w słońcu i... Wrócisz znów kochaneczku w miasto, będziesz dalej niby trenował się w filozofii, pisał sonety mistyczne, grywał w bilard, siedział godzinami w cygańskiej kawiarence Schultza, spijał czarne kawy, włóczył po spelunkach i wracał nad ranem do domu... Hehe... No nie?... Pamiętasz wróżbę tego arcygenialnego poety, co to był do niedawna waszym królem i prorokiem. Pamiętasz?

I Młyńskiemu zamajaczyła się przed zamkniętymi oczyma dziwaczna scena kawiarniana. Wiosna, ciepło, przed kawiarnią przy stolikach tłum publiczności, w sali kawiarnianej stoliki puste, tylko w bocznym małym pokojuprzy oficjalnym stoliku młodej literatury nie dbała grupa młodych i starszych ludzi o nazwiskach „znanych i cenionych kandydatów“ do literatury i nieśmiertelności. Przy turkocie kół podkutych mazowieckiego wózka Młyński jakby słyszał teraz cichym, przyduszonym głosem wymawiane słowa genialnego poety z czarciej łaski, tego nawskróś kosmopolity, który był przytem tak polskim z krwi i kości, tego rozlewnego kaboty na o Messyaszowych gestach... Tak mi was żal robaczki, tak mi was żal, że tu taki dookoła przesmutny zmierzch bogów, że tak wszyscy schodzicie w nicość na psy, na nędzę, na pośmiewisko, że tak tu siedzicie i siedzicie u tego Schultza i tak was ta przeklęta melancholia gryzie, ten niepokój szarpie, ta nicość zabija, tak tu gnijecie, butwiejecie, jak opadłe liście jesienne na drogach, w tem starem mieście, głupiem, wstrętnem mieście. Ta Wisła stara święta płynie i płynie, już że starości żółta, brudna, leniwa, zniechęcona; a od niej idzie na miasto, na dusze wasze robaczki malarya, taka duszna malarya,

taka paskudna atmosferka marnych upodleń, drobniusich podłości... A wy robaczki w tej malaryi dusicie i dusicie się, tracicie resztki sił na walce z niskimi ludźmi. W tej kawiarni toście się tak pokryli, tak tu uciekacie przed tą malaryą miasta, tacyście jak te kwiaty oranżeryjne, dusze biedne, chore, robaczkowe, szczelinami wchodzi zimne, zgniłe powietrze malarycznego miasta. I poginiecie tak biedne kawiarniane pflance, choć tu i będziecie ciągle uciekać! A ta kawiareńka stanie się waszem przekleństwem, waszym upadkiem, waszą doliną śmierci.

I widział Młyński przed sobą twarz bladą, prawie Chrystusową, pełną niewysłowionego cierpienia z dobremit oczyma dziecka, twarz tego pół-maga, alkoholika, męczennika i karyerowicza, prawie zbrodniarza i prawie anioła, opromienioną nieziemską ekstazą i jakby zwiastującą żałosne objawienie po dwóch butelkach Vina-Vermouth. A koło niej schylone, zdumione, zasłuchane, zasepniałe, zrozpaczone, szydercze, nieznane jeszcze z pism „obrazkowych dla narodu“ twarze. Więc ta chuda o piekielnie czarnych oczach i zaciętych wargach góralskiego wyrostka płonącego buntem, rzucającego burżuazyjnej krytyce i czytającemu filisterstwu już drugą powieść dramat z życia wynędzniałego ludu. Genialna bestya, głupia, pseudonimująca się symbolicznie: Huraganem... Więc ten nie nerwowo a kurczowo skubiący bródkę „uważasz pan“ *gourmand et connaisseur* poezji, wytwornisz, prawie obtargany, egzemplarz ludzki, mówiący siedmioma językami, pijący dla oszczędności herbatusię z mleczkiem, a szastający się po całej Europie, gdzie coś z wielkiej sztuki ostało się przed wandalizmem hotelowej kultury.

Młyński przeglądał w pamięci całą tę galeryę schodzącą się tu od wielu lat. Przez mały pokój kawiarzki Schultza przesunęło się po pokoleniu pokolenie. Prześli z wystającymi uszami od butów, klnący i plujący pierwsi społecznicy egzaltujący się chłopem i nędzą, wrzaskliwi pionierowie Tatr i pierwsi chorąży czerwonego sztandaru, obecnie dymisjonowani idealisci „adjunkty“, „koncepty“, adwokaty. Przeszli drudzy „modern vom Scheitel bis zur Sohle“, trawestujący po naszymu Verlaine'a i Beaudelaira, indywidualni bez oryginalności, ale szczerzy, entuzjazmujący się czystym pięknem, a upijający się czystym alkoholem w każdym nieparzystym dniu kalendarza, już krytyczni względem socjalistycznych mrzonek, młodzieńcy. Przyszła i trzecia *nuanca* pokolenia, globetrotterzy krajowi, estety w czarnych aż po uszki szlipsisach, awanturniczych fryzurach, wyperfumowani twórcy kopy do dwóch kop sonetów o łabędziach, lwach, stawach, nenufarach, gryfach, królowiach, reklamujący afiszami swoje „zbiorki“, jeżdżący po prowincjonalnych miastach z odczytami o sobie, piszący anonimowe bałwochwalcze krytyki swych poezji, wyuzdani karyerowicze młodoci, aktorzy najmłodsi... Sam Młyński miał duszę z tych trzech *nuańców* skombinowaną. Mimo woli uśmiechnął się; tak jest, on świeżutka firma literacka, dopiero „wielce obiecujący“ a jeszcze nie „ogólnie ceniony“ policza się już do tych, co przeszli i już ma zdecydowaną antypatyę do tych, którzy wchodzi za nim. Wcześniej! I przypominał sobie rozmaite sylwety tych, których zostawił tam w tyle, za sobą, w kawiarzence, przy stoliku, w mieście, w przeszłości. Ot teraz po 10-ej będzie kwadrans. Schodzą się już na nowo. Długi, suchy, z pomarszczoną jakby wygry-

zioną twarzą, Jenakowski, emerytowany radykał, rezydent starego pokolenia, encyklopedya dziennikarska już siedzi, jak zwykle po kolacyi, czyści zęby wykałaczką, płucze się herbatą i czyta „naczelną“ z Figara... Koło niego chudziutki, niziutki, genialny kryptografista, talmudysta o oczach niezapominając czyta „naczelną“ z Timesa. Politykują. Jeden ziewnął, drugi za nim, zapalają papierosa. Gaz syczy. Przy sąsiednim stoliku pan pułkownik w cywilnym ubraniu, „sztamgast“ od lat 14, dłużej w nosie zakrywając się Journal'em, pewny, że go nikt nie widzi. W bocznej sali tłuką kije bilardowe, bile upadają na ziemię. Do kawiarni wchodzi Sielawa Łakomyski, sataniczny mentor wszystkich *nuańców* pokolenia, wchodzi z dwoma czy trzema młodziankami, którzy uwielbiają w nim „potężną indywidualność“. „Potężna indywidualność“ jest skrachowanym prawnikiem, udziela się w prywatnej guwernerce, nadto jest rodzajem pokątnego doradcy młodych gejsz i aktoreczek „poszukujących utrzymania“. Nadto gra dobrze w winta, pisze od siedmiu lat studium o „Wenus Medycejskiej“, „którą musi zresztą kiedyś pojechać zobaczyć, choć to do entuzjastycznej pracy wcale nie potrzebne“. Łakomyski wygimnastykował się na paradoxach i od kilku lat imponuje zawsze nowo przybyłym gościom paradoxami w aktualnym sosie. Za to idą koniaki, wódki, pjołter, Łakomyski wpada w trans, mający o przodkach kasztelanach... coś tego, z kresów, z daleka, cichych, ale zasłużonych... szelma ten Niesiecki, świniarze te herbarze, nic nie piszą... a tu tylko rasa coś warta... feudalizm, pańszczyzna, „a tyś milczał syn szlachecki“, hrabia Krasiński, precz z aptekarzami i mydlarzami i wogóle... Pijany Łakomyski zwykle gada i gada, mło-

dzieniaszki mruczą między sobą: „zawsze to genialny homo sapiens... szkoda go“, Łakomyski, który mimo pijaństwa podsłuchiwał śledząc efektu, podnieca się entuzjazmem blambeków, każe sobie fundować, pije znów, uczepia się kogoś upatrzonego, wyrzuca mu brak talentu, zaczyna mówić o swoim wielkim studium o Dostojewskim, „którego się bądź cobądź przeczyta, choć to zbyteczne, bo już te szelmy Niemcy tyle o tem popisały“. Potem znów pije, śmieje się po szatańsku, łyży ma w oczach, histeryzuje, błędnie, słania się i z pewną regularną monotonią powtarza się scena zaśnięcia „potężnej indywidualności“, płaceniu zań i odprowadzania go do domu. Reszta do głębi wstrząśnięta upadkiem moralnym tak „kolosalnej inteligencji“ pójdzie do kochanego Spatza, w lupanar Spatza, gdzie „przy piwie i przy Meli, wszystko się rozweseli“... jak mówi żeński portyer domu kochana Franusiowa...

Młyński wzdygnął się. A jednak może i ten Sielawa Łakomyski to także tylko ofiara malaryi, ofiara czasów przejściowych, ofiara fatalnie dobranego milieu itp. Koniec końców Łakomyski z tą całą swą degryngoladą moralną czuje się zupełnie szczęśliwy, brawuje ją gdzie może, upija się tylko wtedy, gdy moc dekadentów wszelkiego fasonu się zeszała, a jego błędnięcie, nastroszenie włosów i *speak* sataniczny wywołuje wielką sensację wśród zebranych. Urodzony kabotyn... mruczał Młyński przez zęby, kasztelanów zna i lubi z powieści, uczy bębny z arystokracji jak egzaminowany bakałarz, a po kawiarniach Tartuffe zmienia się na Masynisę i daje lekcye praktycznego cynizmu po cztery koniaki za godzinę. Urodzony bakałarz i tyle...

Młyński „gasił i tępił“ Łakomyskiego, sympatyzując z nim serdecznie. Czuł obrzydzenie do tego specyficznego „modern upodlenia“, które pozwalało alkoholikowi tracić kompletnie przytomność, a równocześnie załatwiać rachunki osobiste, nawiązywać intrygi, zdradzać tajemnice, naciągać na fundowanie, grać wyrafinowanie na nerwach młodzików, imponować erudycyjną swadą i kradzionymi frazesami filistrów od bocznych stolików. Młyński tępił jezuicką naturę Łakomyskiego, ale rozkochany był w jego błyskotliwości, cynizmie ciągle blizkim nieubłaganej prawdy, a nawet w jego starych, zwietrzałych paradoxach. Gdy myślał o nim, wstręt go brał estetyczny. Gdy siedział z nim, radował się z jego tryumfów, śmiał z śmierzdzących lupanarstwem dowcipów, podziwiał manifestacyjnie jego paradoxy i „podpierał autorytet“ potężnej indywidualności z kawiarni Schultza. Tak płynęły lata zamtuzowych „burz i rozpędów“, Łakomyski twórczość nowelistyczną Młyńskiego nazywał „kleczeniem ramot“, jego sonety „karmelkowym symbolizmem“, zazdrościł mu marnej dziennikarskiej sławki. Sam zaś nie pisał, nie chcąc się „prostytuować z krytyką“. Młyński od czasu do czasu, gdy go ambicya ugryzła, urządził wobec plenum kawiarnianego obalenie „potężnej indywidualności“. Zaczynali od przycinków, poczem Młyński głosem chrypliwym z wściekłości zwykle z pozorną flegmą mówił mniej więcej: ...Wiesz Gustaw znudziłeś *mnie* już okropnie, powtarzacz się, kokietyjesz *mnie* ciągle jednakowo, nie bawisz *mnie* już, tańcz już koło kogo innego, masz tu panów na przykład... (Młyński wskazywał na liryczną smarkaterę) — możesz ich bawić, puszczam cię! Filip dwa koniaki panu Łakomyskiemu. I passya u obu rosła.

Zaczynał się sąd Boży dwóch reprezentatywnych i czołowych jednostek kawiarenki Schultza. Kończył się prawie regularnie tem, że Młyński zaczepiał szyderstwem ryngraf z Matką Boską, który Łakomyski kupił w starej antykwarni i powiesił nad łóżkiem swem obok wykrojonych z pism baletnic i aktorek. Łakomyski zwykle uroczyście, ale tylko na zapytanie gościa opowiadał... Ten ryngryf? o tak! stary! to jeszcze po moim prapraszczurze ś. p. Szymonie Sielawa Łakomyskim kasztelanie... (raz było zakroczymskim, raz wprost... połanieckim). No a ten dywanik nad łóżkiem Łakomyskiego! Ten był jakby kolosalną symbolizacją jego „potężnej indywidualności“: na środku krucyfiks od Ojca Marchand T. J., dany przy maturze, pamiątka jezuickiej edukacji, przy nim z prawej Loie Fuiller, z lewej księżna Chimay, naga jak Mojżesz w koszyczku, przy Chimay Budha, Dostojewski, Wenus Medycyjska, Nietzsche, pyszna fotografia wielkich rozmiarów: Fife Sisters Barrisons, medalion Zygmunta Krasieńskiego, wachlarz z gejszami operetkowemi, Tolstoj, ryngraf z Matką Boską ś. p. kasztelana, dalej wprost tanie obrazki z nagościami, rewolwer zardzewiały, butelka pękata z wina Chianti... I przy scenie, jaka w kawiarni między nimi wybuchała, Młyński drwił zwykle z antykwarskiego ryngrafu, Łakomyski trzasnął coś złośliwego o starym hofracie, zbydlęciałych sferach biurokratycznych i awantura była gotowa. Młyński, który ojca swego starego biurokrate z trudem i nerwowem zaparciem się znosił, zapalał się w obronie papy i zwykle rznął butelką, talerzem, tacą, herbatą w głowę „indywidualności“. Wybuchał „szkaradny szkandał“ jak mówił kawiarz Schultz. Dwa razy miał być nawet pojedynek. Raz Łakomyski dostał coś

w rodzaju epileptycznego napadu, jak jedni twierdzili „prawdziwego“, jak inni: absolutnie grał, bowiem podczas napadu wyleciały mu „przypadkiem“ z kieszeni dwie fotografie cudownie pięknej kupcowej miejskiej z fałszowanymi napisami: „Memu Guciovi“ i „Jedynemu Mojemu Bebé Guciovi Jego do końca Ala“... Przypadkiem... Znamy się na tem...

I Młyński roześmiał się serdecznie, prawie na głos w tę ciszę nocną, w której teraz słychać było bulkot i plusk wody, uderzającej o kamienie. Wózek wjeżdżał na most drewniany i toczył się z małym stukotem czwórki fornalskiej. Opaliński oczywiście spał jak na edredońskich puchach, Młyński nachylał się do Maćka.

...Daleko jeszcze Maćku? szeptał częstując go papierosem.

...Dziękuję. A bendzie proszę łaski pana nie cały kwadrans. To Gorzałkowice, a po Gorzałkowicach to my...

Młyński głęboko odetchnął. Jakiś ciepły wiaterek wionął im w twarz od pól. Z prawej jechali wzdłuż rzeki czy rzeczki, zgiełk i szum czyniącej. Patrzył w wodę, a z pośród fal i bulgotań zaczęły się mu układać jakieś urywki melodyi, urywane akkordy i zwolna łączyć się w jakąś melodię półznaną. Taką melodię najpierw niejasną, potem coraz więcej wiążaną, wreszcie znaną, zwykle ulubioną, czy ostatnio ulubioną gra zwykle nerwowo wyższym gatunkom ludzi stukot pociągu, gdy się jedzie w samotnym opuszczonym wagonie... grają fale rzeki, gdy się w nie wsłucha, gra szum lasu poobiednią porą. Młyńskiemu fale cicho bulkoczące grały „Impromptu“ młodego Turbii, tę ukochaną przez wszystkie kwiatki kawiarniane melodię melancholijną o jednym motywie monotennie

rozprowadzonym, a tak przejmującym, że trudno się było wypierać wzruszenia, jakie wywoływała. Młyński młodemu samobójcy dodał słowa równie bolesne, niestety już rozśpiewywane przez dyletanckie panny na dobroczynnych koncertach: Połóż dłonie... na me skronie, patrz jak płonie z bólu, z łez mi już...

Rzeczka melodyę „Impromptu“ dziwnie cicho teraz grała. Biedny Turbia taki mały, wąty, delikatny, z główką Mozarta biegł po tych lekcjach, uczył gamm głupowate bachory mieszczańskie, między jedną a drugą lekcją wpadał do Schultza na koniak czy wiśniową, a każdy zarobiony złoty zanosił „Miśce“, okrutnie tęgiej blondynce, czytającej namiętnie Tetmajera i wypijającej jednym haustem butelkę piwa. Kochająca Miśka poszła do szpitala na dłuższą „willegiaturę“, mały Turbia wypisał „Improptu“, zagrał raz współpijanym, „młodym“. Na drugi dzień poszedł na żelazny most malarycznej Wisełki, „wziął“ i utopił się... i został, jak mówił płatniczy Filip, za samą pomarańczówkę winien 16 złr., „a to nie ładnie na takiego pana muzyka utopić się na śmierć a nie zapłacić przody“. Stolik literacki od Schultza fundował Turbii na ostatek jeszcze pogrzeb. Bez księdza, za 25 złr., bez błaznów, dziadów, latarń ukrepionych szła za karawanikiem garstka wyśmiewanych przez motłoch inteligencji małomiejskiej, bladych, znękanych nadludzi, z podniesionymi w ten ohydny dzień listopadowy kołnierzami zarzutek... obok nadludzi kilku muzyków, kilku uczniów. Nad grobem przemówił Łakomyski, zaczął od słów: „Nasz to obyczaj cierń w życia przeciągu kłaść im, laur aż na posagu“... w środku mowy załkał rzewnemi łzami, na chwilę przerwał, poczem mówił dalej. Wszyscy byli pewni, że załkał szczerze. A Młyń-

skiemu zwierzył się tylko przed pogrzebem, że o ile będzie na pogrzebie ten jedyny mecenas sztuki w mieście, handlarz trumien Wesołek, to w środku mowy on sobie ryknie rzęsnym płaczem, bo chce handlarza trumien naciągnąć na weksel.

Cyganerya... och cyganerya! mruknął Młyński wesoło. Miłe to życie... tak, ale jednak... wogóle... musi się pewna reakcja zacząć w tem życiu. W tem tempie tej komedii samozniszczenia grać nie można. Do pracy normalnej przystosować się już nie mogę, koncepcją c. k. fiskusu nie zostanę... ale jakąś przeklętą pracę trzeba będzie sobie wynaleźć, trzeba będzie więcej tych ramot smarować, rznąć powieści na fejteton i masło byle tylko zerwać z tem dotychczasowem, nocnem życiem, z tą kawiarnią, z tymi włóczęgami i awanturami, z tymi od przypadku poznawanymi jegomościami z knajp. Teraz jest najstosowniejsza chwila do tego. Na wsi nabierze allurów szlacheckich, zaprzyjaźni się z naturą, prawdą, czystością, swobodą, nabierze wstrętu do tej atmosfery dymnej i przesiąkniętej gazem i aromatem wódek, kawy, do tego grania w maryasza z semi-kokotami, do orgij pijackich z gejszami, chóru operetkowego na koszt ich „starych“. Zerwie powoli ze wszystkimi zmieniając zażyłość na sztywną znajomość. Raz na tydzień zajdzie do kawiarni na gazetki, teatr ograniczy do minimum, wogóle zwolna przedzierzgnie się z bohemia prowincjonalnego miasta na sztywnego gentlemana, co osiadł z konieczności od niego niezależnych w prowincjonalnem mieście. „Kawiarniana pflanca“ nie będzie, nie będzie nigdy! Przypomniał sobie tego nieśmiertelnego koncypienta adwokackiego, kolosalnie utalentowanego, wykształconego, mądrego pana, zawsze z parasolem, czy deszcz, czy pogoda

w ogromnie wielkich okularach, zgarbionego, o błotnej cerze twarzy. Ten osobnik siadywał u Schultza przy swym stoliku od 5-ej popołudniu mniej więcej do 12-ej, czytywał 86 pism politycznych, robił notatki w ceratowym notesie, jadł jaja na twardo popijając... czarną kawą. Od czasu do czasu pytał się tylko Franka czy Felka, swoich faworytów pikolów: „czy parapli mój na mieńcu“? albo podnosił okulary z nad pism, wpatrywał się w amplę gazową i podsłuchiwał rozmowy z pobliskich stolików, podsłuchiwał „fal życia“. To egzystencja! Hehehe. To okaz flory kawiarnianej! Albo ci dwaj szachiści! codzień przychodzili po 10-ej i prawie nic nie mówiąc do siebie siadali w rogu, dawano im herbaty i grali w szachy do 12-ej, jak płatniczy twierdził od lat 16 (szesnastu), odkąd „nastał do tego sakramenckiego interesu, gdzie gazeciarze chodzą“. Albo ten sportsman w cyklistowskim ubraniu, który brał do ręki pierwsze lepsze pornograficzne pisemko. Naprzód wpisywał dowcipy do zielonego notesika, potem zasłaniał się i spał, nim wreszcie o 2-ej decydował się rozbudzić i wracać do domu. Albo ten stary dziwak, który tu przychodził z całymi tomami Dumasa, jadł ciastko z kremem i wodę „żhudlaną“ i czytał powieści aż do zamknięcia lokalu, do „fajeramtu“. „Zamykamy budę proszę dobrodzieja“. — „Daj mi jeszcze ciastko z khemem i zamknijcie salon o czwartej“, mówił siwiuteński gentleman zdejmując z najzimniejszą flegmą trzewiki — „albo nie dawaj już khemowego, a zagrzej buciki na piecu“. I Lorenz brał lakiery starego wytwornisia, który bywał na dworskich balach Napoleona III-go, wodził tańce w Hofburgu, klepał *Dumasa père* po plecach, a teraz czytał jego; „Naszyjnik królowej“ u — Schultza. To orchidea ka-

wiarniana dopiero, myślał Młyński... Ale ja? Nie będę nią nigdy.

...Proszę łaski pana, możeby jaśnie pana troncnąć, bo już Bogusowice, Ino co dworu nie widać...

Młyński drgnął cały, jakby przebudzony z ciężkiego snu. Tak był na jawie pogrążony w tych obrazach z ostatniej przeszłości, tak je żegnał czule, jakby się z nimi nie mógł rozstawać. Rzucił w rów papie-rosa, trącił dość mocno Opalińskiego.

...Panie Jerzy, już jesteśmy w Boguszowicach!

...Co? aha! już, tak, tak, wielki czas do dyabła. No musi pan być potężnie zmęczony, za to będzie pan spał... Maciek brama otwarta? Z niedali dolatywało mrukliwe poszczekiwanie psa i brzęk łańcucha, jakby wodzonego po ziemi.

...Brama widzi mi się tak. Ino konie się już zdra-
gajom jaśnie panie, bo beskurdyja Lupus sam lata...

Wjeżdżali w aleję dworską; w dali widać było jakieś bardzo jasne plamy świetlane. Zresztą cisza, dziwna nabożna cisza, a tylko konie raz po raz niepokojem parskały i brzęk łańcucha stawał się bliższym.

...A to szelma Wojciech! dostanie on po pysku jutro od pana Wolskiego. A tak prosiłem, żeby psa trzymać w budzie... to szelma... uważa pan, pies pół-wilk, z matki wilczycy, pół dziki, głodzony, bo w nocy stróżuje, postrach na całą okolicę, rozbestwiony, bo padlinę końską w nocy żre i trzeba z nim okropnie ostrożnie... a to psiakrew!...

Opaliński podniósł się w górę na wózku i patrzył dokoła. Ciemność ciemności, brzęk łańcucha gdzieś jakby zmiłkł.

...Maciek, jedź powoli. Uważa pan, panie Poldziu, pan obcy, a ta szelma ma węż przeklęty. Maciek

stań! A to szelma, wie pan obawiam się, Maciek, rycz głośno na Wojciecha! Wojciech!

Konie stanęły, zdradzały ogromny niepokój. Maciek wyprężył się. Młyńskiemu cokolwiek wstrzymało oddech... W ciszy znów słyszeć było już znacznie bliższy, prędki zgiełk podskakującego łańcucha. Wojciech... Woool-ciech! Nagle Maciek drgnął, trzymając silnie cugle w garści, przednia para koni zaczęła się rzucać, wózek szarpnął się, stanął. Opaliński przyciągnął do siebie Młyńskiego. Maciek stał, trzęsąc zębami modlił się: Ojce nas, Ojce nas, który jesteś w niebie...

Młyński spojrzał na prawo i serce przestało mu bić. Łańcuch zabrzączał, z za fartucha wózka wystawał przepyszny kudłaty łeb z dwojga fosforycznymi ślepiami. Łańcuch drgnął, pies kładł łeb na fartuchu. Opaliński odzyskiwał przytomność, zasuwał sobą Młyńskiego.

...Lupus, moja psina, Lupusik, co tam u ciebie, no psino!... Pies zawarczał, ale bez cienia sympatii, złowrogo.

...O Jezu! syczał Maciek... O Jezu, to sie zuci ino patrzeć... O Jezu!

Młyński siedział chyba przybladły ze strachu, rękę prawą trzymał na fartuchu i nie śmiał nią ruszyć nawet, troszkę drżał.

...Pogłaskam go, mruknął schrypniętym głosem.

...Ani się pan waż, Maciek siadaj!

Pies patrzył bez przerwy w Młyńskiego, wreszcie wyciągnął łeb na fartuch do jego ręki, powąchał ją, dotknął nosem i pyskiem. Łańcuch brząknął i Lupus jak baranek zeskoczył ze stopni wózka i ze spokojną flegmą odwrócił się ku wsi. Konie zarwały jak wściekłe, Maciek szczerknął zębami, Opaliński głęboko oddy-

chał i ścisnął ze wzruszeniem ręce Młyńskiego. Prawie w galopie okrążyli wielki klomb z trawnikiem i prawie w galopie podjechali pod jasno oświetloną werandę dworu. W cieniu bujnego winnego krzewu jakaś osoba ogorzała, z sumiastym wąsem biła na odlew w pysk starego „kmiotka“ z trąbką w ręku. Wyśiadali, lokaj pomagał.

...To będzie pan Wolski, a to Wojciech szeptał sobie Młyński, no i wreszcie pani domu...

Na werandzie, w jasnym świetle dwóch wielkich lamp, stała w lila szlafrocisku, sparta jedną ręką na białym „jak śnieg“ charcie owa pani Stefa Opalińska, hebanowłosa piękność, o której mawiano, że:

meża kupiła w worku,

jest secesyonistką i waryatką,

i znudzoną gniazdem rodzinnym aż do ostateczności.

Młyński z kapeluszem wstępował na werandę, odpinając guziki gumowego płaszcza, z oczyma z zachwytem utkwionemi w... charta.

* * *

Zakochał się po raz pierwszy w życiu bez upamiętania, jak... szatan. Zdawało mu się, że jest tygrysem wypuszczonym z żelaznej klatki wprost w las zwrotnikowy; zdawało mu się, że w ekstazie miłosnej, w chwili upojenia bezgranicznego, powinien sobie wraz strzelić w łeb, bo wszystko co potem przyjdzie, musi już być z konieczności szare, brudne obrzydłe. Czuł się w pełni szczęścia, w posiadaniu wszelkich rozkoszy ziemskich, wiedział, że dlań otworzy się Królestwo Boże na ziemi, czuł się w najwyższym napięciu sił duchowych i zmysłowych. Żadnej kobiety nie

kochał z takim przeczułeniem, żadnej tak wszelkimi fibrami, nerwami, krwią, mózgiem, oczyma, uszyna, całem jestestwem, jak tę świeżo odkrytą kochankę: Wieś. Opalińscy byli cokolwiek oswojeni z egzaltacją Młyńskiego, ale już ktoś obcy, Wolski, leśniczy, obaj lokaje widzieli w nim jakiś element „niesamowity“, coś obłąkańczego, pana bez jednej klepki. Dano mu wielki, widny pokój, z którego widok był na duży dziedziniec dworski, czworobok murowany stajni, wozowni, krowiarni, chlewów, piwnic. Wprost naprzeciw swego okna widział obszerne stajnie, słyszał niecierpliwe kopania koni, rżenia na widok obroku, czuł ten miły ostry zapach stajenny, któryby tak raził filisterskie damy. Po podwórzu uganiały 3 żrebce, fikając sarniami nóżkami. Lupus przywiązany do swej budy spał po nocnych ucztach na ścierwie. Maciek przed wozownią mył wodą koła wytoczonej staroświeckiej landary. Wielką studnię na środku podwórza, krytą daszkiem z długim żłobem do pojenia bydła, naprawiali studniarze. Siódma rano dochodzi, bywało, „stammgast od Schultza“ wracał już z lasu, uginając się pod ciężarem gałęzi... dębowych, włókł za sobą długie wstążki dzikiego chmielu, niósł pęki czerwonych wielkich maków i tem wszystkiem dekorował swój pokój, zamieniając go na jakiś grobowiec schnącej zieleni. Potem biegł w ogród do starego Antoniego, który na czele dwóch „dziwek“ plewił koło „troskawek“, lub „kara-fiolów“, i gawędził z nim. Szedł dalej w ogród, w aleje agrestowe, rwał agrest, zjadał na czczo wyrwane z ziemi rzodkiewki, zrywał kwiaty, układał w dziwaczne jakieś bukiety, aż wreszcie zmęczony szedł na śniadanie.

Przy stole siedziała już zwykle Fraulein Clärchen z małym „ordynatem“ Stasiem i pryncessą Lolcią,

dziećmi Opalińskich. Za chwilę przychodził pan domu, niewyspany, nie myty, znudzony, w „szlafroku i szlafmocy“ na głowie; potem otwierały się boczne drzwi, lokaj wnosił dymiący samowar, wpadała Norma charcica faworytka a za nią... A za nią... pani Stefa.

Opaliński ziewał: Dzień dobry Stefa, Dzień dobry ci Jerzy. Pani Stefa biała, czysta, jasna siadała, Młyński opowiadał z żywością: a żydzi w lesie już naznaczyli i ten kąt od Grodzieńca, a jakże okropnie drzewa niszczą, a opowiadał lasowy, że znów chłopcy kradli w nocy chrust, a już będzie kilkanaście dojrzałych truskawek, a fornała Walka coś w nogę ugryzło i musi leżeć... Opaliński ziewał, pani Stefa z niesłychanem rosnącym zaciekawieniem rozpytywała się o wszystko, nalewała Młyńskiemu herbaty, przysuwała szynkę i rzodkiewki. A w oczach jej czytała już Fraulein Clärchen sympatię dla gościa, gorętszą nieco od normalnych sympatii ludzkich. Opaliński ziewał; on przez cały dzień prawie nic innego nie robił. Gospodarstwo wielkie prowadził pan Wolski, domowe żona, dzieci chowała czterdziestokilkoletnia niewinność Clärchen, jemu pozostawała tylko sztuka... Opaliński malował. Niegdyś podobno nawet miał talent, potem się zagrzebał w problemach światła, chciał koniecznie wynajdywać jakieś nowe metody, eksperymentował, potem zawracał sobie kilka lat głowę Paryżem, ogłupiał, zaczął błagować farbami, malował przy sztucznym świetle, wreszcie po śmierci ojca wrócił do kraju, objął wieś, ożenił się bogato i w końcu wielkiego ogrodu, skąd widok roztaczał się wspaniały, wystawił murowane atelier z szklaną ścianą, gotyckimi drzwiami i czerwoną chorągiewką. Tu ziewał, przez dnie słoneczne stojąc przed sztalugami i zjadając mnóstwo agrestu, pożyczek,

malin, których miał zawsze pełne kieszenie. Przytem malował bardzo sumiennie, jak się pocieszał i bardzo niedołącznie. Odwalał tematy swojskie. Pod ścianami stały oparte o siebie niezliczone płótna z rozpoczętymi dożynkami, weselami, zwózkami, — w rogu stało „Boże Ciało na wsi“, „Dziewczę z sierpem“, „Południe“, „Przed chatą“, wszystko słabe dyletanctwa, szkice poprzone, powalane, stargane, bez wartości. O wielką ścianę oparte rozwalało się znowu płótnisko, na jakie trzy metry długości, ze słynnym „Chopinem“, podmalowanym szkicem, tragikomedją twórczością Opalińskiego. Była to wizja z młodych czasów, praca zaczęta przed wielu, wielu laty, nie doprowadzona do żadnego stadyum, gdyż Opaliński w Paryżu rzekomo przekonał się, że Chopin był Francuzem z krwi, z kości i z ducha; a kiedy wrócił do kraju już „bez wewnętrznej wiary w syntezę Chopina“ malować nie mógł. Obraz przedstawiał niby Chopina przy „klawicymbale“ improwizującego mazurka, przeraźliwie suchotniczego młodzieńca z rozwichrzoną fryzurą z szeroko rozstawionemi rękami, a nad nim i koło niego jego wizja w natchnieniu artystycznym, więc „pan Wolski“ rządca w kontuszu, sąsiad pan Borotyński w kontuszu, dwie modelki w żupanikach, Maciek stan-gret w krakowskim ubraniu, Szymek, Jadwiga „do wszystkiego“, Magda, siwy chłop, łysy chłop, baby, wszystko w mistycznym bawełnianym obłoku nad fortepianem, nadto z boku ułan polski auto-portret Opalińskiego... „Chopin“ stał tyłem do pracowni malarskiej, a pokazywany był tylko bardzo zaufanym. Młyński niestety już od drugiego dnia od przyjazdu został zaufanym, bąknął przed bohomazem kilka błędnych frazesów o piękności mazurków Chopi-

nowskich, o konieczności skończenia dzieła zaczętego. Odtąd miał jakąś tępą, bezlitosną pogardę dla ziemianina-malarza, który tak się opychał śliwkami, tak serdecznie ziewał, tyle pieniędzy wyrzucał na płótna i farby i tak okłamywał bez skrupułu siebie, żonę, świat. Mimowoli porównywał męża pani Stefy z Łakomyskim; przecież i ta szelma miała podobno jakiś talent kiedyś, a zgubił po drodze w butelce. Łakomyski miał pełne biurko zeszytów z zaczętymi studjami o Wenus, o Dostojewskim, „o współczesnej apatii“, dramatami o tytułach ponętnych: „Bagno“, „Chorowite dusze“, „Nieuleczalnie chory“. Ale biedny Łakomyski nie trafił na znudzoną panieństwem bogaczkę, musiał pracować na siebie i mimo swe wady nie był do kroćset dyabłów tak obrzydliwym, tyjącym pasożytem, „mężem na utrzymaniu“; wolał się zapijać koniakiem niż opychać śliwkami jak ten. Łakomyski pozował przytem na łotrzyne, a był tylko skrachowaną egzystencją ale uczciwą naturą. Opaliński lubiał wieczorami gawędzić o sztuce dla społeczeństwa, o pracy dla dobra ogólnego. Faryzej! I powoli nabierał Młyński porównując obu, znowu sympatyi dla Gustawa a pogardliwego lekceważenia dla męża pani Stefy. Rezultatem tego był list entuzjastyczny do Łakomyskiego o wsi polskiej... Stanowczo zerwie z całą cyganeryą od Schultza, rozumował Młyński, ale Gustaw to przecież stary druh, jeszcze z czasów, kiedy się młodym prawniczkim biegło po jour fixach parafialnych od doktorowej do adwokatowej, od radczyni do profesorkowej prawa rzymskiego, stąd na posiedzenia komitetów balowych, nie zdejmowało smokinga i lakierów, bawiło ośmnastolatki opowiadaniem o tinglach, kontrolowało, czy damy „ze świata“ na dobroczyńnych wen-

tach nie eskamotują banknotów z kasetek. Młyński wypisał się w długim liście do Łakomyskiego zaczętem od Najdroższy mój Gustawie... i t. d. Już to w superlatywach był rzeczywiście rozrzutnikiem, a w ciągu jednej godziny nienawidził i kochał, pogardzał i wielbił, pluł i złocił jeden obiekt ludzki. Pogarda jego przenosiła swój punkt ciężkości z Łakomyskiego na tego „twórcę Chopina“. Był zawsze bardzo grzeczny dla pana Jerzego, gospodarza, agraryusza, arystokraty. Ale wobec pani Stefy zaczynał sobie pozwalać na lekkie o nim złośliwości. I tu rzecz dlań dziwna, zastawał grunt bardzo podatny dla swoich dowcipów, wesoły posłuch, ba nawet sama pani Stefa dodawała do jego soli attyckiej jeszcze pieprzu. Koło jedenastej rano wyjeżdżali na spacer konno. Młyński brał eleganckie angielskie sztylpy, biały kapelusik na swą czarną jak u kruka głowę i siadał na konia jak młody Sidoli czy Rentz; w całym życiu jeździł dawniej dzieckiem na kucu prowadzonym przez niańkę, potem tłukł się po jakichś górskich wycieczkach z damami, zapomniał z której strony się wsiada, przypomniał sobie w moment, skoczył na konia i taktownym kłusem objechał klomb dokoła. Odtąd jeździli co dzień przed południem, z charcicą w skokach pędzącą przed końmi, zostawiając na werandzie „fujare Jerzego“ z miną zaspaną, znudzoną, skwaszoną. Biedny Opaliński! musiał krzyczeć, wrzeszczeć, łazić po podwórzu za modelką Jagą, wreszcie gdzieś ją odnajdywał, besztął i lał z nią (rwąc agrest po drodze) do pracowni, żeby po raz setny odstawiać »dziewczę z sierpem«, „bez sierpa“, „z grabiami“, zakasana, z książką do nabożeństwa, bez książki; ot pielegnował swe kłamstwo życiowe, jak krocie. A tymczasem pani Stefa pokazywała Młyńskiemu czary oko-

licy, cudowności, olszynowe laski, małe wioseczki, zagajniki, stawki, rzeczkę zakrywaną laskowymi orzechami, figury cudowne, sady z uginającymi się gałęziami, stare spiorunowane dęby, ruinę zamku Grodziskiego, okopy szwedzkie. Co dzień coś nowego, uroczego, niezapomnianego. Stawała się dlań kapłanką przyrody, żywiołowym łącznikiem między ziemią a „człowiekiem z kawiarni“, tłumaczką cudów, przewodniczką, powierniczką w jego miłosnym stosunku do natury. Opaliński ze względu „na okolicę“ nie był zupełnie zadowolony z tych „eskapad w duecie“, ale sam jeździć nie mógł z powodu jakiejś zepsutej kiszki, czy wady sercowej, mdłości. Ze względu więc na gościa musiał z cierpliwością znosić te sceny wsiadania na konia, poufałe ruchy obojga, kokieteryę Stefy, nawet dość zuchwałe półuśmiechy lokaika, który pomagał wsiadać madame.

...No, baw się dobrze Jerzy, żegnała pani Stefa.

...Oj te kiszeczki, kiszeczki, ubolewał Młyński.

...Maluj, maluj! Jak wrócimy, pokażesz!

...No jedźcie, już jedźcie, moi drodzy! Uważaj Stefa, żeby cię nie wysadziło z siodła. Poldziu ulituj się tylko i nie forsuj klaczy, bo zawsze przychodzi spocona; no w drogę!... Jakby wołał, żeby mu znikli z oczu.

I oboje „secesyonistka“ i „dekadent“ wyjeżdżali flegmatycznie i miarowo przez szeroko otwartą bramę, przejeżdżali koło Lupusa witając go serdecznie, koło dwupiętrowego murowanego spichrzu z ganeczkiem, wjeżdżali w aleję z gęsto nasadzonych wiśni, a kiedy czuli, że już wyszli z pod kontroli „fujary Jerzego“, puszczali się w tęgi cwał i dopiero przez wieś znowu jechali z feudalną godnością.

Przed chałupinami na zydłach siedziały baby, to

skrobiąc ziemniaki, to karmiąc młode samczyki. Na widok jaśnie pani podbiegały, całowały, śliniły, dzieciśka zmykały do sieni, do ogrodu. Gospodarze kłaniali się z pokorą, ale i z tą dziwną królewską godnością na całym świecie tylko u polskich chamitów istniejąca, co to każe po ukłonie karki prostować jak strunę i jasnym śmiałym obliczem patrzeć w jaśnie oświeconych. Ten przejazd przez wieś zawsze cokolwiek odbierał tupetu Młyńskiemu. Nie zupełnie wiedział jak się zachować, nie czuł w sobie nic z „jasności państwa“, a tylko pierś mu rozsadzała jakaś chęć bratania się z nimi, ściskania ich rąk, całowania tych ogromnie jasnych główek dziecinnych, siedzenia w tych podpieranych chałupkach na tych ławach, jedzenia z tych garnków, co się suszyły na kołkach od płotu poodwracane. I to dziwne! W nim chłopomaństwo! ni stąd ni zowąd to rozczulenie na widok parcianej koszuli, ogorzałej piersi, tej równo ściętej chłopskiej grzywki, w nim! w paniczyku, mieszcuchowskim markizie Poldziu o batystowych chusteczkach od nosa. Młyński pamiętał, jak w szkolnych czasach, na ławkach gimnazjalnych nie cierpiać, nienawidzić tych Kciuków, Barciów, Bachledów, Kobiałków, tych chamków brudnych, zakutych w naukę, schlebających belfrom, liżących łapy katechetów, dygocących w strachu przed c. k. dyrektorem, przedwczesnych karyerowiczów, wszystko spodłające natury niewolnicze. Potem na uniwersytecie, te chłopskie syny to była zawsze trwała i niezawodna podwalina konserwatyzmu. Żarli się o lekcje jak psy o kości, zdawali świetnie egzamina, doktoryaty i w świat wychodzili jako młode klechy bezduszne, łakome na piwo i kiełbasę z sosem, na dobrą plebanię z tęgą Maryską. Taki kolega z szkolnej ławy Dr.

Wojciech Szufa czy Kufa nie kłaniał się Młyńskiemu na ulicy; był jakimś koncypistą czy kancelistą, a młodego Młyńskiego uważał za „socalista“; taki obrzydliwy człowiek z kwadratową głową i czerwoną krawatką, belfrzyna Pytel czy Hycel, coś w tym guście, śmiał mu raz na koncercie podać dwa palce przy uścisku dłoni. Młyński wtedy spojrzał tylko na niego odwróciwszy się lekko przez ramię i rzekł półgłosem przymrużając oczu: Mój kochany Cypel, czy jak ci tam, naucz ty się podawać całą rączkę, bon? i odwróciwszy się na pięcie, przeszedł koło rzędu pań i panów zdumionych tą sceną. Odtąd znienawidził chłopski element jeszcze bardziej, wydrwiwał modnych gadułów chłopomańskich cierpiących na palpitację serca na widok malowanej skrzynki chłopskiej i innych zapaleńców piszących poważnie, iż:

„kiedy zbraknie Europie rodów królewskich, przyjdą narody prosić chłopów polskich na królów“. Hehe! Syn pana hofrata nienawidził tej blagi, kmiotka Piasta uważał za bydlę, a Rzepicę za samicę bydlaka... Punktum. A teraz?

Kiedy po obiedzie widział, że Opalińscy śpią, Fräulein z dziećmi w ogrodzie, a lokaje poszli gdzieś coś kraść, wymykał się do pachciarza, zmieniał pieniądze na drobne i biegł chyłkiem na wieś, na kraj wsi, gdzie koło stawu raczej bajury czarnej, pełnej kaczek i gęsi głupich, jak damy na „fixach“, bawiły się w błocie, piasku, mule dzieci wiejskie pół nagie, opalone, brudne. Z całą ostrożnością i cichością siadał gdzieś z boku na ziemi pod krzakiem tarniny i wolno rzucał w staw kawałki chleba, bułek. Gęsiska i kaczki nadpływały, dzieci to spostrzegały, szeptały coś między sobą, płoszyły się, strachały, szły, wracały.

...No chodź tu do mnie mały ananasie, wołał łagodnie Młyński, chodźże Wojtuś, Kasia! chodźże pikolo mio caro, chodźże ty mała Mignon! No kanałijki nie bójcież się Caffepilancy. Łagodnie z lewej kieszeni rzucał im u pachciarza kupione cukierki, pierniczki, a śmielsze bobięta dostawały grosze i maleńkie srebrne monetki i olbrzymie miedziane kółka. A po czasie doszło tą metodą do tego, że malcy i malczynie spinały mu się na plecy, bawiły zegarkiem i łańcuszkiem, wyciągały papierosy z port-cigarre, że gromadka łapała gęsi za ogony, że bawili się w zbójów i żandarmów, że w piasku budowali domy, strugali fujarki, piekli ziemniaki, a po wsi już rozchodziła się szeroko gadka o tym młodym panu od jaśnie państwa, jak to z rakami figluje nad stawem, ile to dzieciiskom rozdaje drobniaków, cukierków, słodkości, jak się nimi bawi, jaki waryjat, jakie się malce robią uzuchwalone. Zauważono jednak, że panicz w flanelowym ubraniu wykrada się tylko wtedy, kiedy u dworu wszyscy śpią, a lokaje kradnom. Więc też, choć go już baby znały od schadzek nad stawem, choć z nim coraz poufalej gwarzyły przy dzieciach, to jednak przy przejeździe z jaśnie panią przez wieś udawały, że im jest obcy, biegły doń całować go z babską pokorą w rękę i przypatrywały mu się jak obcemu.

Pewnego razu na przejażdżce konnej obiecała pani Stefa pokazać Młyńskiemu coś nowego... Pokażę panu naszego Matuzalema, gospodarza co ma równe 100 lat i pochował cztery żony w życiu. Samych prawnuków już ma coś z 10 sztuk.

Z głównej drogi wioskowej zboczyli na boczną, która wiodła do młyna, przejechali obok niezmiernie naiwnej, ale dziwnie uroczej kapliczki z czterema to-

polami i zbliżali się do jakiejś większej, obszerniejszej, bogatszej zagrody. Było południe z doskwierającym gorącym, jechali więc wolno, bo konie zdały się pomęczone. Przed zagrodą zebrała się jakby większa gromadka ludzisków, na drodze grzebały dzieci w piasku.

...O, widocznie stary coś opowiada, czy radzi, szepnęła pani Stefa. Wie pan, w ostatnich latach udaje trochę proroka, wieszczbiarza czy maga. Cytując pismo święte, podnosi ręce do góry prawi ludziom kazania i mówi niesłychanie śmieszne rzeczy o Sądzie Ostatecznym. Zaraz go pan zobaczy.

Podjeżdżali. Dzieci na widok Młyńskiego wpadły w radość krzycząc: corny pon, corny pon, uciekały, wracały popychając się. Gromadka zebrana koło starca rozstała się, jakby chciała odsłonić go ku podziwianiu, a syn hofrata w jednym momencie ogłupiał i oniemiał. Może było i czego, bo na ławce siedział człowiek, o którymby jedno można tylko na świecie całym powiedzieć, że stworzony na obraz i podobieństwo Boże. Olbrzym, jakby nadczłowiek o pełnej siwej, jak srebro, czuprynie z szerokimi krzaczastymi brwiami i brodą, ach brodą! poematem, brodą! fałą srebrniutyńką, sięgającą po sam szeroki pas skórzany. Temu chyba gronostaje zarzucić na plecy lwie, dać mu jakieś największymi djamentami nabijane sandały, złote berło do prawicy, a tę podłą kulę ziemską do lewicy i niech rządzi...

Młyński wpatrywał się w starca jak otumaniony, jak oczarowany, serce mu biło gwałtownie, tracił oddech, coś go jak omroczyło, a tylko w uszach słyszał to odrzutowane przez siebie tylokrotnie, a teraz dzwoniące mu rozgłośnie, tryumfalnie...

„a kiedy zabraknie Europie rodów królewskich, to przyjdą narody prosić chłopów polskich na królów“.

I z skromnością i z nabożeństwem zsiadał z konia, wyprostował się, poprawił żakietu, zdjął kapelusz i ze schyloną głową wolno poważnie szedł ku starcowi. Gromadka rozstała się szeroko i patrzyła zdumiona ale uroczysta, jakby przejęta jakąś nadzwyczajnością momentu. Pani Stefa odczuwała sercem, że Młyński idzie jak w śnie, pchany jakąś niewidzialną, wielką, wielką mocą momentu. I w oczach „secesyonistka“ uczuła coś jakby... łyzy.

Młyński, syn baronówny niemieckiej a „polskiego hofrata“ klęczał już przed poważnym starcem i tulił łeb czarny do jego kolan i całował święte pomarszczone, czerwone od krwi nabiegłej, spracowane przez setkę lat życia ręce a tylko strach go brał, że mu z nadmiaru żałosnego szczęścia serce pęknie. Chłop wzniósł trochę wyżej głowę starego orła, podniósł rękę i błogosławił młodego dekadentę, bynajmniej nie zdziwiony niezwykłością faktu. Lekko tylko wzruszony szeptał modlitwę. Wreszcie pochylił się i z całą serdecznością pocałował Młyńskiego w czoło, ręką pogładził mu włosy i wolno powstał, jak mocarz imperator na znak, że ceremonia skończona. Skłoniwszy się kornie zadumanej pani Stefie szedł do izby. Baby rzuciły się do Młyńskiego i jęły go całować po rękach, po rękawach, ramionach, cała gromada jakby wdzięczną mu za ten hołd dla chłopskiej starości odprowadzała go do konia. Wsiadał i żegnał ich kapeluszem, jak Kościuszko na obrazku (już zdawało mu się). Ruszyli w galopie, kiedy sygnaturka kościelna dzwoniła właśnie na południe, a z zachodu wionął jakiś przemiły chłodny wiaterek.

Kiedy wrócili do domu, Młyński rzucił się do swego pokoju, przeprosił, że na obiad nie zejdzie, prosił „o garnek czarnej“ kawy, dostał, zamknął się u siebie, wypalił mnóstwo papierosów, trząsł się ze zdenerwowania jak mimoza i od jednego zamachu wypisał baśń fantastyczną p. t. „Chłop Imperator“. Wieczorem spalił ją i przebrawszy się w garnitur żakietowy, krawat „a la prince Monaco“ i uperfumowawszy rezedą przeszedł do salonu Opalińskich gdzie oprócz gospodarstwa rozsiedli się „sąsiedztwo“ państwo Dzierżanowscy z 2 córkami, symbolami obrzydliwstwa i synem Alfredem, typowym Alfonsem warszawskim z monoklem w krowiem oku.

* * *

Młyński prędko przyszedł do normalnej równowagi swych sentymentów. Ale sentymenty bądź co bądź pozostały. Odtąd często zachodził do chałupy Matuzalema starca Średniawskiego, słuchał jego objawień i wizyi, zdumiewał się nad naiwną i groteskową, ale zawsze obrazową fantazją chłopą, podniecał go do dalszych rojeń i opowiadań. W chałupie Średniawskich był stałym, radośnie widzianym gościem. Nie ukrywał się z tymi stosunkami przed dworem, bo wiedział, że wszechwładna pani Stefa, właściwy dziedzic, popiera i pochwała jego nową manję. Często ze starym prorokiem szli w las haszczami, kryli się gdzieś na wązkich stoczach porośniętych głogiem, leszczyną, tarniną i Bóg wie czem jeszcze, siadali i kładli się w wysokiej bujnej trawie i gwarzyli. Młyński czasami się kąpał i z wody opowiadał staremu o dalekiem świecie, polityce, nowoczesnych ludziach, „współczesnej idei“, „malaryi miast większych“. Średniawski jak

mu się to znudziło, poczynął pomstować na obecne czasy, wielbić stare, groził końcem temu wszystkiemu złemu i opowiadał o ulubionym swoim końcu świata... A ino, jak tylko one tromby mosiężne zagrają i wszystkie dziewięć glidów anielskich rzondkiem się po niebie poustawia, zacnie grzmieć po chmurach. I ani się ludziska nie obejrzą, jak tu apostoły wniosom tron, potem zacnom iść wielebni proboscowie z kadzielnicami, jak tu u nas chłopoki, a na końcu całej tej procesyi bedzi se pod baldakinem sed Pan Bóg, za nim Syn Boży, a potem w złociuskiej klatecce gołabecek mały Duch Święty, niesiony przez duchowne osoby męczenników i Najświętsza Panna i patrony Ojcowie święci, ilo ich tylko było od początku świata. I znowu tromby zagrają i znowu pieruny bić bedom i...

Młyński pierwszy, drugi raz słuchał bardzo ciekawie Sądu Ostatecznego, przy trzecim już trochę ziewał, przy czwartym zaczął lekko przerywać chłopu.

...a niektoremu chłopu, cy panu, wkiedy będę grzechy przewazać, to Najświętsa Panienka tam gdzie dobre ucynki dorzuci cosik ze swego odzienia, to opaskę, to chustkę, to złoty pantofelek... marzył stary, pykając z fajki.

...ech, gdzieby tam Matka Boska zechciała tak oszukiwać, podchwytywał Młyński.

...dla dobra, łaski panie, dla poratowania tota i dozuci, jezeli taki grzesnik litanię w życiu ino odmawiał

...a może, konkludował Młyński, chlapiąc się i bryzgając wodą w słońcu, kładąc się na deskach pochylonych jazu, po których woda z szerokiego stawu spływała w małą rzeczulkę. Stary siedział nad brzegiem, pilnował ubrania i moczył nogi w wodzie, grożąc

grzesznikom piekielnymi karami, a z ciekawością oglądał garderobę Młyńskiego.

...a jacy tacy będą bez to, co cnotliwi iść ku pracy a koniokrady, dziwkorze, pijoki, kumedjanty, żydy na lewicę. A wkiedy nowa osoba podendzie, znowu ogromnym głosem huknie Bóg Ociec z tronu: A ty kołtuniasty, rzeknie do kołtuniastego, ilość razy babę sprął? A kołtuniasty, jak zawdy głupi, a chytry odrzeknie: A dyć Najwyższy Trybunale Boze Miłościwy tocieś Wszechwiedzący, tota i miarkujes, zem umar a do śmiercim baby nimioł... a siła tyz te styflety łaski panie kostują? kończył chłop extatyczną wizję Sądu Ostatecznego. Młyński wymieniał cenę styfletów, ale z Sądu Ostatecznego i mistycznych objawień starego drwił już na funty. Z czasem zaczęły go nawet nudzić. Pani Stefie ironicznie zaznaczył, że stary alfabet już się w ekstazach powtarza, coraz rzadziej zaglądał do Średniawskich, zresztą już choćby dlatego że pani Stefa od jakiegoś czasu zaprzestała siesty popołudniowej na huśtającym fotelu i sama ofiarowała się towarzyszyć Młyńskiemu w spacerach wertepowych, zasłonięta śliczną czerwoną parasolką przed południowym słońcem. Tak więc całe ranki, a odtąd i całe popołudnia spędzali razem; Opaliński oczywiście spał, objedzony nad miarę, jak zawsze, dzieci bawiły się na ogrodzie. Wieczorem często wyjeżdżano gdzieś w sąsiedztwo, ale już w oficjalnym powozie nie w milusiej linijce. Między innymi wypadało Opalińskim rewizytować i Dzierżanowskich, a że stara madame Salusia zapraszała i Młyńskiego do Imbramowic, więc pewnej niedzieli musiał nałożyć na barki redyngot, angielskie portugały i w pełnej paradzie towarzyszył Opalińskiemu, klnąc w duchu, że znów przyjdzie mu pa-

trzyć i ocierać się „o tego Hamadryasa w monoklu, cudsojskiej tresury“, młodego Dzierżanowskiego. Dzia-
łał mu na nerwy ten dryblas z głową kokosową, cerą
pomidora, wargami murzyna, wąsami kota, irytował
go zupełnie obiektywnie zresztą tem obflirtowywaniem
pani Stefy, tem beczelnie zwierzęcem śledzeniem jej
ruchów, tem wpatrywaniem się w jej pierś, plecy,
szyję, tem spokojnem lubowaniem się jej urodą. Po-
stanowił w powozie jeszcze traktować epuzera war-
szawskich kokot kanalicznie. Już to wogóle niepo-
trzebnie zapoznał się z całą okolicą i znajomościami
Opalińskich. Mógł przecież od pierwszego wyjazdu
zaraz się wymówić, a byłby miał spokój wiejski w ca-
łem tych słów znaczeniu i sielankę bez towarzyskich
stosunków. A teraz musiał paradować, ubierać się,
balansować ciągle w ten sposób, aby samemu impo-
nować hreczkosiejem „łykom“ i ciągle markować
to, że nazwisko Młyńskich nie należy jeszcze do na-
zwisk „declasses“, że papa jest mandarynem, mama
zawsze baronówną o gotajskich kolligacyach, a on
młodym lowelasem „oddającym się“ literaturze. I Młyń-
ski wysilał się na imponowanie. U Dzierżykraj-Dzier-
żanowskich było pewnej niedzieli, jak zwykle więcej
osób, państwo Bobrójcy, państwo Lubożeńscy, hra-
bina Trocka, dwie stare panny Prztyckie czy coś ta-
kiego, które razem z córkami domu stanowiły już ga-
leryę monstualnej brzydoty, jacyś dwaj bracia, drągale
rumiane, pucułowate, płowe z olbrzymiemi gorsami
wykrochmalonych koszul: panowie Ujazdowcy, jakiś
„pułkownik“ z niewiadomej armii, stary reumatyk z he-
banową laską. Młyński starał się nie przesadzać w no-
womodnej efronterii, ale więcej „gentlemanic“, po-
wagą naznaczyć swą poprawność. Czuł, że hrabina

Trocka sepleniąca po angielsku z tymi wysokimi ko-
ściotrupami pannami Prztyckimi obserwuje go z pod
oka, bo przecież słyszała w mieście, że ten literat
Młyński to libertyn, komunard, że chciał wysadzić
bombą w powietrze pałac biskupi z biskupem razem,
a tu widzi *first rate boya* emablującego *smart* ma-
dame Bobrójską i Łodzie Bobrójską piegowatą anie-
licą o słomianych włoskach. I Młyński oblagowywał
Bobrójskie, przeciągając strunę prawdopodobieństwa
aż do pęknięcia: jak to Kopenhaga go prędko znu-
dziła, jak to prawdziwe: *vedi Napoli e poi morire*, jak
to prześlicznie śpiewa księżna Eliza Battenbergska,
którą miał sposobność słyszeć pod Dreznem w zamku
książąt Wied, jak on ma sypialnię swą wybitą białą
materyą, białe dywany, białe meble, tylko dwie ama-
rantowe kapy na stół i łóżko i wspaniale rosnące
eukaliptusy, jak to chwała Bogu minęły już te czasy
„chudych literatów, jakto my polscy po amerykańskich
stoimy najlepiej, jakto przeciętny soneciarz ma do
10.000 rubli rocznego dochodu, jakto w Kairze bywa
zimno czasami, wilgoć, deszcz, nawet śnieg, o teraz
nawet śnieg, teraz wszędzie zmiany klimatyczne... Wresz-
cie przerwał, mimowoli lekko ziewnął, czuł, że matka
i córka Bobrójskie olśnione aż do stanu komplet-
nego ogłupienia. Wreszcie sam znudził się beczelną
swą blagą, no i spostrzegł młodego Dzierżanowskiego,
jak nachylony nad panią Stefą szepta jej coś, oczy-
wiście niesłychanie aroganckiego do uszka. Pasya
nim wstrząsnęła. Jak śmie, myślał, taki cicisbeo ko-
koci tak ją traktować, jak pierwszą lepszą Kazkę Ko-
walską, lub zakonniczkę z ulicy Freta Chełmickiego.
Przeszedł salon aż do kozetki pani Stefy, która na
jego widok podniosła się i podeszła ku niemu.

...Na miłość Boską, uwolnij mnie pan, szepnęła, od tego człowieka... Młody Dzierżanowski już stał przy nich i patrzył zdobywczo na Opalińską. Podeszli do fortepianu, a że Młyński obiecał jeszcze w powozie pani Stefie grać u Dzierżanowskich, gdyż w Boguszo-
wicach nie było wcale fortepianu, siadł więc, zdmuchnął obie świece w lichtarzach, położył ręce na klawiszach i powiódł okiem po zebranych. Światło żyrandola o kilku silnych lampach jasne padało na głowę i liniom twarzy nadawało jakiś ostry zarys. Salon był duży, miał pewną wytworność dawniejszych dziesiątków lat, szerokie meble kryte zielonym pluszem, wielkie stoły, wygodne krzesła i fotele, szklane serwantki, staromodne konsole, zczerniałe obrazy w złotych szerokich lub bardzo wązkich ramach. Salon ten miał odrębną antyczną dystynkcyę. Młyński ni z tego ni z owego nagle uczuł się tutaj bardzo swobodnym, zadowolonym, szczęśliwym, powziął gorącą sympatyę do wszystkich, mimowoli westchnął i dotknął klawiszy. Z otwartych drzwi szklanych i okien salonu szła silna woń kwiatów, białych tytoniów, rezedy, goździków i róż i jakiś wśród ciszy szept spadającej rosy i tęsknota, bezmierna, osławiona, nieznośna tęsknota polskiej wsi. Pani Stefa w zamyśleniu siadła tuż obok fortepianu, młody warszawski Alfons Alfred dał za wygraną i Młyński zaczął grać.

Grał serenadę Moszkowskiego, tę skromną melodyę tak ogromnie szablonową, melancholiczną, senną, księżycową, grał nerwami, grał jakby jakąś pierwszej wartości kompozycyę... Zwolna opuszczał tekst, wariował melodyę i na tle serenady improwizował jakieś kołysanki, walce, baletowe menuety, zmieniał tempa, zwolna brał dusze zebranych (a słabo z muzyką ob-

znajomionych) w niewolę, sam upojony czarem sierpniowego wieczoru, odurzającymi wprost zapachami kwiatów i wreszcie już hypnotyzującemi spojrzeniami zapatrzonej weń pani Stefy.

Poczem były dziękowania, zapalono napowrót świece w lichtarzach, w ich blasku odśpiewała brzydka Dzierżykrajka nieśmiertelną piosnkę madame Rothschild: *Si vous n'avez rien, a me dire*, poczem kolacya z dobrem winem, sielska dyskusya o koniczy-
nie, kaniance, zwózce pszenicy, pogodzie. Poczem ciężkie wstawanie od kolacyi, szurgot nóg, cygara, kawa, likier, nawrót do salonu.

Młyński z Opalińską gdzieś znikli. Fajara Jerzy zasiadł do winta, panny Przytyckie obie opanowały fortepian, aby na cztery suche ręce tłuc poutpouri z Roberta Djabła, reszta rozsiadła się po fotelach, by trawić nudząc się wzajemnie. Więc oboje poszli w imbranowiecki ogród, słynny w okolicy ze swej piękności. Szli w milczeniu, on ćmił cygaretkę, wdychał z rozkoszą balsamiczne powietrze i składał wiązkę zerwanych białych kwiatów tytoniu, wydających po spadłej rosie narkotyczny zapach. Dostali się nad okrągłuchny stawek zarosły kaczeńcami i liljami wodnemi z wysepką w środku, na której rosła smutna samotna brzoza, płacząca długimi aż w wodzie topiącymi się warkoczami gałęzi. Księżyc w sierpnie mrugał światłem z poza osrebrzonych chmur, ciepło było, rozkosznie i wygodnie. Z odległej dali dolatywały złagodzone dźwięki fortepianu torturowanego przez oba arystokratyczne kościotrupy panieńskie, zresztą cisza. Usiedli na ławeczce w milczeniu dziwnie krępującem i nietaktownem z obu stron. Wreszcie Młyński w milczeniu złożył jej na kolanach pęk białych tytuniowych

kwiatów, ona w milczeniu przyłożyła je do ust, zwrócił się do niej profilem, rękę mimowoli układał na poręcz za jej plecyma, Opalińska mimowoli pochyliła się i:

„stało się, co się stać musiało“ jak mówią fataliści. Może i nie miłość, ale w każdym razie przypadek, „szczęśliwe okoliczności“, „anankę“ rzuciły ich we wzajemne uściski. Wśród tych wszystkich ludzi swoich i obcych musieli się czuć obcymi, osamotnionymi jak na wyspie, więc nie dziw... Zresztą oboje kochali wolność, przyrodę, słońce... Z tysiąca powodów przekładali wielki grzech nad marną cnotę... byli impulsywni...

Kiedy cokolwiek zakłopotani, choć pewni siebie i bezwinnie, pogańsko weseli wracali po pół godzinie do sali, panny Prztyckie tłukły już bezkarnie trzecie Poutpouri obecnie z „Biednego Jonatana“, reszta osób z kawalerią na oświetlonej werandzie bawiła się w „pierścionek“ jak za dobrych czasów Napoleona III a panie w salonie wiodły dyskretnie przytłumioną rozmowę o trudnościach porodowych, ciężkich operacjach np. „cięciu cesarskiem“ i t. p. tematach. Wejście młodej parki wzbudziło, jak się spodziewać było można pewną sensację przykrą i antypatyczną Młyńskiemu, gdyż na wszystkich tych kochanych swojskich twarzach czytać było można złośliwość, złą wolę i zazdrość. Zazdrościli jemu jej, jej jego, obojgu młodości, żywości i tego pogardliwego już lekceważenia otoczenia. Weszli, siedli przy sobie wśród starszych pań, a Opalińska już ze spokojem światowej damy zaczęła spokojnie opowiadać o tem, że na drugi rok muszą i oni znacznie rozszerzyć ogród, aż pod staw, to jest staw dołączają do ogrodu i na środku też usypie się

i podmuruje wysepkę, na niej zasadzi brzozę, ale pod brzozą da ławeczkę, aby pan Młyński miał gdzie marzyć, jak przyjedzie...

I marzącymi już rozkochanemi oczyma, ale z zupełnym spokojem szkockiej lady zwróciła się do równie spokojnego, choć rozmarzonego markiza z Bożej taniej łaski.

Z powrotem, gdy jechali skąpani w srebrzystej poświacie księżycowej, trzymając się za ręce z boku powozu, Opaliński zmachany wintem i zmorzony winem spał, a Młyński ćmiąc cygaretkę borykał się z dylematem, w tej sytuacji zwykłym: dobrze, ale czy ten stosunek ma dojść aż do ostatnich konsekwencji miłości, czy to będzie tylko męczący i wyczerpujący flirt erotyczny, czy to namiętność czy zabawka, czy warto się angażować i narażać na ewentualności, czy może cofnąć się, czy taki pasożyt jak ten „fujara Jerzy“ zdobyłby się w razie czego na idiotycznie rycerskie strzelaniny, czy taka pani Stefa nie zanadto go (ach co za paskudne to kawalerskie wyrażenie): „przeoczyści“. Ślubował przecież oszczędzać się pić mleko, nabrać sił... I młody idealista współczesnego stempla rachował i ważył, kombinował, liczył, z boku przypatrywał się rozkosznej młodej kobiecie, której nerwową rączkę czuł w dłoni. Wreszcie odrzucił papierosa i widocznie chyba zdecydowany nachylił się i szepnął namiętnie: Kocham cię, kocham bez pamięci. ...Chcę cię mieć... chcę mieć nagą jak... prawda jest naga... jak dusza nasza jest naga...

Ale brutto pobytu na wsi polskiej, myślał równocześnie, diabli wzięli.

* * *

Nazajutrz był deszcz od siwego ranka, z otworów rynien ciekła woda z usypiającą monotonią, drzewa ociekały smętnie, piasek chodników ogrodowych żółcił się jak świeżo wymyty, biedne kwiaty poschylały główki, niebo zasłociło się dokuczliwie na dłuższy czas. Opalińskiemu dokuczały oczywiście kiszki bardzo dotkliwie, gdyż nie wyszedł nawet z sypialni, tylko robił okłady i stękał. Pani Stefa wyglądała nieco niewyspanie. Młyńskiego opadała melancholia. Zaraz po śniadaniu cofnął się do swego pokoju, czyścił długą godzinę paznokcie siedząc przy oknie i śledząc walkę chmur z słońcem i raz wraz odsłaniający się czysty szafir nieba. Potem wypalił pudełeczko papierosów, siadł przy starem biurku, które tu zniesiono z gabinetu jaśnie pana, wypisał pierwszy wiersz sonetu, wzdychał, ziewał, wypuszczał kółka dymne jak magik, wreszcie z precyzyjną biegłością i wprawą, które mu całkowicie zastępowały natchnienie wypisał melancholijny sonet o łkającym deszczu, rozplakanych drzewach, kwiatach, „krwawych łzach jego duszy“ i o słońcu, które wnet kwiatom łyży osuszy i drzewa rozłoci, ale dla jego duszy słońca nigdy... nie będzie. Takie sonety fabrykowano wonczas wszędzie ku ogólnemu zadowoleniu, a Młyński kiedy tylko czuł się znudzonym miał ból głowy lub nie mógł zasnąć, siadał i rzucał na papier taki drobiazg nastrojowy, drwiąc zresztą w duchu z takiej poezji i pogardzając tem śmieciem, rzucaniem na bibułę dziennikarską. Po tym nowym siódmym deszczowym sonecie legł na kanapie z rękami pod głową złożonymi, z papierosem w ustach i zapuścił się w medytacye. Czemu ten szelma Łakomyski nic nie odpisuje na tak serdeczną epistołę? Odmalował mu przecież w liście cały swój tryb życia,

chłopów, starego Średniawskiego, śmieszność Opalińskiego, jej *beauté du diable*, jej inteligencyę wysoką, wspólne arcymile wycieczki, subtelne nastroje, jednym słowem zwierzał mu się ze swych artystycznych emocyi, a ten nic, milczy, nie pisze. Knuje coś szelma, myślał Młyński, knuje gdzież jakieś intryżki teatralne i niema czasu wdawać się w liryczne korespondencye. Ot teraz sierpień, w dzień to włóczy się z aktorkami po alejach, gdzie pełno ludzi i stara się wzbudzać w przechodzących mimo samcach zazdrość, od szóstej myszkuje gdzieś po parku miejskim, o siódmej siada w operetce na swoim recenzyjnym fotelu i choćby 30 raz hałastra operetkowa wrzeszczała „Biedną dziewczynę“, on entuzysta czystej sztuki dla sztuki dosiedzi do końca, będzie ziewał, spał, siedział tyłem do sceny, ale końca dotrzyma na swej „placówce“ i wyjdzie z ostatniem „zleceniem“ kurtyny. Biedny Łakomyski! I Młyński lituje się w myślach swych nad weltschmerzem Łakomyskiego, który wypędza to indywiduum arcycypółczesne z domu i każe mu się włóczyć po najobrzydliwszych spelunkach, po norach karciarzy i pijaków, a co gorzej do tej budy teatru letniego dzień w dzień, dzień w dzień i nudzić się i zanudzać innych. Biedny Łakomyski!

Ktoś zapukał do drzwi. Młyński ruszył się z kanapy; na progu stała pani Stefa. Młyński zdziwiony podszedł ku drzwiom. Nie była jeszcze nigdy w jego pokoju.

...Przepraszam panią za obłoki dymu, ale schodzi pani w nich do mnie jak natchnienie, mówił półgłosem, całując jej rączkę „namiętnie“.

...Tymczasem nie jak natchnienie. Przyszła poczta, przynoszę panu listy i gazety. Jeden list mój własny,

ale obchodzący nas oboje. I siadła zarumieniona przy biurku bokiem, aby nie patrzeć w rozłożone papiery, a Młyńskiemu podała ćwiartkę papieru listowego. Czytaj panie Poldziu!

Młyński nerwowo przebiegł treść listu, z początku zbladł, potem dostał rumieńców, wreszcie czytając podpis roześmiał się serdecznie.

...Tego podpisanego pani nie zna? Ja także i nikt, gdyż nie istnieje na globie ziemskim: Hilary Kropiwnicki, naucz. gimn. Bochnia, ale istnieje natomiast mój przyjaciel Łakomyski, który się w mieście obecnie nudzi między 4-tą a 5-tą popołudniu i czas jak może biedactwo zabija.

...Więc ten przykry anonim?... Pisał Łakomyski, śmiał się wesoło Młyński, tylko że przenigdy anonim pani, Łakomyski twierdzi, że anonim to podłość, gdyż każdy list powinien być podpisany, choćby pierwszym lepszym, byle czytelnym nazwiskiem. Dlatego podpisuje na swoich liścikach, które mają zawsze na celu zawiązać przerażającą intrygę a zawsze chybają, raz markiza Pallavicini, raz Alfonsa Rotschilda, raz Ibsena, to znów pana Macieja Marcinkiewicza...

Pani Stefa śmiała się serdecznie. List ostrzegał ją dość nieudolnie przed Młyńskim, jako że ma w mieście stosunek z pewną wdową, jako że pewnej szwaczce nie zapłacił alimentów, aż go procesowała, a że jest nałogowym uwodzicielem kucharek, a nadto cokolwiek... chorowitym... z pewnych dość dyskretnych powodów. Ostatnim argumentem było, jako lubi pożyczać pieniądze od... mężów... uwiedzionych żon.

Śmiali się oboje, choć Młyński z pewnem wymuszeniem. Raz już postanowił oduczyć Łakomyskiego tych anonimów, którymi pocziwy przyjaciel starał się

zawsze krzyżować zamiary i dążenia jego. Tym razem Łakomyski kiedy dostał list entuzjastyczny o wsi i pani Stefie, kombinował, że Młyński dobija się do pięknej Opalińskiej. Furya samczej zazdrości widocznie bardzo go już oślepiła i ogłupiła, kiedy tak niedołąźnie obmyślił swą nową intrygę. Młyński śmiał się, ale złość nim szarpnęła.

...Proszę w takim razie o kopertę, przerwała śmiechy pani Stefa.

...A co pani zamierza uczynić? pytał Młyński.

...Zobaczysz nałogowy uwodzicielu...

Młyński podawał pięknej kobiecie kopertę listową, jednocześnie pochylił się i ustami dotknął jej włosów tuż za uszkiem, co wiedział, że damulkom czyni zawsze miłą bardzo emocję. A że pani Stefa główkę lekko jakby w omdleniu przychyliła w tył, więc ujął ją wpół, przegiął i w namiętnym wzburzeniu całował „jak pijany“ w czoło, w oczy, w usta, szyję, piersi, szeptał już konwencyonalne w tych warunkach: Kocham... jedyna... znów będziesz moją... tylko moją... oszaleję... muszę cię mieć „całą“ i t. d. Wreszcie zmęczył się, ale dla stylowości klęknął na oba kolana i głowę oparł na jej kolanach. Opalińska poprawiała włosów, pierś jej oczywiście „falowała ze wzruszenia“, w duszy cieszyła się, że to dopiero początek, dobry początek... Na myśl obojgu jakby błyskawicznie przyszedł ten „paszytyt“, ten „fujara Jerzy“, któremu obecnie Fräulein Clärchen kładzie gliniane pokrywki grzane w ręcznikach na bolący brzusek, a równocześnie na głowie zaczynają rość... różki. I pani Opalińska mimowoli roześmiała się.

Młyński wstał, gdyż go kolana już uciskały. Namyslał się, czyby nie wypadało wypowiedzieć okolicz-

nościowo heroiczny monolog od słów: „Opętałaś mnie! Choć wiem, że lecę w przepaść, zamykam oczy, bo wiem, że „niemaż“ dla mnie ratunku...” Ale dał spokój na teraz, tylko przeszedł pokój bohaterskim krokiem, jakby głęboko tragicznie zamyślony i stanął przed oknem. Pani Stefa tymczasem włożyła anonim w kopertę, zakleiła i pisząc adres zawołała głośno... Wielmożny pan Gustaw Łakomyski... a ulica?

...Zamkowa — jeden, śmiał się wesoło Młyński, wyobrażając sobie, jaką minę robi Łakomyski, kiedy dostanie ten pasztet wiejski. Głupi Łakomyski, trzykroć głupi, ani się przez moment nie spodziewał, jak swym anonimem prędko pchnął ich stosunek na normalne tory naturalnego doboru. Kiedy pani Stefa wychodziła z pokoju Młyńskiego, poprawiała fryzurę poraz drugi, ale oprócz fryzury już poprawić musiała i sukni, dopinać stanika i szepnąć zresztą konwencyonalne w tej sytuacji... Ej ty grzeszniku! Podły...

Wreszcie szeleszcząc jedwabną halką wyszła.

Młyński zapalił papierosa i odbywszy zwykłe praktyki, zaczął rzeczywiście nerwowo chodzić po pokoju, stawać przy oknie, znowu chodzić, znowu stawać na środku pokoju, medytował. Chwilę myślał, czyby nie było na miejscu wypisać sonet nowy niejako dziełczyanny, w każdym razie namiętny, krwisty, lubieżny, coś grecko-erotycznego np. Hero i Leander, ewentualnie Odysej i Kallipso, ale przyszedł do przekonania, że to wobec tego co zaszło niekoniecznie. Nie trzeba już brać Stefeczki „na sonet“, mruknął do siebie zadowolony i medytował dalej. Ostatecznie w pani Stefie się nie kocha, gdyż kochać mu się wogóle już trudno bez ciągłego sceptycyzmu rozpiętego nad kochanym obiektem, jak parasol. Ale grzechem o pomstę do nieba

wołającym byłoby nie brać, co dają. Zaczynał sobie przypominać różne szczegóły swojego na wsi przy niej pobytu i dopiero teraz odczuł jak oddawna „na niego leciała“. Dotychczas jakby tego nie uważał, a jeżeli chwilowo zwrócił uwagę na jakie czulsze słowo lub gest pani Stefy, przypisywał to artystycznemu pokrewieństwu dusz, wspólnym rysom charakterów, wreszcie wogóle pewnej stałej słodkości i ciepłym oczom żony Opalińskiego. Przecież nawet kiedy do tego pasaża mówiła czasem „ech wiesz Jerzy, zaczynasz być fujarą“, to tyle słodczy w to kładła, jakby mówiła: zaczynasz być rozkoszny... Młyński miał ją za przesłodką, a nie badał, czy ta słodczy nie jest przybraną tylko na jego benefis. A tak było. Pani Stefa była despotyczną względem służby, impertynentką wobec męża, ale przy świadkach w jednej chwili nabierała słodczy i ujmującej łagodności. I to było właśnie pewnym pieprzykiem jej charakteru, przypominał sobie Młyński, kiedy raz np. słyszał jej ostry podniesiony głos, którym domieszając obelżywe wyrazy besztła kucharza w jadalni, a po króciutkiej chwili wyszła na ogród słodko, wesoło, czule uśmiechnięta. Temperamencik jest, mruczał półgłosem podniecony Młyński, o jest, oczka czernieją prędko, chrapki ruszają się rasowo, potem się oczka dla dyskrecyi, jakby dawniej mówiono, że „sromu niewieściego“, tak niewieściego zamykają, paniusia udaje bezsilną w cudownie łudzący sposób i zdaje się mówić, krzyczeć o tej bezsilności, o tem omdleniu, z którego każdy porządny człowiek, jeżeli ma „kroplę honoru“ we krwi, powinien zaraz, zaraz korzystać. Młyński wesoło zaśmiał się, zatarł ręce i zaczął gwizdać coś pod nosem. O łatwo poszło, aż za łatwo, ale tak wygodniej; myślał, że przyjdzie jaki dwu-

tygodniowy stan obłączenia, denerwowanie się wzajemne, okresy refleksji moralnej i cofanie się, gniewy, przeprosiny, łzy, sceny, awantury, jak zwykle bywa i bywało zawdy. A tu nic z tego. Twierdza pierwszego dnia wywiesza białą flagę ukoronowanej bielizny, poddaje się, zamyka oczka dyplomatycznie, potem śmiech, znowu przyłgnięcie ustami do siebie, upojenie, szal, śmiech, bachiczny śmiech i pocziwe staropolskie: Ej ty grzeszniku... *Voilà tout*. Teraz dzwonią na obiad, słońce rozprószyło i przepędziło wszystkie chmury, pokazało się przeczyste, jasne niebo pogody, apetyt będzie kolosalny!...

Młyński starannie obczyścił sobie paznokcie, ręce oblał rezedową wodą, kłapy surduta „ideałem“ jedynym ideałem, który naprawdę kochał, a w botonierkę zatknął drobny, delikatny kwiatusek: mieczyk *gladiolus*, kwiat pokolenia. Wybrał mieczyk dla pani Stefy specjalnie. Raz mówiła do niego, kiedy szli po zielonej niekoszonej łączce, a Młyński rwał tu jakby krociami posiane mieczyki.

...Zbieraj pan, zbieraj, to nasze kwiaty herbowe, to ulubiony kwiat motywów secesyjnych, to pański kwiat szczególnie. Anemia, bladość barw, krótkotrwałość, samotność, wydelikacenie, a piękność linii, formy, smukłość, subtelność...

Odtąd zbierał, nosił je w butonierce, zaprzyjaźnił się z mieczykami, a do obiadu brał zawsze świeży wpół roztulony kwiat. Tym razem pana domu nie było przy stole z powodu żołądka i przejedzenia kolacją u Dzierżanowskich. Poleciał lokajowi wytłomaczyć swą nieobecność a pani przeprosić Młyńskiego. Oczywiście pan Młyński przebaczył, jadł z kolosalnym apetytem, sypał dowcipami, drażnił się z dwunastoletnią pryn-

cessą Lolcią, nadszakiwał i zasypywał komplementami Fräulein Clärchen, wreszcie gdy Fräulein z dziećmi wstała od stołu i pożegnała się, oboje ze Stefą wypili po trzy kieliszki arcy cudownie zielonego likieru do czarnej kawy. Stefa kazała zaprząć parę karych do linijki, okryła główkę zgrabnym kapelusikiem, Młyński ujął lejące w białe urękawicznione dłonie i rączym kłusem wyjechali za bramę żelazną w aleję wiśni, w słońce, w świat.

Odtąd upływały Młyńskiemu tak rozkoszne dnie w Boguszowicach, jak niegdyś królewiczowi w Aranjuez, tylko już nie szły owym sielankowym kształtem ukochania natury, a popularniejszym w świecie normalnych ludzi kształtem oszukiwania głupiego męża, okradania go z t. zw. czci i wyszydzania ośmieszonego rogacza bez litości.

* * *

Z dawnych sielankowych zwyczajów zachował Młyński już i niewiele. Nie znosił do swego pokoju całych krzaków jałowcu, wielkich gałęzi dębiny i wiechci z kwiatów; z powodu chłodniejszych poranków nie wybiegał szarym rankiem w pola, ale wysypiał się solidnie i higienicznie; nie odwiedzał już chałupy Średniawskich, nie bawił się już z bobiętami wiejskimi, nie łąził od stajni do wozowni i od krowiarni do chlewów, nie zagapiał się na zaryte w czarnym błocie ohydne okazy wieprzów tak podobnych z fizyognomii do znanych europejskich dyplomatów. Spacerów piechotą, wędrówek po lasach zaniechał, więcej siadywał w ogrodzie, grzał się w słońcu przy inspektach, gwarzył ze starym ogrodnikiem. Małe chłopaki plewiły w sadzonkach, obok zeschłego gnoju piekły się w słońcu

dość brudne szkła inspektów, a stary Antoni, podobno jeszcze łasy na kobiety pouczał go bardzo poważnie:

...Te oto długie zielone, to ogórki Noas, bardzo stary gatunek, pochodny z nazwy od proroka Noego, co to, proszę łaski pana, chadzał wciąż przed Panem i pijał piwo dzbanem, a tamte oto, co ich taka kupa Koenigsdorwskie z nazwy od bitwy, co ją austriackie wojsko wygrało nad Francją, tedy ku pamiętce owej bitwy, a tu te melony, co im tylko zady żółte widać, to łaski panie rozmaite, jest ścierwo i Malaga ale łatwo od ogona gnije, jest i dla jaśnie pana dziedzica specjalnie chowany karmelitański Kantalup. Kawony tom ta trzymał psiekrwie, alem wydzielił bo nie chytały ziemi, a były węgierskie rarytne!... Stary Antoni miał kilka przymiotników, którymi obdarzał świat roślinny, stosownie do humoru i fantazy; tak wszystko było raz cesarskie, to napolitańskie, to wczesne, to erfurckie, to piramidalne, to amerykańskie. Kiedy więcej zalał główkę już rano, to szermował i łaciną bez zająknięcia.

...Wicek, szelmo, krzyczał, tobie niedojdo obcinać non plus ultrę, a lepiejbyś se pazury u palców obcinał huncwocie!

...O widzi łaski pan, całą altanem po cesarsku obkwiecił i to zwykłym tałatajstwem bo to, paniedziku, tylko Wytyrus modratus wyczka pachniąca, to tam to Sempius pnonceus, Sępota pnać, ot Nasturdzyja vulgaris, powój napolitański i już cała parada. A jaśnie pan to mi trzy ruble za to tylko wsunął, żem taką piękną altankę wyrzeczył...

I Młyński wdzięczny był Antoniemu za tą altanę tak cieniastą i pachnącą jak wielki bukiet. Tu spędzali z panią Stefą całe poobiedzia w najrozkoszniejszych

nastrojach, w bezpamiętnym upojeniu, w tęsknych zamyśleniach, w rozkochanym wpatrywaniu się w siebie, tu grzeszyli przeciw pięciu przykazaniom, tu szli zuchwale i śmiało za silnym głosem natury, tu ogarniali ich szal i... ziewanie. To bowiem, dziwne zjawisko, mają w sobie zakazane owoce, że po najlżejszym przededzeniu się nimi ogarnia grzesznika przeraźliwa czczość, jak dawniej mówiono wyrzuty sumienia i skrucza. I szczęśliwy Poldziu, chwilowy dzierżawca tak pięknej i rasowej brunety jak Opalińska, pieścił ją i gładził rączki, zamykał jej ciemne oczy pocałunkami i rozpuszczonymi włosami owijał swą szyję, wprawiał ją w katalptyczne spazmy roznamietnienia, półłkania, płacze, a bawił się jak oszalała kotką, ale od czasu do czasu ziewnął przeciągle, zdrowo, cynicznie, w ręce brał fioletoowy i biały aster i z obojętną bezmyślnością darł jasne listeczki na ziemię.

...Wiesz, mówił raz do rozciągniętej na puszystej murawie, zaróżowionej od gorąca, rozigranej od pieszczot pani Stefy, wiesz, że ten syn psa i wilczycy Lupus zaczyna tracić dla mnie sympatyę; to coś bardzo przykrego dla mnie.

...A to co nowego? Chcesz żeby i Lupus rozkochał się w tobie?

Młyński z szczerą irytacją i żalem ją opowiadać, jakto do niedawna Lupus już tak się z nim oswoił, jak tylko ze stróżem Wojciechem, jakto mógł siadać na kamieniu przy budzie tuż, a wilkołak kładł mu wielki łeb na kolanach, jakto mu znosił kości, cukier, chleb, jakto pies myrdał pufiastym ogonem na jego widok, mruczał, ciągnął łańcuch naprzeciw. A teraz? Teraz kości gryzie, chleb zjada, ale bestya nie da się zbliżyć do budy, warczy, rozdziawia czerwoną paszczę

i chce go połknąć całego z manuskrytem symbolicznej noweli w kieszeni.

...Ale ja go oduczę tych fochów i złości, ja szelmie pokażę, groził. Albo mnie polubi znowu i będzie kiwał ogonem, albo mu przed odjazdem strzelę w łeb...

I pełnoletni markiz z tych tańszych markizów jak rozgrymaszony dzieciak bił po główkach czarną laseczką aksamitne bratki o mądrych oczkach, szerokich buziach i mdłym zapaszku. I gryzł wargi ze złości i zdawało się, że już na seryo jeden tylko problem życiowy drogę mu zabieżył, problem psa. Młyński w rzeczywistości nie dał za wygraną. Codzień podchodził do budy, znosił całe worki kości, odpadków, kazał pachciarzowi skupywać ochłapy w mieście. Dziki pies machał ogonem na znak radości, że tyle mięsa dostaje, nocami nie rozdrapywał już padliny, nie biegał jak wściekły, leniwiak, ale swemu dobroczyńcy do kamienia pod budą zbliżyć się nie dał. Gdy Młyński był już blisko, pewny siebie z ochłapem w ręku, pies z przed budy warczał złowrogo i chrypliwie, wyszczerzał łzy i nie ruszał się. Każdy następny krok był już groźny, gdyż pies zrywał się na równe nogi i już miał się rzucić, kiedy Młyński z wściekłością w duszy, a ochłapem w ręku szybko cofał się. Próbował zjednywać psa cukrem, nie pomagało, słodkimi słowami, pochlebstwami, nie pomagało, wreszcie wyprowadzony z cierpliwości przyszedł raz ze szpicrutą. Machnął nią ze świstem przed budą, pies rzucił się jak wściekły, omal nie zerwał łańcucha. Młyński zgrabnie z boku świsnął psa w kark, odskoczył. Lupusowi zła piana z krwią szła z gęby. Odtąd człowiek psu a pies człowiekowi zaprzysięgli nienawiść. Pies wył i szarpał łańcuch niewoli, pinił się, rwał, kopał ziemię, czło-

wiek mścił się. Raz zgrabnie osypał psu nos i mordę tabaką, raz oblał terpentyną ochłap i rzucił psu, który wił się później w boleściach. Najczęściej bił kamieniami z za parkanu ogrodu wprost na psa i jego budę i radował się, gdy rozwścieczony pies z kulejącą nogą wlaził do budy. *Ecce homo sapiens!* A kiedy później medytował nad tem i analizował się, skąd pochodzi ta nienawiść do psa, to drażnienie się z nim, dokuczanie, rzucanie barbarzyńskie kamieniami, czy to może jeszcze dziecinna złośliwość, czy też ten motyw psychologiczny, że człowiek genialny ma zawsze bardzo wiele z człowieka pierwotnego z barbarzyńcy, z homofaga, w końcu przychylił się do tej drugiej alternatywy i chociaż z łzawym sentymentalizmem skonstatował, że ma wiele z dziecka, ale psa bije kamieniami, bo... genialny. I był nadal ze siebie zadowolony. A wreszcie i psu dał spokój, i zagłębił się w studyowaniu... Opałińskiej. Rzecz dziwna! silna i zapamiętała namiętność tej kobiety zaczęła go pętać, otumaniać, ogłuszać. Niby nie kochał się w niej tak, jak w tych, co były, niby brał tylko, co szło do rączek, niby „używał“ jej tylko sympatyzując z jej zuchwałym i niecodziennym charakterem, niby cenił w niej tylko mleczość cery (u brunety!) rasowe chrapki, przepych ciała w wykwintnej bieliźnie i niebezpiecznie szeleszczących modnych tualetach, niby tylko narkotyzował się uwodzeniem, złodziejstwem, oszustwem, niebezpieczeństwem odkrycia, grożącym skandalem, niby ziewał często kiedy siedział przy niej zmęczony, a ona opierała mu na piersiach swą klasyczną głowę „uginającą się pod ciężarem pysznych, lśniących jak jedwab włosów“, a kiedy jej zbrakło na moment, kiedy szła wydawać dyspozycje gospodarskie, cofała się do swych apartamentów, kiedy

żegnała się z nim na dobrą noc i szła tam, do tego, do niego, no do tego bałwana, bydlaka, niedołęgi, pasożyta, do tej rodowej sypialni Opalińskich, przeklętej sypialni, wtedy „kwiatkowi kawiarnemu“ krew uderzała do głowy, głos mu się łamał i chrypiał z zazdrosnej wściekłości i szedł do siebie ciężko, rozpacznie. Bywało wyskakiwał oknem podstawivszy sobie stołek na rabaty i szedł w ogród jak najdalej, gdzie najciemniej, siadał, wypalał całe port-cigarre i dusił się z szalu, ze złości, z bólu. Bywało rzucał się na kanapę, medytował, rozpaczał i zasypiał nad ranem w zatrutej dymem gęstej atmosferze. Bywało zasypiał w wściekłości, jak kłoda rzucona w materace i budził się aż rano z szatańskim bólem głowy. Tracił apetyt.

I teraz kiedy już nastawały chłodne wieczory, kiedy powietrze stawało się coraz czystsze, niebo przy zachodach coraz purpurowsze, a z nad świeżych ściernisk i znowu zoranych pól wznosiły się białe opary i mgły tajemnicze, teraz dopiero Młyński przychodził do przekonania, że jest w dole, że jest wodzonym na pasku, posuwany na szachownicy, że jest pobitą jednostką, zwyciężoną stroną, że on jest „używanym“, jednym słowem, że kocha się w Opalińskiej i to „na ostro“. I jak tu przyjdzie po tak archanielskim miesiacu, przy tak cudownych warunkach jak choroba żołądkowa „tego żony swej żony“, jak olimpijska pogoda, taka uroczna natura, jak tu przyjdzie od tej kobiety odjechać, pożegnać ją na długo, długo, nie zatapiać się więcej ustami w tych pachnących ciałem włosach, nie figłować jak z kotką, nie nosić na rękach, nie kłaść na puszysty, wonny ciepły mech, nie wtulać się w to doskonałe ciało, spragnione dosłownie niekończących się rozkoszy.

Młyński zaczynał bywać tragicznym. Zamyślał się, posepniał, chodził zły i niezadowolony, z lada głupstwa wysnuwał złośliwości, wzdychał, a oczyma wodził jak zahypnotyzowane medyum za szeleszczącą jedwabiem Stefą. Fräulein Clärchen wiedziała wszystko i więcej niż wszystko i starała się tylko dzieci jak najwięcej izolować od miejsc, które ulubiła sobie młoda para; pryncessa i ordynat jak dawniej przepadały za nim, spinały mu się na plecy, obcałowywały go, ordynat przynosił mu zrywane polne kwiatki, a dwunastoletnia pryncessa, dziewczatko zapowiadające przyszlą piękność, miało pasyę brać grzebień i szczotki i czesać go na rozmaity sposób, przytem targać za wąsy, przepraszać, całować, znów czesać. Tam, gdzie się ta trójka zeszła, był zawsze hałas, pisk, śmiech, krzyki, aż przychodziła Fräulein Clärchen zawsze z surową miną i brała dwa kociaki do nauki, ani spoglądawszy w stronę Młyńskiego. Miała go za skończonego łajdaka i pogardzała nim, a biedny Młyński w tym wypadku dał za wygraną, nie próbował już zdobywać serca starej guwernancicy, wołał stan zbrojnego pokoju. W każdym razie dzieci nadal go kochały, pogoda nadal była przepiękną, a choć Lupus i guwernantka warczały, pal licha! Mama cudowna!

O Opalińskim prawie nie myślał. Codzień bywał oficjalnie przy łóżku słabującego i próżniaczącego więcej właściciela Stefy, mówili o rzeczach ogromnie obojętnych, spierali się monotennie o kwestyę „sztuki dla sztuki“, często obaj ziewnęli jeden po drugim, wreszcie Młyński odchodził. Pan domu miał zaraz, jak tylko żołądek przestanie go uciskać, jechać do Warszawy do lekarzy znakomitości, aby raz wreszcie rozpocząć poważną kuracyę. Młyńskiego prosił, aby

mu towarzyszył, gdyż w tym stanie zdrowia obawia się sam jechać. O odmowie nie byłoby i mowy.

Na Młyńskiego padła ta prośba, jak pierwszy grom z nieb, zapowiadający klęski. Zastanawiał się, czy ta prośba to skutek pewnych podejrzeń Opalińskiego, więc czy Opaliński chce mu dać do zrozumienia, że bądź co bądź wypadałoby z Boguszowiczami się pożegnać, czy też tylko prośba bez motywów ubocznych. Wnet przekonał się, że tylko to drugie, że ta „żona żony“ nie podejrzewa nawet cienia stosunku między nimi, że z tej strony może być spokojny, ale że dla ugruntowania tego spokoju Opalińskiego będzie musiał jechać z nim do Warszawy. Pani Stefa z początku irytowała się i przeczyła, twierdziła, że poczciwy Jerzy jest tak głupi, że mu żadnych „ugruntowań spokoju“ nie trzeba, ale on ma jechać dlatego, aby potem sam spokojnie mógł zostać u nich aż do zimy. I pani Stefa klaskała w ręce, skakała z radości, spinała się i klękała mu na kolanach, włosami zakrywała twarz, spisywała na karteczce mały milion sprawunków, o których, jak mówiła „obaj mężowie“ nie dołączny i dołączny mieli pamiętać. Była żywiołową, mawiał Poldziu, była upersonifikowanym instynktem, czystym instynktem, nazywał ją panterką. Rzeczywiście w pieszczotach swych miała Opalińska coś z dzikiej kocicy i w pozach, gestach, przymilaniach się, przebieganiach miała tę znużoną a groźną gracyę pantery, która w tak przepięknej linii skoku rzuca się na swą zdobycz. Młyński głupiał. Tracił siebie, tracił swą żywłość, lotność, pogodę, wesołość, a na karku czuł jakiś ogromny, przygniatający go ciężar, opadły nań bezlitośnie, chylący go ku ziemi, czuł zwyciężającą go namiętność Opalińskiej. Zaczynał rozmyślać nad tym

gromem z jasnego nieba, koniecznym wyjazdem do Warszawy i ni ztąd ni zowąd ucieszył się nim. Zobaczy znowu Warszawczkę, nie widział jej od dwóch lat, będą w teatrach, w cyrku, będą się tłukli na gumach, Lours, Stępek, Europa, wystawy, ruch, szyk, kobietki. Ot żeby tak z panią Stefą „dymnąć“ do Warszawki, toby była wyższa rozkosz, wspólny hotel, spacerki, kolacyjki, szamp, ale cóż kiedy panterka zdrowa jak ćwikła, nie cierpi na żołądek, nie potrzebuje lekarzy, tylko jej... mąż, właściciel, osioł. Swoją drogą, obliczał Młyński, nie byłoby monety na taką wycieczkę we dwójkę z mężatką. Swoją drogą, myślał zgodziłbym się u tej mężateczki na letniejszy temperament. Tak w Warszawce pohulamy z mężem, a po Warszawce wrócimy do żony, do naszej, naszej żony. Do Łakomyskiego wysłał kartkę tej treści: Winszuję Ci studium o „apatyi współczesnej“. Czytałem je w *Revue des deux mondes* już tłómaczone. Jest monumentalne! W ostatnim liście do pani Stefy Opalińskiej pismo źle fałszowałeś, dlategośmy zaraz odkryli. Opowiadałem jej wiele o Tobie, malując Cię jako rzeczywiście interesujący rozkład moralny. Pragnie takiego poznać. Obecnie jadę do Warszawy. Kocham Cię jak Cię kochałem Twój Leopold M...“ Mniej więcej w tym tonie korespondowali zawsze ze sobą.

Wreszcie pan domu wstał z łoża boleści i nudzenia się, odwiedził swą pracownię, z bólem serca zauważył, że już nietylko agrest i maliny nawet zupełnie się kończą, odwiedził ogrodnika i kazał wszystkie morele układać w swoim pokoju na oknach, w słońcu, gdzie niema ós i pszczoł. Następnie zaczął pakować się do drogi, zrządził, grymasił, zanudzał służbę i żonę tem pakowaniem i cieszył się tylko z tego, że pan

Młyński, „specjalista do wielkich miast“, jedzie z nim także.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu. Konie parowały przed werandą, lokaje szykowali walizę i kuferek, Fräulein Clärchen z dziećmi czekała przy koniach. Opaliński zamykał coś jeszcze i kończył się ubierać w swoim pokoju. Młyński był niewyraźny; smutek go brał na myśl, że jej nie będzie przy nim tyle dni, że straci z przed oczu tę ukochaną, ciągle wesołą twarzyczkę swej Stefy, że nie będzie słyszał tych tryłów kaskadowych śmiechu, tych miłosnych garlanych szep-
tów. Z drugiej strony czuł się trochę wyczerpanym, nadszarpanym, umęczonym, stępsiałym, czuł się trochę niewolnikiem, może poliszynelem, może gracikiem do igraszki w jej rękę, pragnął zmiany, powietrza. Spotkali się w jadalni. Pani Stefa miała czerwone oczy, widocznie od płaczu, widocznie nie za tym tam panem. Młyńskiego ukuło coś głęboko szpicem w serce. Zbladł, przysunął się do niej i stanął bezradny. Padła mu w objęcia całym ciężarem, rękoma odrzuciła poły jego podróżnego płaszcza, aby odczuć ciepło kochane, wtuliła się w niego, i oddychała tylko ciężko. Młyńskiemu szły łezki z oczu, całował ją jak szalony, całował fałdy stanika, broszkę, szyję, usta, czoło. W oczach miał ciemność, mroczyło go, byłby upadł.

W wielkim salonie słyszać było kroki nadchodzącego pana domu; rozerwali się. Młyński wyszedł szybko na werandę, Opalińska wycierała łzy i żegnała się z mężem, niepomiernie zdumionym jej roztkliwieniem i serdecznością pożegnania, tak niezwykłą u niej.

...No, bądź zdrowa, Stefa, mruczał, nie płacz, przecież mnie operować nie będą, no będę u doktorów jednego i drugiego, ale prawdę powiedziawszy, to wię-

cej jadę trochę się przewietrzyć, bo się dyabło wynudziłem; no pa Stefa, przywiozę ci za to coś ślicznego...

Pani Stefie zrobiło się lżej na sercu... Nie, ten Jerzy idyota był za komiczny w swem baraniem zaufaniu. Nie, to rogacz jakich mało, myślał że za nim płacze, głupiec, niedołęga, nie, muszę to w liście napisać Polowi, albo mu teraz tu przy nim, o tem powiem.

Panowie wsiadali do powozu, dzieci spinały się po stopniach, ordynat chciał płakać, pryncessa się śmiała, tylko Fräulein Clärchen stała surowa, protestantka, pełna moralnego oburzenia i złości, że ten Młyński, co tam w tej altanie *mit Madame romansiert*... teraz tak bratnio, tak przajacielsko jedzie dla opieki-
wania się *mit der Person des gnädigen Herrn*. Opaliński żegnał się z dziećmi, pani Stefa opowiadała igrając z ogniem, stojąc na stopniu przy Młyńskim.

...Tylko pamiętaj Jerzy, coś mówił! Wie pan, panie Młyński, obiecał mi mąż przywieść z Warszawy coś ślicznego, byłem tylko nie płakała, że jedzie... byłem nie płakała...

Roześmiała się wesoło, a równocześnie ostrożnie i zuchwale kładła jakiś list do kieszeni zarzutki Młyńskiego.

...No, jedziemy!

Dzieci odskoczyły, Opalińska stanęła na werandzie, piękna, wysoka, dumna, przez łzy znowu uśmiechnięta wesoło. Maciek trzasnąwszy z bata ruszył na stacyą. Pojechali.

* * *

W Warszawie stanęli w Europejskim. Wzięli numer o dwóch łózkach, rozgościli się i odświeżeni,

eleganccy, weseli, zaczęli się puszczać. Opaliński był promieniejący. Młyński walczył z reflexyami, medytował, jeszcze łamał się. W nocy w Kielcach w wagonie wyszedł na kurytarzyk i przy migającym świetle wagonowych lampek rozdarł kopertę listu od Opalińskiej. Z koperty wypadło 5 (pięć) banknotów sturublowych, a list brzmiał: ...Kocham Cię, kocham mój Polu. Wracajcie wnet, bo oszaleję. Masz złoto i baw się dobrze, Twoja, Twoja Stefa... Krew mu uderzyła do głowy, ręce się zatrzęsły, chrząknął głosem chrypliwym, list i banknoty włożył do kieszeni. Opaliński w wagonie spał i chrapał, Młyński w bezsenności przepędził całą noc, wychodził na kurytarzyk, palił, głowę rozpaloną wstydem cisnął do zimnych szyb okiennych, koło trzeciej rozplakał się spazmatycznie i łkał do chustki cicho, żałośnie, w jakimś piekielnym, nieokreślonym a dławiącym bólu. Wreszcie wrócił do coupé, siadł i jakby drętwiał. Już i nie myślał tak konwulsyjnie, nie mocował się ze sumieniem, z honorem, z godnością osobistą, z rozstrojonymi rozpaczliwie nerwami, tylko czuł się ogromnie nieszczęśliwym, biednym, samotnym. Tak, miał u ludzi sympatyę i to u tych ludzi z najlepszej gliny, z większym sercem i z prawdziwą, prawie widomą duszą, miał powodzenie i małe tryumfy życiowe, miał kilka kochających kobiet w swym pamiętniku lirycznym, w wspomnieniach na dnie serca, miał dobrą rodzinę, znośnie biedne warunki życiowe, a jednak? A jednak jak powrotna fala wracało doń coraz częściej to uczucie samotności, marności i niezdefiniowalnej absolutnej niedoli. Ot i teraz! Czemże zasłużył do kroćset dyabłów, on, takie nic, taki wyrzutek, pasorzyt, gadzina, proch, taki „mieczyk“ marny, kawiarniany mie-

czyk, kwiatek z asfaltów, na taką miłość eksplozywną, wybuchową, niczem niehamowaną, tak pięknej kobiety? Czemże na taki jakiś rzewny, jakby matczyzny dowód miłowania: masz tu jeszcze chłopcze ruble nie mów ojcu, baw się... Czuł gorącą wdzięczność dla niej, czuł miłość bezgraniczną i tęsknicę żrącą; swoją drogą pieniądze postanowił zaraz z Warszawy odesłać. Wkrótce jednak przyszedł do przekonania, że takie odesłanie byłoby gruboskórnością i impertynencyą. Więc postanowił rozdać po dwadzieścia pięć rubli między szpitaliki i kolonie letnie. Ostatecznie jednak rozdanie nawet sturubłówki zakrawałoby u niego cośkolwiek na romantyzm, na pozę i kokieterię tężyzną charakteru, a tego strzegł się Młyński jak ognia. Już wolał szczery otwarty cynizm, złoto zresztą przyda się, oj przyda wobec tego, że sam miał nie całą pięćdziesiątrubeljansówkę, tembardziej, że przecież musi, powinien absolutnie jednemu, wiecznie głodnemu lirykowi z Starorypałki, ot takiemu, jak ci tam od Schultza blademu kwiatkowi kawiarnianemu oddać jeszcze przed 3 laty pożyczone 30 rubli. Niechże biedaczysko choć na 30-ej rublowej podstawie pisze, jako że „on książę Benaresu wysyła w cztery strony świata cztery siwe rumaki, aby jako książęce gońce ściągnęły mu do kryształowego pałacu... słońce... słońce“. Postanowił tedy Młyński ściągnąć biedocie słońce, oddać owe 30 rubli i spełnić w ten sposób arcykatolicki uczynek. W „Starorypałce“ liryka Kapuścińskiego nie znalazł, dostał wprawdzie jego adres, gdzieś aż na Pradze, ale łązić na Pragę, aby wynaleźć swego wierzyciela i to „księcia Benaresu“ wydało mu się słusznie przesadą, romantyzmem, katońską pozą, „przeczeniem w centrach nerwów moralnych“, liryzmem. Bądź cobądź,

gdyby coś podobnego był zrobił, naraziłby się na śmieszność. Sam ten pan Kapuściński, liryk tygodnikowy po 4 kopy od wiersza, wydrwiwałby go w „Stororopałce“ jako niesłychanego pasażera, ananasa z austriackiej Polski, dekadenta od Schultza i t. d. Należało się przede wszystkim nie narażać na śmieszność...

Więc hulali jak mogli z Opalińskim. Drugiego wieczoru już pili bruderschaft w asyście dwóch sióstr Madzi i Lolki Malinowskich w Sielance. Trzeciego wieczoru zakochał się pocziwy kiskowiec Jerzy na śmierć i życie w *mademoiselle La Valette*, ekscentrycznej jeźdźczyni z cyrku Cinisellego. Czwartego atoli już dnia dał jej sto rubli i poprosił, aby go puściła w trąbę na rzecz Młyńskiego. Piątego dnia wreszcie, w „Nowościach“ uczuli obaj pewien niesmak w ustach gorzkawy, lekki ból głowy, jednym słowem „katzenjammer“: kociokwik duszny. Obaj równocześnie zateśknili za panią Stefą, za ogniskiem domowym, za ciepłem małżeńskim, za Boguszowicami.

...Słuchaj Jerzy, mówił Młyński, gdy szli z Madzią i Lolką do Stępka na kolację, właściwie powinienes już raz być u lekarzy i radzić się, hę? na toś przecie przyjechał.

...Jutro, uważasz jutro, mruczał Opaliński, jutro będę łąził po lekarzach, a pojutrze wracamy do żony.

...Pojutrze wracamy do żony, powtórzył zamyślony Młyński, pojutrze? tak? to chwala Bogu.

I gdy nadeszło pojutrze, wracali obaj przyjaciele znudzeni październikowem miastem do żony... Opaliński wiozł w walizie piękną biżuterię dla otarcia łez z pięknych oczu pani Stefy i trzy pochlebne wypociny recenzyjne o „Żeńcach“ i „Przed karczmą“.

Stali obaj w podróżnych płaszczach zmęczeni, niewyspani przed stacją kolejową w Karsznicy i oglądali się dokoła. W mieście był jarmark, na podjeździe dworca roilo się od furmanek, wozów, wózków, powozików.

...Maciek! Maciek, krzyczał pan Opaliński zdenerwowany i zły.

Powozu z Boguszowic nie było nigdzie widać. Maćka ani śladu. Opaliński zeszedł ze schodków i znów krzyczał: a jest tam kto z Boguszowic? Jakiś chłop zdjął czapę wysoką i podchodził skrobiąc się po głowie.

...A to proszę łaski jaśnie pana, ja tu z Imbramowic, ale... I utknął.

...No więc cóż chcecie? Nie widzieliście gdzie Maćka z końmi?

...A to i nie widział. Ino że... ano proszę łaski jaśnie pana... Bogusowice się popaliły do cna i bez to koni niema.

Opaliński stanął, zbladł, cygaro wypadło mu z ust, Młyński jeszcze nie rozumiał.

...Co się stało w Boguszowicach, co?

...Ano ludzie świadkują, Bogusowice się spaliły jaśnie panie, wszystko, tylo co dwór się ostał trochę podsmalony, a całe obeście, stodoły, śpichrz, wozownie, krowy, kunie, lamus, inspekta, wszystko się skuńczyło...

Opaliński ciężko oddechał, Młyński stał osłupiały, bezradny, chłop tylko skrobał się w głowę i kłaniał do ziemi.

...Ludziom nic złego? odważył się chrapliwie na pytanie Opaliński, nikomu nic się nie przytrafiło?

...Ano nic, tylo co Maćka stangryta sparło palącą

belką, popaliło i ogrodnika, ale on ta stary to ta umrze i mała szkoda. Ino z bydła wszycko się spaliło do cna, a jesce dzisiaj się ta tli, że ludzie zalewają ziemię, — pan Wolski kumenderuje.

...Zabezpieczone? przerwał chłopu Młyński.

...O tak i to solidnie. Uważasz strata materyalna mniejsza, tylko nim się to odbuduje, napowrót urządzi, w ład wprowadzi. A to fatalne psiakrew, i to po zniwach!

Wsiedli w imbramowicki wózek smutni i milczący i ruszyli w drogę. Chłop ciął konie jak nie swoje i boki opowiadał szczegóły. Zapaliło się w południe, kiedy nikogo na dziedzińcu niema, bo wszystko we wsi na obiedzie. Pan Wolski był na folwarku, jaśnie pani z dziećmi w lesie. Słońce piekło, ale wiatr dał na las. Zaczęło się od dachu nad stajniami co słomą kryty, na strychu były wory z sieczką, widocznie od tego. W mig poszło na inne dachy, belki spadały na konie przywiązane do żłobów, poszły stajnie, wozownia i kiedy już wielki pożar się wściekał, dopiero we wsi zobaczyli, zaczęli dzwonić na gwałt, wszystko się od jedzenia zbiegało, zdzierali osekami dachy, wytoczyli sikawicę, zrobili z bab łańcuch do studni, aby wody nie brakło. Wozownia była zaryglowana, rygle odwalili, ale już zapóźno. A wszyckiem rządziła i „kumenderowała“ Fräulein, co sama jedna z dworu była. We dworze każde drzwi zamknęła na klucz, żeby przez ten czas złodzieje nie popłądrowali i sama z osęką, szarpała dachy, krzyczała po niemiecku, czesku, polsku, kierowała węzem sikawki, aż się cały naród wiejski dziwował. Potem przygalopował z folwarku pan Wolski, przyjechała z Karsznicy straż ogniowa, przybieżeli ludzie z Gosławic, z Przybyszówki

pan dziedzic z synami i fernalami, wreszcie pani strasznie blada i przerażona z dziećmi, z lasu, gdzie były na spacerze, ale choć ludziska ratowali i baby lamentowały i modliły się i obraz Matki Boskiej i wizerunek św. Floryana wyniesiono na dziedziniec, wiatr dał jak wściekły i walił na śpichrz, smaliło i zwęgliło stare wysokie topole. Choć parobki pokładły mokre ściery na dach, nic nie pomagało. Iskry i kawały palącej słomy wpadały przez zakratowane okna i w moment dwupiętrowy, murowany dom buchnął płomieniami. Potem już wszystko poszło, stodoły, kuźnia, wysoka góra ze słomy na mierzwo, maszyny, buda z kieratem, w inspektach pękały szyby i szkło zaczęło się topić, a owoce piec na żywym ogniu. Do wieczora wszystko było gotowe, wszędzie okropne gorąco i zaduch, dym, spalenizna, ziemia czarna pod spaloną trawą, Fräuleinie popaliło lewą rękę. Wszystko to miało miejsce w drugi dzień, jak jaśnie panowie odjechali...

...W południe się zaczęło? pytał Opaliński.

...A ino.

...Pamiętasz, właśnie w południe poznaliśmy w Saskim Ogrodzie te, Łodzie i Madzie... A to skład okoliczności! Dziwne!...

Młyński zamyślony, przygnębiony nic nie odpowiadał, tylko od czasu do czasu stawał na wózku i patrzył tylko, czy już Boguszowic nie widać, do uszu jakieś licho demoniczne szeptało mu tylko: toś ty winien, tak ty winien temu pożarowi, temu poranieniu, popaleniu tych dobrych ludzi, tym stratom, ty, twoja miłość cudzołożna, twój grzech, twoja zgnilizna, którą zaraziłeś całą atmosferę domu, ty kwiatek kawiarniany, ty żonę uwodzisz, mężowi družbujesz w orgiach z ko-

kotami, wozieś go po Japoniach, tinglach, a tu spadła kara Boska! Wyście szampanowali, a tu był lament, płacz, rozpacz. Tyś podsuwał kokoty i układał menu kolacyjek temu, któregoś okradł, oszukał, okłamywał beczelnie. A tu sobie taka Fräulein ręce paliła, żeby ratować ich mienie... Szarpał go wstyd za tyle szelmowstwa moralnego, paliło go w gardle, że siedzi koło tego ostatecznie porządnego, dobrego, gościnnego, serdecznego bądź co bądź człowieka honoru, gentlemana. Krew mu uderzała do głowy na myśl, że teraz, po tem wszystkim, wobec tego, wobec tej widomej kary Bożej, klęski żywiołu, on złodziej z okradanym jest w takiej serdeczności, mówią sobie „ty“. Jaką minę robi na to Stefa, kiedy usłyszy: Poldziu, Jerzy, mój Polu, mój Jerzy, jaką minę Fräulein, pan Wolski, okolica. Młyński zagryzał wargi z wściekłości. Do tych szelmostw moralnych dopisał sobie jeszcze ruble darowane od kochanki, a puszczone na krawatki, perfumy, szampiter, fundy, śniadanka i Madzi do pończoszki. Nie, stanowczo jest poprostu szubrawcem, delikatnie: słabym charakterem, poetycznie: kwiatkiem kawiarnianym — ale w gruncie rzeczy kanalią, wobec której taki Łakomyski ot jest tylko frazesowiczem rozkładu moralnego...

I w tym nastroju wysiadał z Opalińskim z wózka. Spaleniznę i swąd czuć jeszcze było silnie. Z po za sztachetów ogrodowych widać też było wielką ścianę śpichrzu z wypalonymi dziurami okien, czarną, zesmoloną. Na werandzie czekał lokaj i charcica; jaśnie pani u Fräulein, bo Fräulein leży i są dwaj doktorzy z miasta, pan Wolski na folwarku. Zrzucili płaszcze i obaj wyszli nie mówiąc do siebie, do ogrodu i na miejsce klęski. Na podwórzu Opaliński stanął jak wryty, Młyń-

ski aż jęknął z żalu, smutku, rozpacz i głuchego poczucia *własnej* winy. Typowy okaz nowoczesnej niepoczynalności etycznej cierpiał boleśnie na przeczulenie moralne. Przypadkowy pożar czy zbrodnicze podpalenie może przez źle zapłaconego robotnika po nieprzespanych nocach warszawskich brał na swą głowę bohatersko. Małe przeciętne swe łajdactwo podnosił do godności tragicznego łotrstwa. Romantyzował na tle smutnego pogorzeliska, miał się za Lambra, Korsarza, Child-Harolda, za Falka, Gordona, za łotra pełnej krwi, gdy tymczasem był tylko, tylko mieszańcem, *nuancą* pokolenia, kaprysem ducha czasów, nicością obnoszoną przez parę nóg zwichniętych w pęcinach.

Oparł się o jeszcze ciepły, śmierdzący, brudny mur lamusu. Okiem wodził po tych obrzydliwych, przyczerzonych ścianach pogorzeli, po splekanych czarnych konarach drzew, po tym grzęzkiem błocie ze spalonej słomy i gnijącej wody, po tych gruzach zwalonych, z których gdzieniegdzie jeszcze unosiły się ciemne dymki i obłoczki, patrzył, widział, tracił z oczu, znów patrzył. Nagle drgnął. Od dworu szła pani Stefa, trzymając pryncesę i ordynata za rączki, błada, ciemno ubrana, zmieniona, inna. Szła wprost do Opalińskiego, stukającego łaską w popalone mury, przywitała się z nim formalnie i zimno, poczem z Młyńskim równie sztywnie i nie patrząc nań mówiła do męża oschle:

...Był dziś rano pan z Towarzystwa, przyjedzie jeszcze komisya, strat materyalnych nie masz żadnych, dadzą do 50.000 rubli, więc mamy czysty zysk... Pozostają straty idealne, ale tych ty chyba nie odczuwasz? Patrzyła na męża złośliwie i drwiąco.

...Do pana panie Młyński, przyszedł dziś telegram,

leży u pana w pokoju na stoliku. Niech pan go zaraz otworzy, bo może być coś ważnego.

Widocznie Opalińska chciała zostać sama z mężem. Młyński ruszył się, leniwo polazł do dworu, otworzył swój pokój i przy zapadającym zmierzchu czytał telegram... „Łakomyski palnął sobie w łeb, grzebiemy we środę, przyjeżdżaj. Neuperg-Starczyński“. Zaśmiał się głośno, zmiażdżył telegram, wiedział, że Starczyński dogorywa w którymś niemieckim kurorcie na suchoty, a Łakomyski lubi dla sensacyi wysyłać takie telegramy do rodziny, znajomych, przyjaciół, aby choć na moment wzbudzić w nich przekonanie, że on zdobył się na „czynne tchórzostwo“ samobójstwa. Młyński śmiał się serdecznie i otwierał list z monogramem Opalińskiej. Kartka była pisana ołówkiem: „Biedny chłopaku mój! Clärchen grozi gangrena, teraz było konsylium, mocno popalona, muszą amputować rękę. Clärchen dostała jakiejś manii obłąkańczej, twierdzi, że ty jesteś przyczyną pożaru, że jej się śniło, żeś ty podpalił, ma gorączkę 39 pięć kresiek. Podpatrywała nas, zaprzysięgła mi, że jeżeli ty zaraz po przyjeździe z Warszawy nie wyjedziesz z Boguszowic, ona wszystko powie Jerzemu, nie chce być współwinną, nie może na to patrzeć. Robi sceny, bredzi w malignie. Czyń, co myślisz. Twoja, Twoja Stefa“...

Schował list do kieszeni, chrząknął kilka razy, zniósł z przedpokoju swój kuferek, otworzył, zapakował jeszcze kilka rzeczy zostawionych przed eskapadą warszawską, wdział zarzutkę i bokami pod murem ogrodowym poszedł prędko w wieś, by zamówić konie. Zamówił na dziewiątą godzinę, wstąpił się pożegnać ze starym Średniawskim, obszedł dokoła ukochany brudny gęsi stawek, nad którym nie tak dawno jesz-

cze, a już tak bardzo dawno, bawił się i igrał z dziećmi „słowiańskimi“. Wreszcie wrócił do dworu.

Opaliński właśnie opowiadał już wesoło o Warszawie, Sielance, gejszach, nowych cukierniach, hreczkosiejach, znajomych, kiedy Młyński wszedł i udając ogromne zaaferowanie oznajmił, że dziś jeszcze musi jechać, że mu wybaczą, że dostał telegram od matki, musi jechać do starego hofrata, który coś niedomaga, że zobaczą się w mieście, że stary hofrat ma kamienie żółciowe i t. p.

Opaliński absolutnie sprzeciwił się temu. Kiedy zaczął mu przedkładać... Ależ mój Polu, skąd, poco? stary zdrow, straszę cię, chcą cię już mieć przy sobie, mój Poleczku, ani myśli, zostaniesz tu u nas do zimy, tak tyś już nasz, należysz do familii, nie puścimy cię... kiedy wziął go wpół i zaczął całować, Opalińska wstała blada z kanapy, popatrzyła na obu ściskających się „mężów“ z jakimś lekceważeniem, prawie pogardą i sztywnym, złym głosem mówiła:

...No mój Jerzy, wybacz, ale nie możesz być natrętnym. Jeżeli ojciec pana Młyńskiego niebezpiecznie zachorował i aż telegrafują o tem po niego, to widocznie powinien jechać, to trudno...

...Tak jest Jerzy, to niemożliwe! Z ojcem może być bardzo źle...

...Pan Młyński zresztą przyjedzie do nas może na Święta Bożego Narodzenia, no nie?

...Tak, tak i owszem, dziękuję, ale teraz to rzeczywiście...

Sprzeczali się jeszcze, certowali. Opaliński był szczerze zasmucony i zły, więcej się tym odjazdem strapił, niż całym pożarem, niż spaleniem wszystkich brzo-

skwiń, wszystkich gruszek pryncessas. Miał potężnie głupią minę.

Zjedli kolację prawie w milczeniu, dzieci jeszcze tylko paplały i śmiały się, przy Fräulein czuwała zakonnica.

O 9-ej usłyszeli skrzyp otwieranej szeroko żelaznej bramy ogrodu i chłopski wózek po piasku podjechał pod werandę. Noc była jasna, księżycowa.

Młyński całował się z dziećmi, ścisnął z Opalińskim, pani Stefa miała łzy w oczach już nieukrywane.

...Wojciechu! Lupus na łańcuchu? krzyczał przed werandą Opaliński.

...To będziemy przejeżdżać koło Lupusa? pytał Młyński ciekawie.

...A jużci, kiwał chłop.

...Na łańcuchu, jasnie panie, jesce na łańcuchu, krzyczało gdzieś z mroków.

Młyński jeszcze rwał z gazonów przed dworkiem lewkonie, rezedę, astry, układał sobie bukiet na drogę na pamiątkę. A gdzie światło z okien dworu nie padało, podnosił macając z ziemi zwykłe, zbłąkane kamienie i chował, oglądając się za siebie, do kieszeni. Pani Opalińska podawała mu zerwane ostatnie róże. Stefy mąż pilnował czy kuferek dobrze ułożony w sianie.

...Na stacyi będziecie o wpół do dwunastej. Pociąg odchodzi po dwunastej, masz czas jeszcze...

Ale Młyński już się śpieszył, coś go paliło we wnętrzu, coś miał w myślach, w planie, chciał tylko skończyć scenę pożegnania.

...A po kawiarniach Poldek nie wysiaduj, nie trać czasu, pisz, nie rób się tą kawiarnianą „płanżą“, bo teraz to to samo te kawiarnie, co dawniej Birbante-

Rocca... I pocziwy Opaliński śmiał się serdecznie ze swego dowcipu.

Wreszcie pocałował Młyński panią w obie rączki uroczyście, dziękował za serdeczność i gościnność. Z Jerzym wyściskali się i wycałowali z dubeltówki, po szlachecku, z łezkami w oczach. Skoczył na wózek, machnął kapeluszem i ruszyli.

A kiedy byli poza bramą żelazną, przejechali pogorzelsko i dojeżdżali do budy Lupusa, Poldzio Młyński, „mieczyk kawiarniany“ kazał głupiemu chłopu stanąć. Podniósł się na wózk, w lewej miał bukiet jesiennych kwiatów, prawą rękę trzymał w kieszeni zarzutki.

...Lupus! Lupus. A wyjdźno z budy. Lupus! Chcę się pożegnać z tobą psino, wołał fałszywie serdecznym głosem.

Pies jak wściekły rzucił się z budy i wyjąc, piniąc się, szarpnął łańcuch, jak mógł najdalej. Już, już byłby zerwał...

Wtedy Młyński wyciągnął jeden kamień z kieszeni, zmierzył nim psa i rzucił, potem drugi, trzeci, piąty. Wreszcie szóstym musiał go gdzieś niebezpiecznie trafić, gdyż psi obrońca domowego ogniska i stróż od złodziei zawył tylko jęklonie i jak długi upadł na popaloną ziemię. Młyńskiemu jakiś głaz spadł z serca. Był pewny, że zabił t. z. sumienie.

„Cham“ splunął na ziemię, zaciął bata i ruszył.

STYLIZOWANY PROMETEUSZ



Młody malarz, mieszkający naprzeciwko jego „pracowni“, nazwał go dziwacznie „stylizowanym Prometeuszem“, mieszczaństwo niższe, osiadłe w tych okolicach krótko waryatem, jego najbliższy przyjaciel i powiernik, właściciel składu broni białej i niebiałej, w kwestyach polityki zdecydowany konserwatysta p. Żdziebło — męczennikiem pogody.

Przydomki te nadano mu z tych powodów, że: po pierwsze, życie swoje poświęcił mistrzostwu ognia czyli pyrotechnice, po drugie, nosił czarną długą asyryjską brodę, upodabiającą jego ekscentryczną postać do figury księcia potępionych, włoską pelerynę po kostki i kapelusz kalabryjski... męczennikiem pogody zaś dlatego, że ilekroć świat cały miał stanąć dęba z podziwu przed jego: Wodospadami Niagary, wulkanem Maryanny lub pałacami królowej Saby, tylekroć rzęsimy, serdeczny deszcz spadał na zebrane tłumy, na wóz z przyborami ognioziewającymi, na obwiedzione drutami „miejsce świętych“, gdzie P. T. Publice wstęp absolutnie nie był dozwolony, a gdzie Jan w Oleju Pieczarkiewicz stał już owinięty po szyję czarną peleryną, dumny, świadom siebie, spocony z zapału dla swej sztuki, dzierżąc w ręce kilka pudełek zapalów szwedzkich. Jeżeli tylko produkcyje piekielne jego ognistej fantazyi drukowane były na afiszu jako „great attraction“, jako „clou“ programu festynu w którym parku miej-

skim, jeżeli tylko jego nazwisko figurowało na plakatach wianków na Wiśle, wycieczek, majówek; ile razy zdecydowany na wszystko „stylizowany Prometeusz“ na własną rękę i interes urządził wielkie „Monstre widowisko pyrotechniczne“ z puszczeniem balonu i urozmaiconym koncertem muzyki wojskowej, tyle razy na pogodne do samego wieczora niebo zaczęły wypływać niespodzianie chmurki, gromadzić się w chmury bardzo czarne, wicher strącał powoli z drutów chińskie i japońskie lampiony jeden po drugim, a publiczność dzieliła się na dwie połowy: tchórzliwsi pędzili do dorózek i tramwajów, a żądni wrażeń rozpinali flegmatycznie parasole i stali, czekając sensacyi w potokach deszczu, wśród piorunów i jęku gromów.

— Pan urodził się pod złą planetą — mawiano do niego.

— Pan powinien się produkować wyłącznie na Saharze.

— Pan powinien mieć własny przenośny cyrk z żelaza i szkła dla swoich awantur.

— Pan powinien puszczać swoje żaby i krokodyle ogniste zawsze po czterdziestodniowej ulewie chyba.

— Obywatele ziemscy powinni pana wynajmować przy posusze.

— Przez pańskie bawienie się z ogniem Wisła wezbrała.

— Otruj pan Falba, jeżeli pan chce egzystować.

— Ożeń się pan z Aurą, to się pogodzicie.

— Tylko na rany Boskie nie przyjeżdżaj pan do Zakopanego ze swoimi prochami.

— Załóżże pan raz sklep z płaszczami gumowymi.

Takich goryczy w serce wlewało mu już nie kie-

liczy, ale szafliki, kubły całe. Nic dziwnego, że pesymizm jego z dnia na dzień rósł i był już czarnym, jak smoła, a żal do ludzi, świata i przyrody przybierał coraz jaskrawsze i wybuchowsze formy. Już od pięciu lat firma jego „Jan w Oleju Pieczarkiewicz“ stała się synonimem kataklizmów przyrody, a na spektakl fantazyjnego arcydzieła jego sztuki p. t. „Godzina w piekle“, które dla odmiany nazywał czasem „Spaleniem świątyni Dyany“, albo „Bitwą pod Chocimem“, nie pozwoliła dyrekcyja policyi łącznie z Radą miejską z obawy oberwania chmury.

Męczennik ognia gryzł się tem i martwił; jego assyryjska broda rosła i przybierała fantazyjne, rozwichrzone formy, w oczkach malowała się determinacya, na ustach miał grymas bezgranicznego sceptycyzmu, a już wprost z cynizmem nie licującym z jego wysokiem powołaniem wyrażał się o swoim „pechu“, o tym tajemniczym, złożliwym związku między przyrodą a jego raketami i świecami rzymskimi.

— Gdybym ja na ten przykład został właścicielem łazienek — mawiał z wyrazem głębokiego przekonania do pana Żdziebły, wyborcy konserwatywnego, to woda w wodociągach wyschłaby w trzech dniach.

A limfatyczny pan Żdziebło, człowiek, który całe życie pędził w białej kamizelce, nie tylko nie pocieszał przyjaciela, nie tylko nie pokrzepiał jego nadziei i gasnącej energii, lecz przeciwnie jeszcze przypominał mu wszystkie niefortunne spektakle, całą pyrotechniczną Gehennę z przeszłości i zwracał uwagę, że ten, „ten twój bestya deszcz zawsze taki panie niespodziany“.

W istocie ogniomistrz z Krzywej dokładać musiał jeszcze do swojego fachu z tego, co pozostawił ś. p. papa również Jan tylko Kanty i nie mocarz ognia, ale

handlarz wołu, osła i innych rzeczy, które jego były. Handel rogaczną uprawiał „nieboszczyk stary“ nie tylko z talentem, ale i z profitem, czego namacalnym nieruchomym dowodem był domek na podmurowaniu, wielki ogród tajemniczy, w którym ogniomistrz pętał potęgę pierwszego elementu przyrody i przygotowywał swoje „numera“, a w ogrodzie rzeczka Młynówka, której brudne wody, niosące od miasta wszystko, co miastu już niepotrzebne, były płynnym i lekko śmierzącym terenem, na którym Pieczarkiewicz próbował efektu swego osławionego: „Węża morskiego“. Przytem w kasie oszczędności miejskiej, leżały fundusze ś. p. starego, z których długie lata mógł czerpać wyrodney od wołów genialny wigraszkach ogniem, syn obracając je w proch, saletrę, siarkę, salmiak, sole, peleryny włoskie, kapelusze kalabryjskie i wygodny żywot powszedni.

Mimo tego materyalnego spokoju o swoje bytowanie, mimo tego względnego szczęścia, byłby Jan w Oleju wpadł niechybnie w melancholię, ba nawet byłby może wysadził się samobójczo w powietrze któregoś wieczora, kiedy to wicher szumi w kominach, a deszcz o szyby tłucze, gdyby nie to że w poprzek jego wędrówki do Walhalli stanęła (jak zawsze w takich wypadkach) postać niewieścia, która w sercu stylizowanego Prometeusza zajęła obok kultu ognia — miejsce naczelne.

Nazywała się Maryą. Tak. Była blondyną, miała blednicę, oczy płomienne, usta palące, smukły wzrost „świecy florenckiej“, gibkość ruchów „żabek latających“, głos jej dał się porównać ze szmerem „fontanny arkadyjskiej“. Czy miała coś wspólnego z „wulkanem amerykańskim“, to się miało oka-

zać dopiero w przyszłości. W każdym razie była córką komisarza dyrekcyi skarbu państwa, czyli nowożytnego celnika.

Poznali się na występie, spektaklu, czy produkcji: Marya z małym, lubym braciszkiem, który przed dwoma godzinami wpadł do stawu, przed godziną rozdarł sobie majteczki, a obecnie chciał koniecznie wziąć jedną połowę rakiety do domu, aby ją puścić w salonie rodzicielskim, stała koło drutów ogrodzenia, patrząc zdumionem okiem na drewniane rusztowania, kije, gwiazdy, gilzy, wśród których posuwał się z mistyczną powagą maga, Jan Pieczarkiewicz, od czasu do czasu czarną rękę okładając silnie plecy swych wtajemniczonych pomocników, adeptów, sukkubów.

— Gdzie się „takie“ zapala? — musiała na nalegania braciszka zapytać mistrza zażenowana panna, wskazując na raketę.

— Od spodka, proszę pani — odpowiedział głosem śpiewnym w którym zabrząkła po raz pierwszy nuta miłosnego wzruszenia. Oczy jego zatoneły w jej oczach.

— Od spodka — powtórzył, i mimo, że widowisko miało się rozpocząć dopiero za godzinę zuchwałą ręką despoty wydobył zapałki i podпалиł największych rozmiarów raketę wojenną.

Rakieta z szumem i sykiem wzniosła się chyżo w przestworza, pękła, rozsypując z hukiem grad małych gwiazdek. Przytem jednakże budząc z uśpienia wrogie Pieczarkowi moce żywiołu. I oto już jakby na dane hasło z szaloną szybkością jeły gromadzić się chmury, czarne, czerwone rude, bałwaniły się, piętrzyły, spływały coraz niżej. Już jakby za różdzki czarodziejskiej tknięciem zerwała się wichura wściekła, zagrzmiało raz i drugi. Wreszcie nawalny deszcz lunął na park, w któ-

rym odbywał się właśnie kiermasz z loteryą fantową, na dochód wstydzących się żebrać literatów. Opatrzność znowu w dotkliwy sposób doświadczała cierpliwości Jana w Oleju. Ale i Pieczarkiewicz wyszedł z równowagi moralnej, stracił spokój człowieka oswojonego z deszczem, tak jak oswojeni są z nim parasol, grzyb i turyści; błędnym wzrokiem popatrzył wokół, potem utkwiał oczy w niebo. A kiedy i jego męczeńską fizyognomię zalały potoki wody, jał bluźnić Bogu, łamał z pasyą „świece florenckie“ i wrzucał je w staw, podpalał wszystkie, wszystkie „słońca wirujące“, i „kaskady obfitości“. Gdy publiczność masowo opuszczała ogród, tłocząc się przy bramach, w jego drucianem ogrodzeniu odgrywało się piekielne widowisko. Franek, Wicyk i Antik, podszatani i pomocnicy z popalonymi twarzami, rękami i ubraniem, padali twarzą na ziemię i znów uciekali potykając się co chwila o kije z przymocowanymi gilzami. Arcymistrz ognia, owinięty po uszy, stapał konwulsyjnie w potokach deszczu i podpalał wszystkie, wszystkie najdroższe okazy. Syczało tylko i strzelało. Kłosa iskier wylatywały w górę, by gasnąć, to znów się wznosić, strzelać, rozsypywać się. Słońca wirowały na kijach, jakby wijąc się z szalonego bólu, jaki im ulewny deszcz sprawiał. Fontanny tryskały w górę, wywracały się, wysypywały w bok, strzelały w ziemię. Żabki, wielkości przedpotopowych ichtyozaurów, podskakiwały jak wściekłe, by złane wodą upadać znowu, podskakiwać i rozpadać się w bólach śmiertelnej walki z wrogim żywiołem. Co chwila śmiertelny huk rozdzierał powietrze, gałęzie blizkich drzew padały strzaskane, ziemię rozkopywały kule dynamitowe, zapalały się i gasły czerwone, zielone i żółte ognie bengalskie. A wśród tego wszystkiego, w blasku pio-

runów, które od ziemi zdały się spadać ku niebu w centrum rozpasanej walki dwóch rozpętanych żywiołów ognia i wody, stał on, nieustraszony, nieugięty, jak anioł strącony, książę potępionych, spocony z emocji nadludzkich, stylizowany Prometeusz.

— Janie, wściekłeś się? — krzyczał od stawu pan Ździebło. Ale głos pana Ździebły był w tym wypadku głosem wołającego na puszczy: prostujcie...

— Sądny dzień odstawiam — krzyczał z drugiego brzegu Jan, rzucając na staw „młynek atlantycki“, z którego wybiegła w górę imponująca kaskada zielonych i złotych kul. — Przedstawiam Sąd Ostateczny — wył prawie ochrypnięty z gniewu Jan w Oleju i smolną pochodnią podpalił pakę z „Wodospadem Niagary“. Płomienie i dym zasłoniły horyzont, ogłuszająca kanonada dawała przedsmak końca kuli ziemskiej, wreszcie i deszcz zdawał się już namyślać, czy wobec tego padać jeszcze, czy kapitulować, tembardziej, że park był już zupełnie pusty.

Pieczarkiewicz nasyciwszy hydrę zemsty, oddawna drzemiącą na dnie serca, wolnym krokiem, nie oglądając się, wychodził poza ogrodzenie druciane, aleją nad stawem szedł pełen pańskiej pogardy dla wroga, już prawie wesoły, spokojny, bo tryumfujący. Myśli jego były już tylko przy niej, przy Maryi, córce celnika. Te kilka słów, które zamienili ze sobą jeszcze, potem z mamą i trzema innymi siostrami, wreszcie z papą komisarzem (który miał też tytuł, charakter i nos inspektora gorzelnianego), ten funt „świec weneckich“, jaki wręczył lubemu chłopczykowi, nawiązały odrazu stosunki sympatii między nim a rodziną celniczą. Lont miłości wyprężony iskrzył się.

— A widzisz Janie, znowu dzisiaj nie tego jak zaw-

sze... Nadto awantury wyrabiasz straszne! Rzuć też panie swoje zabawki i wejdź panie ze mną do tego... — mówił Żdziebło. Oddawna namawiał pan Żdziebło pana Pieczarkiewicza do wejścia z nim w spółkę na sklep z bronią, do którego raz na rok koło Wielkiejnocy wstępował jakiś samobójca po jak najtańszy rewolwer, jakiś radca miejski po strzelbę na szczury, czasem ktoś po truciznę na myszy. Dziennikarze wszyscy już mieli rewolwery w biurkach i stare tureckie szable do pojedynków. Naprzeciwno firmy U. Żdziebło sprzedawano z całą bezczelnością rogi z drzewa i z korka, tak, że Żdziebło groziła niechybna ruina. Jan w Oleju ani słyszał, ani słuchał, snuł w głowie idealną wstęgę marzeń i w miłosnem rozpamiętywaniu zatonął cały aż po kalabryjski kapelusz... — Pójdę do nich z wizytą, wezmę ten czarny surdut z popielatym kołnierzem i żółty gors, potem się oświadczę, będę przyjęty — wesele musi być u mnie, ogród się oświeci bengalsko, kolację z lodami da się w altanie. Franek będzie za mnie puszczał na rzekę, na dach blaszany. Może, jak się ożenie, to Pan Bóg odmieni z „tem“, bo tak, to człowiek grzeszy rozmaicie i to ciężko...

I jak sobie powiedział owego wieczoru Sądu ostatecznego, tak się też stało.

W miesiąc był ślub. Padło właśnie na te dni kiedy to sąd miejski delegowany ogłosił niewypłacalność firmy U. Żdziebło, której przedstawiciel był drugim drużbą pana młodego. Wesele odbyło się z całym przepychem, na jaki tylko wschodnia fantazja księcia ogniowego mogła się wysilić.

Przed domem, przed ogrodem, na parkanie, na dachu, na kominach paliły się wszystkich kolorów ognie

bengalskie. Na wodzie kręciły się z sykiem wesołe młynki wódne, figlarne żabki ogniste skakały wśród krzewów agrestu i porzeczek. Na drzewach syczały „łzy krokodyla“, ponad wielką furta ogrodową płonał transparent z literami „M J.“. I kiedy orszak ślubny wchodził w powrocie z kościoła i wysypaną czerwonym piaskiem aleją szedł do altany, muzyka ukryta dyskretnie za dwoma małymi domeczkami (większymi nieco od ulów o jednym maleńkim okienku) zagrała z tuszem „Tarara-boumdeya“. Ku modremu, bezchmurnemu, iskrzącemu się mrowiem gwiazd niebu wleciała nowego typu rakieto-olbrzym, nazwana krótko, ale szlachetnie: „Marya“.

Goście zasiadali z hałasem w wielkiej altanie, miły rozgwar rozmów panował w ogrodzie nad cichym syczkiem i huczkiem sztucznych ogni. Olbrzymie „kwiaty piekła“, wyrzucające w trzy kierunki miliony szmermeli, zdawały się pochylać i kłaniać swemu władcy. Nad całym ogrodem, domkiem, muzyką, alejami, kuchnią, parkanem, tłumami ciekawej gawiedzi z ulicy unosiła się gęsta i zwarta mgła dymu, różowa łuna i woń prochu i siarki. — „Wesołość“ wzięła „Pogodę“ za ręce i obie unosiły się nad nieruchomą spuścizną ś. p. starego Jana Kantego tylko że...

Właśnie mały, luby szwagierek puszczał węża gumowego z ogrodowej sikawki wprost na altanę z gośćmi, właśnie pan U. Żdziebło wstał i rozpoczął pontyfikalnie...

...Są chwile w życiu pojedynczego człowieka, jakoteż całych narodów, dlatego sędzę panie, że będę wyrazem wszystkich tu zebranych gości, jeżeli trzymając mowę wzniosę toast młodej parze, w której dwa zacne, staropolskie gniazda tak pogodnie...

...Kiedy od zachodu dał się słyszeć przeciągły, złowrogi grzmot.

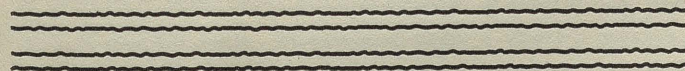
Przecucia straszne nie zawiodły... Nic się nie zmieniło nawet i od ślubu...

Stylizowanego Prometeusza ukąsił sęp w samą wątrobę...

SAMOTNI ŚLEPCY

CZYLI

UPIORY Z BOVERY-STRETT. KONSEKWENTNY
NATURALIZM W AMERYCE.



Senzacyjny, światowy dramat tragiczny w 6 aktach i 7 obrazach, opracowany przez czterech panów poetów pod naczelnym kierunkiem ogólnie uznanego mr. Achillesa Robinson z Buffalo... i t. d.

Z afiszów żółtozielonych długości 3 m. 36cm., a szerokości 1 m. 50 cm., które na każdym kroku po ulicach New-Yorku były w oczy, mógł każdy przyjaciel sztuki i literatury dramatycznej dowiedzieć się bliższych, bardzo ciekawych szczegółów o nowym utworze „dramo-tragicznym“. Mr. Clarke manager artystyczny „mieszczańskiego teatru Colosseon“, przewyciężywszy opór reszty członków konsorcyum finansowego tejże instytucji dał niezbity dowód pewnego rodzaju wyrafinowania artystycznego i wyższego pojęcia o sztuce, bo postanowił absolutnie zerwać z tradycją dotychczasowej monotonii teatralnej i wystawić na swojej scenie dzieło czysto literackie, poważne. Jużto mr. Clarke od dzieciństwa był fantastą. Na obecnem swem stanowisku dawał częsty wyraz swemu wyższemu, poetycznemu „ja“. Obok tego był on bardzo szczupły, nawet chudy, wysoki aż do nieprzyzwoitości, ubrany zawsze w ogromnie długi ciemny, kratkowany anielez, zapięty poprawnie po szyję; co wszystko składało się na prototyp solidnego businessmana. Kwadratowy monokl w lewem oku, wprawiane zęby i czarna laseczkę z rewolwerem, lampką elektryczną i morfiną — mo-

znaby określić jako: znaki szczególne. Mr. Clarke często bardzo mówił o upadku literatury w Stanach, o dobrze mu znanym rozkwicie jej w Europie. Mówiąc: „indyjska reklama“ zwykł był dodawać „n. p. tego parobka mr. Haelera, matołka z Cannon Steet, tego reumatycznego akrobata“. Wiadomo zaś wszystkim, że dyrektor „mieszczkańskiego teatru Lyzeon“, dzielny mr. Haeler był w młodości swej bardzo cenionym w niemieckich cyrkach akrobatą. To też nic dziwnego, że jako dyrektor okazał się fachowcem pierwszego rzędu, nowym Barnumem w sposobach fascynowania kosztownej uwagi szanownych przechodniów i zajmowania ich swym przepysznym teatrem.

Przepyszny, bo zbudowany w stylach assyryjskim i rokokowym, dziwnie oryginalnie łączonych, na pozór sprzecznych. Reklama zyskała mu zaszczytny przydomek: rycerza żywego afisza. Pewien przytem rodzaj złodziejskiej jowialności, skłonność do alkoholu, dobrze zaopatrzona menażerya teatralna i staranny repertoir (rok 1894 tragedia: Podziemia Londynu — 1895 tragedia: Zbrodniczy kłown Chicollet) zyskały mu liczne grono dolarów, kochanek i przyjaciół.

Powodzenie mr. Haelera irytowało mr. Clarka.

...Zawsze barbarzyńscy Persowie zwyciężali Greków... mawiał mr. Clarke, wyobrażając sobie matołkę z Cannon Street persem, a siebie grekiem; albo: wolę już moje dochody z moim repertuarem literackim (z naciskiem), aniżeli jego chudą mamselle Omnibus w łóżku (dosłownie), a za to na scenie piramidę z czterech słoni i trzech tygrysów, a w sali murzynów jako bileterów.

Ostatecznie jednak postanowił mr. Clarke bądźco-bądź jednoroczną kampanię absolutnie wygrać i po-

kazać swemu konsorcyum, że i jego artystyczna racya może być dobrym bussinessem, „że prawdziwa, poważna Sztuka musi zwyciężyć“. Według swego programu wysłał przedewszystkiem mr. Achillesa Robinsona, cenionego już poetę teatralnego do Europy, dla „poważnych studyów na miejscu“.

Mr. Achilles wesół choć ospowaty poeta teatralny, niegdyś komiwojażer wyrobów gumowych, tem się głównie odznaczał, że pochodził z Texas, ciekawego pod wieloma względami Texas. Przytem dyplomowany recordman, matchman, boxman, hockey-man, bridge-man i erotoman. Pięknym swym altowym głosem śpiewał on do 600 szansonów rozmaitych panów komponistów, zaczynał łysieć, podochocony używał biegle (dla zabawy zebranych) żargonu rzezimieszków nowojorskich i pisał tragedye. Mr. Robinson miał czas w Europie do wzięcia udziału w 17 rekordach (3 wygrał), przytem dla poważnych studyów zwiedzał bardzo wiele teatrów „tej pocziwej Europy“ i czytywał wszystkie pisma humorystyczne. Od pewnego zaś fenomenalnie utalentowanego artysty któregoś z teatrów „wyzwolonych“ czy akrobatycznych (z powodu piekielnych intryg tylko jeszcze mało znanego), powziął podstawowe i detaliczne wiadomości o obecnym stanie przemysłu dramatycznego w Europie. A ponieważ mr. Achilles był eklektykiem od urodzenia i brał to, co dobre, gdzie się tylko dało, przeto z każdego kierunku dramatycznego tej „ogromnie śmiesznej Europy“ wybrał to, co jemu, jako cenionemu liwerantowi tragedyi (nie cykliście) wydało się najlepsze i z pomocą „obietujących panów poetów“, napisał dzieło sceniczne, w którym, jak efektownie wyrażał się dystyngowany mr. Clarke: „dziwnie zdołał zharmonizować

europęjskie horyzonty dramatyczne z tem, co w sztuce amerykańskiej pozostało zdrowem i sympatycznym..."

Dzieło nosiło tytuł:

„Samotni Ślepcy, czyli Upiory z Bovery-Street“.

Mr. Achilles dostawszy za swą pracę honorarium autorskie w okragłej sumie 80.000 dolarów wyjechał, nie czekając premiery na rekord japoński między Tokio a wioską Hulajtu, międzynarodowy obiecujący pierwszorzedne emocye..... sympatycznemu poecie z Texas.

Zaangażowano tym razem *najrzadsze, najdroższe* siły ze Stanów. Na wystawę, dekoracye, maszynerye, kostyummy, rekwizyta, reklamę, pisma, agentów wydano do 340.000 dolarów, o czem każdy obywatel i obywatelka przekonać się mogli naocznie z ksiąg rachunkowych, codziennie między 9—3 godziną, na tydzień przed premierą od 9 rano do 11 w nocy, w kancelaryi sekretaryatu VI schody, 4 drzwi na prawo, 197. Pearl-Street.

Zaangażowano zaś następujących artystów:

Tom Holland, nałogowy dzieciobójstwa, lat 56, po 20 latach więzienia, *James Pollard*, false Gieronimo Cantacuzene fałszerz banknotów i genialny rozbijacz kas ogniotrwałych systemu Pickpoket, wielebny sir *Nathan O' Cannor*, prorok i założyciel sekty neoanabaptystów, czyli kastrowanych nowochrześciców, dr. praw *Angeline Appo*, wdowę po sławnym reporterze i poecie lirycznym, który zastrzelił się w kościele św. Ruprechta, umierając z rekordu głodowego (są dokumenta), miss *Dore Addison-Meers*, słynną piękność, tańczącą subretkę, zwaną: Kohinoorem Panamy i ekskochankę J. królewskiej mości następcy tronu w Anamie (są dokumenta i listy). Obok tego kilkunastu prawdziwych starców w wieku od 79 do 104 lat!

* * *

Przesadnie bogatą bajkę konsekwentnie naturalistycznego dramatu Mr. Robinsona stanowią losy milionera, króla aluminiowego (gra Tom Holland), wier nie i szczerze, według żyjących wzorów podpatrzone koleje trochę coprawda awanturnicze. Pan ten ślepy na lewe oko (względ autora na wylane podczas bitwy z detektywami pięścią oko Tom Hollanda) czuje się znudzony swem życiem filisterskim, otoczeniem królów korkowych, stalowych, musztardowych, olejowych i bawełnianych, spostrzega, że mimo hałaśliwe otoczenie jest *samotnym*, że potrzebuje nowych, szerokich horyzontów, innych światów. Zrzuca tedy żonę (gra dr. Angelina Appo) z 6 piętra swego hotelu, morduje teściową swoją, i kochankę była tańczącą subretkę (miss Dora Meers). Dziwnym przypadkiem ocala jeden z jego 2 szwagrów (mr. James Pollard), wychowuje się u biednych *Tkaczy* z Bovery Street, niestety na fałszerza banknotów, rozbijacza kas, tramwajów, sklepów. Synowi temu grozi obłąkanie z powodów atawistycznych — (ojciec, dzieciobójca i rozpustnik). Tymczasem ojciec starzeje się, przystępuje do sekty nowoanabaptystów, cały majątek zapisuje prorokowi tejże sekty (gra wielebny Nathan O' Cannor) na końcu ślepnie i osiada w zakładzie dla *ślepców*. Ocalony szwagier, którego jedynym celem życia jest zemsta na milionerze za brata, podpala zakład ślepców i sam ginie w płomieniach.

Dramat ma takie wstrząsające dosłowną prawdą sceny, jak: napad szajki „wesołych smyków“ na tramway parowy, rozbicie kasy systemu Pickpoket w pałacu króla aluminiowego (tryumf Jamesa Pollarda false Gieronima Cantacuzene), kazanie Ojca Nathana O' Cannora do 1000 ludzi, zebranych na scenie, strze-

lanie batalionu miejskich policyantów do biednych tkaczy z Bovery-Street, balet pod nazwą „Walka motyli“ z primabaleriną miss Addison, pożar zakładu ślepców, наконец koryto morskie przesmyku pod mostem brooklyńskim (prawdziwa woda), a w niem potopionych ślepców (w wieku od 79 do 104 lat) i automatycznie dzwoniący *zatopiony dzwon*; utopionemu ślepcowi Tom Hollandowi ukazuje się w wodzie widmo Anioła (według wyobrażenia metodystów).

* * *

Ten to piękny tragiczny dramat mr. Robinsona wystawiają obecnie z szalonym, ciągle rosnącym powodzeniem we wszystkich metropoljach *United States*.

Krytyka „Samotnych Ślepców“ pochwaliła jednogłośnie i to z niebywałą zgodnością, tak pisma będące za Olejową kompanią tak i pisma prowadzące kampanię przeciw Olejowej kompanii, tak miarodajne organy literackie jak pisma będące w ręku trustu cynowego, jak i te zajmujące się wyłącznie sportem wodnym...

Oto wyjątki z krytyk:

Arisona Kiker... widzimy, jak znany rozpustnik o wyschniętym szpiku pacierzowym dyrektor Lyceon osławiony kryminalista mr. Haeler, a przyszedłszy akrobata, wścieka się z bezsilnej złości kulawego osła kopniętego znowu w beczelne szachrajskie czoło. Możemy go jednak uprzedzić, że zacny i wykształcony gentleman, dyrektor „mieszczkańskiego teatru Colosseon“ mr. Archibald Clarke nosi przy sobie laseczkę, ciekawą laseczkę z automatycznym rewolwerem 12 strzałowym na wypadek spodziewanej i t. d.

„*Literatur, Theater and Tingle-Tangle Magazine*“... i nie zawiedliśmy się. Ceniony powszechnie poeta mr. Robinson dał nam interesujący szmat życia, zaobserwowany przez pryzmat swego temperamentu. Znać w „Samotnych ślepcach, czyli upiorach z Bovery-Street“ wpływ najświeższych kierunków dramatycznych Europy, znać jak nam zaręczano studia nad dobrej marki trwałymi wyrobami mr. Hauptmana, mr. Sudermana, mr. Maeterlincka i dzielnego mr. Ibsena, ale znać i zdrowy powiew sztuki amerykańskiej. Autor jest t. eklektykiem i to eklektykiem-gentlemanem, a dzieło jego skoncentrowaniem prądów z obu półkuli, skończonym dziełem światowym, dalekiem od wszelkich dekadentyzmów i symbolizmów, zdrowym, zrozumiałym psychologiczno-naturalistycznym, perfect narodowym smart dramatem amerykańskim. Charakterystyka poszczególnych... i t. d.

Mr. Clarke tryumfuje i powtarza dość zresztą często i z pewnego rodzaju może nawet parweniuszowskim, choć zawsze correct grymasem: „No a cóż ten mr. Haeler, to ciemne indywiduum w jasnych spodniach, żyje jeszcze?... He?... Nie zamyśla powrócić do Buenos Ayeres, do swego fachu, do handlowania zdrowymi dziewczętami z Galicyi? ze wschodniej Galicyi? Czas to pieniądz... Po co on traci czas i pieniądz. Po co on jeszcze prowadzi teatr ten mr. Haeler?...

SYRENA
PODHALAŃSKA
(RAMOTA)



Zdarza się czasem, jeżeli nawet nie bardzo często, że ktoś lub coś, on lub ona ma wszelkie warunki ku szczęściu, wszelkie dane, całą pełnię najdodatkniejszych przesłanek, ba nawet superlatywów, a życie tak się im jakoś splecie, okoliczności ułożą się w sposób tak drastycznie antypatyczny, że osoba lub obiekt padają pod ciężarem niedoli, pod obuchem złośliwego losu. Czasem jeszcze Przypadek kopnie sytuację w plecy tak mocno, że ta leci na złamanie karku, a trudno wtedy znaleźć choćby jedną przyczynę, gdzie leży fatum, jeżeli dokoła ostatecznie i niebo się uśmiechało i gwiazdy życzliwie mrugały i wszystkie przeszkody same na bok się usuwały.

Pomijając tu np. wypadki, że ktoś czemś na coś zasłuży, a więc że np. rodzina Womitowiczów zasłużyła w rezultacie na śmierć, skoro zjadła dwa półmiski grzybów, popijając to wodą Ursus z Oblęgorka; pomijając dalej znaną aferę marszałka Mac-Mahona i jego proces, skoro rzeczywiście nocy krytycznej przed Sedanem grał w taroka do trzeciej rano. Wszędzie tu przypadek doczesności podstawiał haniebnie nogę. Ale we wszystkich tych i kilku tysiącach podobnych wypadków przysłowiowy ślusarz został powieszony, ponieważ w czemśkolwiek zawinił, inaczej: takiego Mac-Mahona i ogromnie zagnę rodzinę Womitowiczów, bądź co bądź tu namiętność dzika do kart, tam wreszcie łakom-

stwo, obżarstwo, zboczenie do picia wody i fanatyczny kult Sienkiewicza — pchnęły do nieszczęścia i zguby. Zasłużyli — więc cierpieli.

Ale czemuże zasłużyła sobie na taką bezprzykładną niedolę Ona? biedna, a jakże piękna Syrena?! Powiadano, że nie miała w swem pięknie nic klasycznego. Trudno, żeby w tych warunkach mogła być jeszcze klasyczną, kiedy w całej okolicy tylko pewien znany stary kawaler pan August, który z powodu reumatyzmu je obiad leżąc jak Rzymiany, suczkę swą przeważał Dydoną i był prokonsulem hiszpańskim w Warszawie, jak niegdyś Publius Pomponius Quisda. Klasyczną więc i Syrena nie była, ale za to ileż w sobie romantycznej melankolii gnieździła!! Nizka, ale bardzo foremna, cokolwiek przysadkowata, ale bardzo zgrabna, miała niesłychanie wiele gracy i w wyrazie swym pewien ujmujący smutek. Mówiono o niej obrzydliwie niesłusznie, że właśnie tym smutkiem i tem niby zaniedbaniem starała się kokietować przechodniów i nie omieszkła żadnej sposobności, żeby narzucając się swą bezprzykładną niedolą, ujmować sobie szary tłum i najbardziej obojętnych zmieniać w kochających, w przywiązanych. Syrena, jak to wszyscy zgodnie przyznawali, była tak sympatyczną dla swej skromności, jak uroczą tem rozmyślnem wycofaniem się ze zgiełku i wiru światowego. Za dumną była, aby dalej zażarcie walczyć o konkiecie, powodzenie, popularność; za pańską z natury i za wytworną. Ale z drugiej strony była przecież tak młodą, że za wygraną dać nie mogła i poddać się bez żadnej walki absolutnie nie chciała. Syrena czekała. Liczyła się z faworami i sympatją ulicy, ale postanowiła niczem a niczem nie narzucać się tłumowi ulicznemu. Owszem,

odgrodziła się od przypadkowych gości płotem i to silnym płotem przesądów i zabobonów, tak, że tłum, przechodząc mimo, często i nie widział, nie przeczuwał jej obecności, a tylko nieliczni i spokojniejsi ludzie bywało, stawali nagle na ulicy przed jej smutną postacią, uderzeni melancholią całości i tajemniczością jej niezbadanej, a spokojnej fizyognomii. Niema już i wielu kobiet teraz na świecie z tak bajecznym wyrazem heroicznej abnegacji, jaki miała Syrena. Ale bo też i niemasz już kobiet na świecie, któreby z taką rozkoszą, z takim niewysłowionem oddaniem się i wdzięcznością przygarnąć chciały do siebie dziesiątki, ba, nawet setki przypadkowych gości, jak Syrena.

A tymczasem właściciel jej oficjalny, pan Szczepańczykowski, niestety bankrutował, na niej beznadziejnie. Piękna była, bo piękna, cicha, łagodna i zawsze z jakąś determinacją na uboczu stojąca, czekająca, cierpliwa. A tu tymczasem roje ludzisków przepływały mimo hałaśno i gwarno, wszystko szło gdzieś na utrapienie i choroby i bole i nieszczęścia. Do niej, do tej słusznej dumy pana Szczepańczykowskiego, nie wstępował nikt ani na moment, ani przypadkiem, ani nawet zbłąkany, ani nie znający lokalnych stosunków, nikt. Nieszczęsna, a zawsze dumna i wyniosła, świetnie i wygodnie zbudowana, w miarę ciepła a w miarę chłodna, najrozkoszniejszy zmysłom odpoczynek dająca, stała zawsze przy rojnej i najbardziej uczęszczanej ulicy od samego świtu starannie wymyta, wyczyszczona, odświeżona, cała otwarta i dobrze przewietrzona; i stała tak niezmęczona, nieznudzona aż do prawie późnej nocy, zawsze smętnie wesoła i dobrej myśli. Na niej pan Szczepańczykowski, w którym gorycz i ból cierpki, a żal do świata i ludzi wzbierały i potęgniały, choć

porówny z niemi i upór, urągający złym losom i wściekłość i zażarta energia.

...Bismarck się dał moja kochana! mówił do zresztą i starzejącej się Syreny pan Szczepańczykowski z silną nad miarę ekspresją, a my się oboje nie damy! Przetrzymamy ohydne czasy, zwyciężymy i dobra sprawa zwycięży. Bądź co bądź ludzie na dobrym towarze muszą się poznać i ty jeszcze wszystkim podobać się będziesz i ścisk tu kiedyś będzie na werandzie i każdy czekał będzie, aż na niego przyjdzie kolej, moja biedna, opuszczona Syrenko, Syreniusiu, Reniusiu, Usiu, Reniu! Niu! Rusiu! Siu!

...Nie będę ja ciebie reklamował, nie, moja kochaneczko, nie będę ja żadnych muzyków tobie sprowadzał, żeby mi dudnili Carmenę i Tarawiatę i tem zwabiał głupich smyków i golców. Będziesz jeszcze narzekała na ścisk gości moja Syreniusiu i odmyć cię rano nie będzie można i będziesz miała szczęście do ludzi niebываłe i będziemy złoto inkasowali, co aż i nastarczyć nie będzie można!

I tak śnił na jawie pocziwy Szczepańczykowski, optymista w gabinetowym formacie, kupując zresztą z roku na rok coraz węższe kamizelki i lecząc się Karlsbadem na ogromne kamienie żółciowe, które w wielkiej ilości niepocziwy los hojnie sypało mu do wnętrza. A tymczasem Syrena istotnie i bezprzesadnie, a przedewszystkiem bez żadnej rozsądnej racji bankrutowała, ciesząc się nawet, i zresztą słusznie, najlepszą opinią w społeczeństwie — czytaj: w publiczności. Na dobrą zaś opinię swą bezpretensjonalną biernością i dyskretnem ukrywaniem swych czarów i uroków chyba absolutnie zasłużyła. Syrena najlepsze miała ciastka z kremem i poziomkami i lody anana-

sowe; Syrena najmniej sypała cykoryi do czarnej kawy a herbatę dawała braci Popowów z Archangielska; Syrena do śmietanki nie sypała przenigdy ani krochmalu, ani mąki ryżowej, Syrena brała koniak wprost od najlepszych firm marsylskich, a wino z Saturalia Ujhelly; na składzie miała dwadzieścia butelek pięćdziesięcioletniej śliwowicy i osiem centnarów warszawskich pralinek i likiery absolutnie holenderskie. Ale świat, ten wielki świat, będący sumą dwóch półświatków jak wiadomo, przechodził nad nią do nieporządku dziennego. Owszem wiedzano o tem wszystkim: o tych skarbach istotnych dobrego smaku i znawstwa języcznego, nagromadzonych mądrą i doświadczoną ręką pana Szczepańczykowskiego; byli nawet podobno tacy, co powtarzali chyba i bezmyślnie do swego otoczenia, że podobno najlepszy kawior gruboziarnisty, sypki, czysty, ma tylko w Europie Środkowej Syrena, ale żeby kto pokusił się osobiście przekonać — o tem i mowy być nie mogło. Ręce łamać można było nad tą dziwną obojętnością, z jaką naprzykład jedna z najtłustszych brunet na świecie, pani Apokalipsowiczowa, mówiła do cierpiącego na polską neurastenię pana Anzelma: Ta słyszałeś pan panie Anzelm, że tu jest podobno jakaś cukiernia bardzo czysta i to podobno naprzeciw naszej willi panie Anzelm, tak, bardzo czysta i podobno nadzwyczajni comme il faut obsługa, panie Anzelm i najlepsze w niej produkta panie Anzelm, tylko ciąży nad nią jakiś dopust Boży, palec Boży panie Anzelm!...

Wielu ludzi i to nawet wyjątkowo inteligentnych przypuszczało, że w Syrenie się ktoś kiedyś powiesił i wskutek tego zabobonna publiczność unikała jej jak zmory, jak zarazy. Wieść ta o powieszeniu się jakie-

gość gościa na wielkiej oszklonej, ozielenionej, imponującej skromnością werendzie Syreny, lotem błyskawicy zaczęła rozszerzać się po okolicy bliższej i dalszej. Opinia publiczna, ten kapitalny parawan, za którym można tak sympatycznie defraudować, inaczej wieść gminna, ta arka przymierza przypadkowego kłamstwa z rozmyślnem oszczerstwem, ukuła z tego całą legendę.

A więc pewnego wieczoru lipcowego, tak, lipcowego, czy czerwcowego, wszedł do kawiarni Syreny szybkim krokiem blady młodzian w flanelę odzian, z rakieta lawn-tennisową w rękę, zażądał drżącym głosem papieru listowego i kiedy mu papier podano, skreślił na nim szybko te słowa: Najdroższa! W chwili, kiedy ten list otworzysz, mnie już nie będzie między żyjoncami. Kochałem cię bez żadnych morżliwych granic aż od przyjazdu twego męża. Od momentu, kiedy ten idyota manieruje się na Otellu itd. itd. Poczem młodzieniec ów wypił szybko dwa kieliszki Cognacu: Czuba-Durozier i nie zapłaciwszy, powiesił się na krawatce, czysto atoli jedwabnej, na wielkim żyrandolu, wiszącym od lat spokojnie na środku werandy Syreniej. Cała ta legenda oczywiście od a do zet, t. j. od flanelowego ubrania, aż do czysto jedwabnej krawatki, była jednym wielkim aroganckim kłamstwem, mającym rzekomo usprawiedliwić dla potomności i historii kultury w Polsce bezprzykładną obojętność publiki względem Syreny, czyniącej zadość wszelkim wymaganiom tak męskim, jak żeńskim i nijakim t. j. dziecinny, gdyż dzieci są wedle absurdu gramatycznego jeszcze dotąd nijakie...

Wobec tej legendy atoli postanowił pan Szczepańczykowski zająć stanowisko energicznej ofensywy i uwa-

żał za stosowne w tym wypadku postawić się już czynnie na szachownicy wydarzeń. Pewnego tedy dnia w czterech pisemkach reprezentujących cztery światopoglądy, t. j. gnostyczny, neokantowski, materyalistyczny i desperacyjny, pojawił się równocześnie w porannych edycjach energiczny i nawet zuchwały protest pana Szczepańczykowskiego, zaprzeczający kategorycznie, jakoby jakikolwiek gość Syreny obwiesił się, wypiwszy jego czarną kawę itd. itd. Artykuł typowego „galicyjskiego przemysłowca“ kończył się dość cierpką a nawet cokolwiek zgryźliwą uwagą:... „na zakończenie zapewnić muszę Szanowną Redakcję, że aczkolwiek trzymam jeszcze nadal sześć osób personalu służbowego i dzień w dzień przygotowuję się tak pod względem kawy jak i herbaty, lodów, mleka, pasztecików na ośmset czterdzieści pięć gości t. j. maximum, dające się osiągnąć w przyjaznych warunkach, to jednak z całą odpowiedzialnością mego sumienia i honoru zeznać muszę, że w miesiącu czerwcu i lipcu dosłownie, ani jednego gościa tego rodzaju tj. w flanelowym ubraniu nie było, natomiast przez całe sześćdziesiąt i jedna dob gościły u mnie tylko pewna staruszka niewidoma, która po omacku trzymając się płotu, zaszła do mego lokalu, następnie pan Hermann Stumpfsinn, przemysłowiec garbarski z Warszawy, którego na ulicy trafiła apopleksya i którego wskutek tego wniesiono do najbliższego lokalu t. j. do mojej Syreny; następnie dwóch panów mistyków, którzy unikając tłumów, zachodzą sporadycznie do mego lokalu, atoli każdy ze swoją maszynką do kawy a tylko gazet moich do swych celów osobistych używają. Co stwierdzić mogę wszystko przysięgam, kreśląc się z głębokim szacunkiem Piotr Paweł Szczepańczykowski.“

Wydrukowanie tego raczej manifestu bolesnego, niż sprostowania dziennikarskiego kosztowało naszego przemysłowca okragło 370 koron w rubryce nadesłanych, lecz niestety wywołało wprost przeciwny skutek. Publiczność, ta kobieta płocha, zmienna, obłudna, ale zabobonna utwierdziła się odtąd w przekonaniu, że w Syrenie powiesił się jeden młody człowiek, potem, że w Syrenie wogóle wieszają się młodzi ludzie z zasady, poczem, że w Syrenie wieszają się każdy i młody i stary, że w Syrenie wogóle dzieją się straszne rzeczy: ktoś raz do kogoś strzelił, schodzą się komitety rewolucyjne... otruto raz pięć osób strychniną; że w nocy okropnie straszy, „coś” chodzi, „coś” stuka, „coś” łązi po dachu, „coś” spada na ziemię, że w Syrenie jest przeraźliwa wilgoć, kapie zgniłą wodą, a w powietrzu pełno bakterii grypy, podagry, gruźlicy, pełno najzaraźliwszych laseczników, dochodzących wielkości wróbla. I rzecz niewiarogodna a jednak prawdziwa: Syrena zaczęła być popularną w znaczeniu najujemniejszym, zaczęła być sławną ale swą groźną niesławą, zaczęła irytować i zmuszała do zajmowania się nią, ale zaczęła być jak owa dolina śmierci na wyspie Jawie, którą wędrowcy omijają z grozą i z przestachem. A pan Szczepańczykowski przechodził procesy psychiczne tak głębokie i różnorakie, tak potworne, a tak skomplikowane, że twarz jego stawała się mapą poglądową tych wszystkich uczuć, jakie przechodzi ludzkość w drodze do jasnego celu, do słonecznego jutra, ale ludzkość bądź co bądź męczeńska... ludzkość krzyżowana...

...A psiakrew! — kłął, jak księżniczki lub dorożkarze, pan Szczepańczykowski, pierwszy ale nie ostatni męczennik galicyjskiej przemysłowości — jak ja to jeszcze przetrzy-

mam, to chyba nowelki o mnie pisać będą lub kto ze mnie dramat ułoży. Toż na Hioba cierpliwego waliło się nieszczęście bez miary, ale miał choć dzieci, a ja, pomijając już żem kawaler i to stary, ale do dzieci nigdy nie miałem talentu, poświęcając się jedynie i z całym zapałem swemu zawodowi. Hiob miał nadto gnój, na którym mógł się swobodnie wylegiwać bez obrazy moralności publicznej a kompletnie nagi, ale niechbym tu ja spróbował choć w samej kamizelce w południe obsługiwać gości tych, co ich niema, a strach coby było...

Dlatego zawsze w pięknym czarnym surducie stawał u wejścia do Syreny, z serwetą niepokalanie białą w lewej dłoni i w pełnem poczuciu godności sumiennej i rzetelnej pracy czekał na przyjście owej tajemniczej nieznanym kokietki, zwanej zwykle modą. Trzej pikola, grający całymi dniami w warcaby, szachy, domino, ferbla, w guziki i w bilard, mieli obowiązek co godzina z ogromnie zaafektowanymi minami wybiegać z cukierni z wielkimi pakietami cukrów, pudłami blaszanymi lodów, całymi nieokrytymi tortami, biedz wolno ulicą i wreszcie, zmęczony się, tyłem wchodzić do Syreny; co tydzień nadto powtarzał się dość zresztą kosztowny efekt prawie że dramatyczny z rozbijaniem niby przypadkowem, niby wskutek pośpiechu, ścisku, nawału roboty tuż przed wejściem do Syreny całego garnituru filiżanek z kawą i dzbanuszków. Głodne psy z okolicy, a było ich bardzo nawet wiele, jakby wiedziały o powtarzaniu się repertuaru efektów bankrutującej Syreny, w niedzielę wieczorem zawsze wielkim tłumem otaczały wejście do cukierni, gryząc się nawzajem z konkurencji, jak ludzie, mający stałe zasady polityczno-społeczne. Poczem wybiegał mały Mi-

chaś z ogromną tacą, potykał się o podstawiony rozmyślnie i prawie teatralnie kamień i padał, jak długi a raczej krótki i gruby, na ziemię. Wraz rozlaną kawę z Ceylońskiego ziarna i pierwszej marki śmietankę chyżo chleptały psy łakome, dziwiąc się między sobą tylko bezmiarowi ludzkiej głupoty. Z czasem jednakże zważały proletaryusze psiego rodu, że późną nocą od tyłu Syreny schodzi się zawsze tłum kalek, włóczęgów, dziadówek, nałogowych pijaczek, ludzi trudniących się zawodowo obżarstwem, wyrafinowanych smakoszków, podpalaczy, swojskich rzezimieszków. I kiedy Syrena z frontu z wielkim hałasem i ostentacyjnym gaszeniem lamp się zamyka, od tyłu wychodzi na przedsienie i podwórko sam pan gospodarz, otoczony personelem służbowym i jak ów biblijny dobry bogacz, rozdaje między tłum łakomy i wcale zuchwały: cokolwiek gnijący, ale zawsze kapitalny kawior, całe tace ciastek francuskich, nadpsuwających się, bakalie, kandyzowane owoce, niewypite lemoniady, orszady, centnary lodów waniliowych, powtarzając tylko monotennie i gorzko: bierzcie i jedzcie, pijcie i dostawajcie niestrawności. To jest praca moja, to jest cały kapitał mój. Nie umięją się na dobrym towarze poznać tamci używający, którym podporządkowane są interesa nasze, poznajcież się wy! Niechże ja będę tym jednym jedynym w Polsce, który roznosi kawior między lud, a równocześnie uprawia czystą sztukę dla sztuki, cukiernictwo dla cukiernictwa...

Ale psy wyły! Zbiegając się całymi stadami przy blaskach księżyca, wszczynały zażartą walkę z proletaryatem ludzkim o najmłodsze owoce kunsztu pasztetniczego pana Szczepańczykowskiego, a wyciom, gryzieniom, zaszczekiwaniom się i tej całej walce na

śmierć o byt, o coraz lepszy byt i końca wreszcie nawet szarym rankiem nie było. A Syrena już zaczynała politykę pewnych koncesyji, pewnych ustępstw na rzecz idei amerykańskiej reklamy, pewnego schlebienia jak najszerszym gustom tłumów. Pewnego tedy dnia cały personal służbowy zajął się przybijaniem na gołopuste ściany wielkich kartonów ilustrujących Quo vadis i ilustracyi malowanych, wyciętych z damskich żurnalów, wreszcie wielkiej kopii Siemiradzkiego: Fryne w Eleusis, oraz Jana III pod Wiedniem Matejki. Obrazy te, szeroko widoczne z ulicy, miały ścigać na werendę ten gatunek publiczności, który obok sztuki mięsa z chrzanem lub ogórkiem lubi też i proteguje sztukę, przybijaną na tapety i do ścian.

I znów stało się, co się stać musiało. Szerokie rzesze w głębokim przeświadczeniu, że to jest nowa wystawa obrazów i publiczny rozsadanik wszelkich impressjonizmów, poczęły starannie omijać chodnik uliczny po stronie Syreny i dyskretnie, ale już, zdala przechodziły na chodnik przeciwległy. Miarodajnem w tej fazie bankructwa Syreny byłoby chyba odezwanie się pocziwego hrabiego Lombardowskiego do starej hrabiny Jezufickiej: czy pani kochana uważałaś tę nową secessję, jaką założyli ci panowie socjaliści na miejsce tej cukierenki, w której odkryto podobno gniazdo bakcyli choleras nostras?

Tak więc i estetyczne podniesienie poziomu Syreny przydało się, mówiąc szlacheckim frazesem, psu na budę, a stało się tylko jednym z motywów do szybko zbliżającej się katastrofy. W tych to czasach wpadł pan Szczepańczykowski na poronioną w bezsensownych nocach ideę orchestronu. Nie był to czysty kult Wagnera, jak twierdzono w jakiś czas po-

tem, co najwyżej nazwałby to można stosowanym do zbliżającej się ruiny kultem kakofonicznego zgiełku i ogłuszania bezbronnych Słowian. Wielka maszyna, wydająca oceany dźwięków, przybyła w dwóch wagonach, ustawiono ją w czterech dniach, zajęła sobą trzy czwarte całej werendy i dnia 3-go maja na pamiątkę uchwalenia Konstytucyi, jak z pompatyczną skromnością wyraził się pan Szczepańczykowski, koło południa, buchnęło w cichy świat zagłuszającym wszystkie głosy, dźwięki i echa, marszem z Lohengrina. I od-tąd od białego ranka do szarzejącego mroku tłukł Orchestron z przerażającym gwałtem całą twórczość Wagnera, Verdiego i Meyerbeera, szły i jęczały potworne marsze, walce, uwertury, pot-pourri, a Syrena cała drżała od huku dobywającego się z olbrzymiego amerykańskiego orchestronu, a psy od tyłu Syreny, przywędrowane to z głodu, to li tylko z łakomstwa, wyły w niebogłosy, jakby podejrzewające, że to jęki potępieńców, uwięzione fonografem w orchestronie, dobiewają się na ziemię, bezkarne, straszne!

...Różnij Michałek Afrykanke albo Aide, co masz pod ręką, rozkazywał bez rekursu, zdecydowany na wszystko, właściciel Syreny. Chcą może Filharmonię, niech mają Panfilharmonion amerykański! Niech im uszy puchną, a może przyjdą na mrożoną kawę, może się zechcą przekonać, że mam cesarską Abricotinę i królewskie Kirasso, a sery u mnie gniją całemi centnarami! Nie przychodzą na kiełbasę autentyczną, rodzimą i piwo monachijskie, niechże choć wejdą wchłoniąć w siebie wszelkie porcy pieśniarza Nibelungów. Różnij Carmenę Felek jak Bóg miły, nie pytaj!

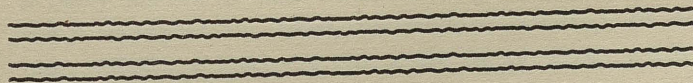
I pikkola, na wyścigi we trójkę, nakładały w orchestron coraz to nowe olbrzymie blaszane koła z dziur-

kami, a od tyłu coraz to więcej smakoszków i łapserdaków oblegało wieczorami Syrenę. Tylko goście coraz to dalej, ale coraz żwawszym krokiem omijali biedną, zgoła niewinną kawiarenkę, a pan Szczepańczykowski coraz to gorsze i nieszczęśliwsze miewał pomysły, celem zwrócenia uwagi Publiki na przemysł rodzimy i towar wyborowy.

Aż stało się wreszcie, że kiedy raz właśnie wpadł na chyba zgoła już kompromisowy pomysł: zaprowadzenia obsługi żeńskiej w dekoltach i krótkich spódniczkach... pierwszy swój pomysł szczęśliwy, właśnie na werendę wkraczało wielkie grono gości. Był to pan egzekutor sądowy z panami policyantami i pacholkami, sąsiedzi i liczne grono ciekawych. Amerykański orchestron grał w on czas Wagnera ogłuszający: Wjazd bogów do Walhalli.

NYMFOMAŃKA

(GAWĘDA MŁODOPOLSKA)



Siadali najczęściej, powiedzieć da się prawie, zawsze, na ławeczce, naprzeciw bramy parkowej Zakładu wodą z nudów leczącego, obliczonego na przeszło dwieście sztuk znudzonych ludzi z pod wszystkich trzech zaborów. Opodal nich na ziemi rozsiadał się po turecku ex-gazda blagier, imponujący snobom srebrnem runem włosów i fantazmagoryami a konto nieszczęsnego Janosika, szarpanego za życia przez pandurów i żandarmów, po śmierci przez poetów i korespondentów gazeciarskich. Nadużywający powagi swej siwizny stary góral opowiadał przechodzącym podlotkom i scyzorykom, jakoby żył lat sto i trzydzieści, za co domagał się pieniędzy, monotennie i nadaremnie wzywając imienia Boga, a otaczającym go czasem rojem chłopczyskom, wydrwiwającym bezlitośnie blagi starego, odpowiadał obelgami i kijem. Tuż przy drodze stawał ze swym aparatem poważny szlifierz, puszczał w ruch kamienne kółko i mocno przyciskał do kółka filisterskie noże i nożyczki, syczące niemiłosiernie z bólu szlifowania. Chuda żona szlifierza w czarnych pończochach i wysoko podniesionej spódnicy obgryzała flegmatycznie kotlet wieprzowy, a mały jamnik o omal sześciu nogach spozierał na nią z wyrazem zazdrości, łakomstwa, pogardy, ba nawet smętku z tego, że to życie nasze taką groźną,

taką bezlitosną musi być walką o kość kotletu wieprzowego, o byt. O smętne wy oczy jamniczel!

To wszystko obserwowałem z mojej sąsiedniej ławki, a nadto górali od furek, krytykujących sarkastycznie światopoglądy ludzi miejskich, nadto starą góralkę, ciągnącą gdzieś czerwonego byka za rogi, nadto dwa baranki bezkarnie spacerujące po środku drogi, nadto obrzydliwego młodzieńca, pędzącego oczywiście bez celu na lśniącym rowerze, nadto trzech księży dyskutujących o różnicy zrazów z kaszą, dawanych w Otwocku, od dawanych tutaj przy tabeldocie w Zakładzie hydro-terapeutycznym; nadto epokowo rudą samiczkę w popielatej sukni wsiadającą z bezbrzeżnym urokiem do furki... Nadto Orestesa and Pyladesa.

Obaj mieli złote zegarki, ale i grube solidne laski, obaj byli w gołąbkowych pikowych kamizelkach i jasnych inexprimablach, obaj mieli, jak wyliczyłem sześćdziesiąt dziewięć gestów rąk i nóg, które kolejno powtarzali z małemi bardzo waryacyami, obaj mieli ten sam stereotyp uśmiechu, który jakaś anegdota odbijała im na twarze w dość małym grymasie; obaj palili ten sam gatunek cygar po 5¹/₂, obaj mieli olbrzymie monogramy na rogach chusteczek, obaj na czole bruzdę, którą innym żłobi troska, im zaś wyrzyło chyba rondo kapelusza. Co prawda, Opatrzność znów nie wysiliła się zbyt mocno (myślałem), powołując do życia te dwa obrazy i podobieństwa Swoje. Jakże atoli prędko zmieniłem zdanie, zbliżywszy do nich me oczy, uszy i indywidualność. Pierwszymi czasy siadywałem blisko nich na sąsiedniej ławce, ale pogardałem nimi. Zły byłem, że zajęły mi takie dwa podstarzałe lowelasy mają ukochaną ławkę naprzeciw bramy parku, ławkę, z której nadzwyczaj intensywnie wglądałem we wszyst-

ko, co się działo wewnątrz (a działy się dziwy); tem bardziej zły byłem, mając pewność, że tego sezonu w Zakładzie były właśnie dwie moje ex-narzeczone z tych czasów, kiedy jeszcze nie myślano nawet odstawić mnie do Domu obłąkanych.

Dwie były narzeczone mieszkały tam gdzieś w głębiach jodeł i sosen, i marzyły może w bezsennych nocach księżycowych o smutku mojego obłąd i może z żalu darły w strzępy koronki swych nocnych kaftaników, a mnie mój psychiatra, surowy i dalekowidzący psychiatra pod świętą przysięgą nie pozwolił nawet przekroczyć bram tego parku.

...Tam na pana czyha obłąd. Nie wolno panu nawet przez lunetę patrzeć na kobietę. Raz czas, abyś pan zerwał z błędnem kołem zaręczonych z panem panien. Nie wolno panu nawet chodzić; pan, chodząc, zapalasze się do nihilizmu, pan zdradziłeś się już z myślą uduszenia słuckim pasem litym dyrektora szpitala, tylko dlatego, że jest gadatliwy, a nic niema do powiedzenia. Unikaj pan emocyi na Boga, unikaj dyrektorów szpitali, unikaj obserwacyi. Wolno panu spacerować aż do siódmej ławki na drodze od willi Irridenty, na siódmej ławce pan siądz, zapal papierosa i myśl o naszej filozofii narodowej. To tylko bowiem najwięcej zbliżać pana będzie do bezmyślności, a panu konieczna do zdrowia bezmyślność...

A właśnie na 7-mej ławce siadali teraz Orestes i Pylades. Więc byłem słusznie zły na nich i pogardzałem nimi. Początkowo nawet nie zwracałem uwagi szczególniejszej. Ot dwa łyse kozły, wypoczywające po marnościach pracy obowiązkowej, może dwa nieuświadomione pasożyty butwienia, dwie świece kapiące ignorancją, które śmierć zapomniała zgasić, ot dwa mate-

race, po których przewala się ziewając przepotęzna nuda. A tu dokoła tyle było do oglądania dla widomego, do słuchania dla muzykalnej duszy. W sąsiedniej willi jakiś pan z jakąś samicą z towarzyszeniem klekotu fortepianowego rozdzierali atmosferę monumentalnym duetem z Don-Jouana. On musiał być chyba jakimś szefem sekcijnym, czy radcą Towarzystwa Kredytowego, taki miał majestat w zerwanym głosie, ona cierpiała na niedokwasy w żołądku, tyle było bólu i szlachetnego zapachu w zdzieranym okropnie:

Non sperar se non m'uccidi.

Z głębin parku dochodziły indyjskie dźwięki obrzydliwego tam-tamu, jakim służba wabiła nerwowych gości do żerowiska. Od głupiego dworca kolejowego turkotały hałaśliwie furki, pełne matek, ojców, synów, córek, kufrów, kosztów, kołysek i tego specyficznie obrzydliwego zapachu, jaki roztaczają naokół rodziny cnotliwe szczególnie w lipcu, kiedy gorąco wywołuje pocenie, pocenie złość i niechęć wzajemną, niechęć znowu pocenie. Czasem tylko niespodzianie z której budki góralskiej zapchanej małomiasteczkową starożytnością, z jakiejś dryndy, czy powoziku, wychylała się jakaś twarzyczka świeżego swojskiego dziewczęcia, jakiejś Anielki czy Maryni, Lili czy Mity, ciekawej na Gewont; czasem mignęła jakaś twarzuchna mężateczki, żadnej porządnych sensacyi, lepszych od tych, jakich autorem w mieście bywa mąż...

Tem wszystkiem oczywiście z czasem znudzony doszczętnie, pomny na słowa mojego psychiatry, siadałem, jak i poprzednio na ławce szóstej od willi „Irridenty“. Atoli całą siłę zmysłu obserwacyjnego odwróciłem od bramy parku, kryjącego moje dwie narze-

zione, oraz newrozę polską z pod trzech zaborów. Odwracałem się od nowych gości z kolei i od księży nieprzeliczonych, włóczących się bezkarnie na tle pejzażu ze świętą Świnnicą i od szlifierza i od dziada stotrydziestoletniego, a zogniskowałem całą uwagę na Orestesie and Pyladesie.

Byliby nimfomani? Zaobserwowałem bowiem, że nie było ani jednej dość brzydkiej kobiety pod słońcem Podhala, którejby nie odprowadzali oczyma i znacznie ożywionym dyalogiem, póki znikła. Gdy przechodził nowy transport, garść panien, czwórka rozwódek, samotna wdowa, macierz z dwoma kurami, lub t. p., obaj stoicy odprowadzali wzrokiem i dowcipami nowe kobiety, aż dotąd, póki nie znikły w końcach alei.

Tak trwało dni cztery na obserwacji dystansowej. Z dnia na dzień czułem, jak coraz więcej przybywa mi rozumu, jak zwoje mózgowe bogato mi się fałdują. Dochodziłem do przekonania, że jeżeli już rzeczywiście sam przestanę marzyć o kobietach i tylko będę się wpatrywał w główkę mej laski, przedstawiającą głowę sowy, jeżeli już będę myślał o filozofii narodowej, a tylko od czasu do czasu podpadtrywał obu moich lowelasów, to z czasem przyjdę zupełnie do równowagi umysłowej i nikt nie będzie śmiał wsadzić mnie znowu do tego strasznego domu obłąkanych, jedyne jednak Domu, w którym genialny człowiek dziś mieszkać może „bez żenady“.

...W tych dniach pójdziesz mi pan na pewien reunion, mówił mi raz niespodzianie mój psychiatra. Nie tylko to. Będiesz mi pan tańczył z damami, które panu wskażę. Po kolei. Z pewną starszą już, ale bardzo wykształconą mężatką przetańczysz mi pan osiem

razy salę, aż dostaniesz uderzenia krwi do głowy. Ten reunion musi panu na całe już życie obrzydzić płęć białą, czyli piękną, jak mówią krótkowidze. To środek radykalny...

Biedny mój doktor! Przez ciągłe obcowanie z chorymi umysłowo sam zyskał chyba silną atrofię naczyń krwionośnych. Chyba chciał mnie dobić tym reunionem. Ja miałbym ośm razy przeharować po sali, długiej na szesnaście metrów, ciągnąć za sobą osobę wydekoltowaną, ale brzydką i dać sobie tłuc boki przez dryblasów, obtańcowujących trzynastolatki, przez czerwonych chłopczysków w mundurkach, rozbijających duszną atmosferę ciałami starych panien? Przenigdy. Postanowiłem sobie w tym wypadku absolutnie sprzeciwić się doktorowi i raczej dać się ztortuować, niż iść w smokingu na salę rześcisie oświetloną i pełną ludzi jeszcze sobie nieznanych, a już się oczerniających. Nadto, dość się już dawnymi czasy wytańczyłem, dość! Raz pamiętam zatańczyłem w galopce z jedną blondynką w różowych tiulach na śmierć. Upadła na kanapkę, westchnęła kilka razy, ostatnie jej słowa były: mille pardon! Jezus, Marya, Józef! i zmarła, a reszta towarzystwa nie przypuszczała nawet, aby zmarła na seryo. Odtąd nigdy już nie tańczyłem z blondynkami w różowych tiulach. Z czasem odzwyczaiłem się powoli od tego nałogu tańca i wołałem, aby świat tańczył przedemną. Zresztą cały poświęcałem się bezproduktywnej obserwacji, zajęciu jedynie godnemu człowieka, którego życie zawiodło, dając mu ni stąd ni zowąd dwie narzeczone, (obiecuując ich jeszcze więcej), a odbierając rozum. Postanowiłem sobie do końca życia być tylko biernym widzem a przenigdy czynnym aktorem-fuszerem życia. Zrywałem wszelkie stosunki z ludźmi, nie

kłaniałem się ani ojcu na ulicy, ani zdejmowałem kapelusza przed kościołem, nie czytałem gazet, nie wyzywałem antypatycznych ludzi na pojedynki, nie mówiłem grubiaństw Ekscelencyom, nie chowałem żadnej psiarni, nie grałem na giełdzie, co wszystko ostatecznie wzbudzało koło mnie silną niechęć, nawet nienawiść, bowiem nic tak ludzi nie drażni, jak lekceważenie życia. Nazywają to oni tchórzostwem wobec życia! Głupcy! Z czasem oduczyłem się i mówić. Rozmawiałem już tylko z doktorem, a przed światem udawałem głuchoniemego z pełnym powodzeniem. W charakterze głuchoniemego szukałem człowieka.

Chodziłem po koncertach, kiedy w programie był Beethoven lub Offenbach. Pędziłem dorożką wszędzie, gdzie udała się jakakolwiek katastrofa: pożar, powódź, śmierć głodowa, samobójstwo, utopienie dziecka, otrucie kochanki. Przysłuchiwałem się groteskowo-tragicznym rozprawom sądowym o podpalania lub kradzież. Podśluchiwałem rozmów na ławkach ogrodów publicznych, szpiegowałem kochanków i złodziei. Sam w tych okolicznościach byłem cichy, bo głuchoniemy, więc tolerowany z litości, zawsze pewny siebie, bo nikomu niepotrzebny. I jak tu można mówić o braku celów życiowych? Mnie problemy i cele życiowe przy całej mej głuchoniemocie, co prawda sztucznej, więc tem boleśniejszej poprostu oblegały. Mówiłem sobie: musisz zbadać, nad czem przemyśliwa ten pan siwy, utykający na lewą nogę, z pierścionkiem brylantowym na trzecim palcu lewej ręki, kiedy co dzień regularnie przechadza się od rogu ulicy pod cukiernię, wraca, znów idzie, codziennie po godzinie 5-ej patrzy na zegarek, ogląda stare pudełka, wystawione w oknie cukierni i wraca spokojnie do domu. Po roku zbadałem dokładnie jego

przemyśliwania, ba nawet wymogłem na nim spisanie pamiętnika i pamiętnik ten otrzymał, bez czytania spaliłem. I znów rok minął, jak studiowałem stosunek Andzi i Henia. Po tygodniu już powiedziałem sobie, że nie byłbym tym, czym jestem, to jest niczem, gdyby tu nie było tragedii, co prawda przeciętnej, ale zawsze wesołej. I nie omyliłem się. Rok nie upłynął, a biedna Andzia otruła się w drastyczny i hałaśliwy sposób; nie pomogły moje admonicje i wróżby. Nie mówiłem jej co prawda nic nigdy, bo jej nie znałem, a choćbym ją był znał, udawałem w tym roku głuchoniemego... Ale przecież całymi godzinami wysiadywałem posępnie naprzeciw jej okna, w którym za kwiatem fuksji i barwinka szyła na nikczemnej maszynie sukienki chorym na blednicę panienkom burżuazyjnym; przecież przybierałem dla niej prawdziwie złowroźne maski twarzy, przecież w oczach mych, zasnutych mgłą przeczuc, tak łatwo wyczytać mogła swą przyszłość, dostrzedz straszną nieodwołalną katastrofę, ostatni akord swej miłości. Nie dojrzała, otruła się, umarła, a małe dziecię ich bezsennych nocy pewnie i nie nazwano nawet na pamiątkę mem imieniem...

O biedne dziecię Andzi i Henia!

A on? Widziałem go już po pół roku... właśnie tutaj w bezmyślnym flanelowym ubraniu, jak pewny siebie szedł jak zwykle na winta do willi Pompadour, jak zwykle z mężatką swoją, żoną swego stryja, z którą bez powodzenia odgrywali komedię grzesznej i występnej miłości. Henio kochanek Andzi.

A kiedy przechodzili koło moich lowelasów, obie głowy podstarzałych panów Orestesa i Pyladesa podniosły się do niej i odprowadziły ich, aż znikli w końcu alei. Słuchałem, co mówili:

...Ale obcisła suknia...!

...Ehe, wszystko jak na talerzu.

...Musi być krzaczasta kobietka.

...Ehe, widziałeś wargi, co? Musi lubić rostbeuf!

...Waży ze 75 kilo.

...Uniósłbyś taką?

...Oho. Jak nie daleko, n. p. z fotelu na kanapę lub z kanapy na fotel, to jeszcze dzisiaj.

...Uważałeś lewy bucik? Nie? Miała, powiadam ci, tak wydeptany obcas, że lewa jej strona stanowczo musi być cięższą od prawej.

...Może; perfumuje się jaśminem.

...Jaśminem? O! to gryzie.

...Co?

...Te, które używają jaśminu, to gryzą, te, co Violetty, to filisterki, obrażają się o byle co, te, co werbeny, nie lubią brunetów, te, co paczuli, to starzeją się, te, co Eau d'Espagne...

...Rączkę miała cudowną...

...Aha, musi mieć wielką technikę, przytem szykowna.

...Ale on.

...Najwyżej nr. 4 rękawiczek 7 $\frac{1}{2}$.

Zgłupiałem; słyszałem dokładnie, ale rozumiałem z tego, co mówili, bardzo mało. Zacząłem ich podejrzewać o forsowany allegoryzm, o posiadanie własnego żargonu, jakiejś starokawalerskiej gwary. W każdym razie postanowiłem podsłuchiwać ich i znaleźć gdzieś klucz, otwierający mi te dwie dusze, od których załatywała cokolwiek woń obrzydliwej, ale sympatycznej, stęchlizny. Nie byli dla mnie arcynowością. Taką parę przyjaciół ma każde miasto zwykłe, ponad sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców liczące, każde miasto

portowe i każde większe „miejsce kąpielowe“, bardzo często trafiają się i na jasnym brzegu, sporadycznie w Szwajcarii; znałem taką parę starych kawalerów w Bostonie, siadującą zawsze na ławce vis-à-vis Tribune-Buildingu. Nazwałem ich raz na zawsze Oręstes and Pylades na pamiątkę dwóch zbrodniarzy indyjskich, którzy żyli w Pan-Dżab przez lat sześćdziesiąt w przyjaźni szczerzej, w czas jakiś zamordowali starą lichwiarzkę murzynkę i jej trzech braci i obaj równocześnie zostali powieszeni, trzymając się przyjacielsko za ręce. Tego im nie odmówił bowiem Hen Majestys Juryman z Singapore, do którego przynależeli.

Cóż więc dziwnego, że i tutaj taka para się złożyła z dwóch renegatów altruistycznego świata; ale w każdym razie nie byli dla mnie arcynowością.

...Ty Teodor dużo miałeś blondyn? słyszałem od drugiej sąsiedniej ławki.

...Jedynaście. Jedynastej jednak nie liczę. Powiem dziesięć, ostatnia bardzo garbata.

...Garbata? Ciekawe! Opowiedz o garbatej.

...Za smutne to. Po dwóch porcyach poziomek nie mogę. Nic teraz łatwiejszego jak niedyspozycja żołądkowa. Grzeb co nieco w przeszłości, w starych valenciennami obszytych majteczkach, w suchych niezapominajkach, jedwabnym pantofelku, w żółtych listach, a ani spostrzeżesz, jak po czasie musisz powtarzać kurację Morisonoską.

...Pieścisz się! Zanadto wydelikacasz, to się mści, to się mści...

...Ja się pieścę? Ja wydelikacam? Ja? Prawie pół godziny stałem wczoraj w oknie, w samej koszuli, aby zwrócić na siebie uwagę hrabiny Betsy z willi Jagiellonki. Hrabina płukała usta przeciętnym Odolem, poczem na-

cierała całe ciało kolońską wodą. Gdyby nie płomień cygara, które sobie zapaliłem, byłbym zmarł w otwartym oknie, zmarł na posterunku. Podobno Jezuici nie pozwalają na inne perfumowanie korpusów kobiecych, tylko wodą kolońską i to ze względu na katedrę w Kolonii, nie na Jana Maryę Farinę. Co innegoby ich zdradziło w konfesyonałach, gdy spowiadają naiwne damy z mieszczaństwa...

...Cóż hrabina Betsy?... Urocza Betsy?

...Natarłszy się kolońską, smarowała się cała Crémem, potem pudrowała od alfy do omegi wszystko, wreszcie ubrała zielonkawą peniuar, stanęła w oknie, pokazała mi język, poczem rzuciła się gwałtownie na klęcznik i żarliwie modliła z książeczki, bijąc się w piersi i od czasu tylko do czasu pokazując mi język przez okno!

...Język?... No, no... Dziwna kobieta...

...Powiedz raczej tajemnicza dusza. Co za bezgraniczna ufność w święte posłannictwo OO. Jezuitów.

...A co za łydki! Mówię ci Polikarpie bez entuzjazmu, bez egzaltacji; oduczyły mnie egzaltacji długie jesienie i ciasne buciki. Człowiek, który tyle lat walczy z nagniotkami, wątpię, aby się mógł jeszcze entuzjazyzmować. Ale te łydki. Proszę ciebie białe, złoczone maluteczkimi złotymi włoskami, elastyczne jak stal, jak fiszbin, nie za tłuste, broń Panie Boże, ot zwykły fason francuski, tylko subtelność uważasz dwunastu pokoleń, dwóch biskupów, jednej metresy królewskiej. Łydka hrabiny czystej rasy, co to wiele omawiać...

...Przyznam ci się, że wolę „to wszystko“ w późniejszych, szczególnie białych. Wszyscy w 18 wieku przekładali białe, demokracja i pozytywizm wprowadziły czarne jedwabne i wiesz co? Wątpię, czy to

wyjdzie na zdrowie ludzkości te bardzo długie, wysoko, wysoko ponad kolano z tymi zupełnie niepotrzebnymi wzorami kwiatów, ba nawet ptaków. O nie wiem, do czego jeszcze doprowadzi społeczeństwa ta demokracja. Może wnet będą pończochy sięgały aż do bioder... może i ponad biodra wysoko, wysoko. Wyobraź-no sobie dajmy na to, dajmy na to pannę Szczudło-Kłamczyńską, och tę gazelę, tę powiedziałbym dobrze tuczoną gazelę w pończochach jedwabnych aż po szyję, aż po szyję. To okropne! O! ciężkich dożywamy czasów...

Tak mówił silnie piegowaty Orestes z dziwnym smutkiem. Głowę pochylił nad laską i zamyślił się.

Ale już nie słuchałem ich. Dziwnym sprytem pojmowałem, że mówią o kobietach i mówią bez szacunku dla człowieka w kobiecie, bez uwzględnienia całej potężnej duchowej strony kobiet, nie uprawniając sobie równych ludzi długowłosych, uważając za obowiązek kobiet tylko ich bierność w ekstatycznych momentach i ich gorące szaleństwo i szepty wdzięczności za to, co było, choć tak krótko trwało, ich pozy mniej więcej malownicze i dekoratywne, ich gesta przeważnie przyrzekające i okrągłe. Orestes i Pylades kochali Amazonki, ale tylko na Bucentaurach, przenigdy skłonne do alkoholu feministki psujące papier okropnymi artykułami i krzyczące „nowe słowo” starego panieństwa. W tym punkcie zderzały się nasze światopoglądy, Orestesa i Pyladesa, a mój i mego psychiatry. Znakomity lekarz zawsze mawiał:

...Panny powinny się emancypować. Marna panna, która się wstydzi wspinać po drabinie na wieżę, kiedy pod wieżą stoi stuczterdziestu zdrowych samców. Słyszałem o mężatce, która pod cesarskim cięciem rozu-

miała ilustrację przedstawiającą słynnego clowna Wilhelma otwierającego komers studentów w Bonn uderzeniem rapiru o stół dębowy. Oto cesarskie cięcie według współczesnej Polki, oto edukacja dzisiejsza.

...A kobiety lekarki, a pani Szeliga-Loewy, a kobiety malarki, a fortepian... odważyłem się oponować memu lekarzowi.

...Fortepian? Oto słowo mądre padło! Tylko fortepian. Gdyby więcej było fortepianów u nas w kraju, statystyka mniej wskazywałaby nielegalnych dzieci, nie byłoby tych prawdziwie tajemniczych i mistycznych urodzin w tydzień po ślubie w najbardziej dystyngowanych i szanownych rodzinach. Kiedy widzę piętnastoletnią Maniusię pożądliwie zbliżającą się do fortepianu i z silną namietnością odkrywającą z trzaskiem deki, odsłaniającą klawiaturę i dosiadującą pedału, mówi mi coś głośno w duszy: Graj Maniusiu, graj, tłucz, wal, torturuj, łam klawisze, ciśnij pedał bez upamiętniania, graj aniele, graj, nie Szumannna, nie Chopina, ale rapsodye graj Maniusiu, rapsodye jedną za drugą, potem Brahmsa Węgierskie Tańce, a jak ci grzeszne myśli będą znowu powracać, jak znów zaczniesz w nocej ciszy marzyć o tem, co mówił ci pan Zdzisio, czy Władzio, jak przypadkiem nieopatrzny postanowisz sobie iść z nim we dwoje już jutro do... Jaszczurówki, ażeby zobaczyć te pstrągi, o których ci kłamał pan Władzio, że wieczorem pogodnym podnoszą z wody łebki do księżyca i wzdychają... jak to postanowisz, to wtedy wyskocz z łóżeczka i tak jak jesteś w koszulce, pobiegnij do fortepianu i choć cię księżyc niebieskim światłem opieści, dosiądź taburetu i graj. Graj mocno i bez kompromisu ze snem wszystkich wil i domków, graj: „Reveil du Lion Kontskiego”,

a czasem nawet kopnij sobie raz po raz gołą nóżką w klawiaturę, całuj nuty bez pamięci, zmęcz się, bardzo się zmęcz, a wtedy idź Ofelio do łóżka. Grzeszne myśli już cię odstąpiły...

To był pogląd mego psychiatry, a więc i mój, odkąd wypuszczono mnie z domu (co tu owijać w bawełnę) waryatów. A także pogląd pary Orestesa and Pyladesa. Dla nas kobieta, która wracała z kliniki chirurgicznej była zwykłym rzeźnikiem, kobieta, pisząca powieści bez przerwy i wytchnienia próżniakiem, kobieta malująca — wieżą obróconą do góry dnem, kobieta telegrafistka Chrześcijką z cyrków Nerona. Misyą cywilizacyjną kobiet według mnie, mego psychiatry, Orestesa and Pyladesa, a może i większości męskiej było czekanie z lampką oliwną niezapaaloną, czekanie cierpliwe, ale nie przesadnie wybredne; po czekaniu dorwanie się oblubieńca, ozłacanie mu szarzyzny dnia powszedniego. Co tu telefonować było tej pięknej Anelli na stacyi centralnej, łączyć numer 3756 z numerem 7891, to jest idyotę z oszustem, czy adwokata z dyrektorem banku, prałata z primaballeriną, kiedy od tego są młodzi demokraci, śmierzące chłopczyka w wieku dwudziestu kilku lat. Łza mi się ciska do oka zawsze, kiedy stałem przy moim telefonie. Hallo krzyczała ta piękna, gibka w pasie, podobna do dziewczyn Mantegny, centralna Anella.

— Hallo, Halla, Hallali Anello! — krzyczałem — proszę mnie połączyć...

— Z numerem? Nie słyszałam!

— Ze sobą. Z dobrym numerem, ślicznym, złotym, cacanym numerem, ze sobą dziś wieczór w czwartej separacie u Garibaldiego. Dobrze?

— Owszem. Tylko wolę w Olimpionie. Dziś lwy

tresowane. Przepadam za lwami. Dlatego ciebie lubię oślino.

— Doskonale o klaczko Balaama. W Olimpionie. Całuję cię w paszkę. Na dystans stu ulic pachniesz kasztanami. Hallo.

— Hallo, Halla, Hallali, bzzzzz.

O moja Anella! Prosiłem ją, aby mnie nazywała szamanem i aby to usprawiedliwić, wkładałem przy niej zawsze na gołe ciało stare futro na zewnątrz obrócone. I tak kochaliśmy się długo, póki nie uznano mnie niepo czytelnym i niepo czytelnemu odebrano telefon. Coprawda pozwalałem sobie z tym aparatem nie słychanie. Szarym brzaskiem zimowym wyskakiwałem z łóżka, przepraszałem towarzyszkę moją, nagle przebudzoną z uroczego snu o poprzednich emocjach, przyskakiwałem do telefonu...

— Hallo! Numer 96. Neun und sechzig!! Suan-saunef!!!

— Kancelarya Księdza Kardynała. Monsignore Warzecha.

— Jego Eminencya śpi?

— Śpi snem sprawiedliwych panie!

— Jak się zbudzi, proszę mu oświadczyć, że miałem olimpijską noc, jestem strudzony, ale nie żałuję. Daję 2 funty świec Siostrom Karmelitankom na ofiarę. Bzzzzz.

— Albo: Hallo? numer. Co numer! Dyrekcyja policyi. Sam tajny radca Schweiggeld.

— Jest.

— Excellencyo. Panie Hofracie. Jestem na tropie komunardów. W przedpokoju moim eksplodowała bomba w nocy. Służący mój...

— Nazwisko, przynależność do gminy, wiek, religia.

— Artur Branicki. Wypiera się stanowczo. Mówi że to zdecydowanie nie jego zwyczaj. Ściany domu całe, ale detonację słyszeć było w całej dzielnicy. Uderzony w policzek grozi mi cyklem artykułów w piśmie socjalistycznym. Dynamitu nie znalazłem mimo gorliwych poszukiwań, ale odór w przedpokoju do teraz niemożliwy. Kazałem mu kadzić trociczkami. Nie pomaga. Co robić? aresztować? policję, prokuratora...

— Telefonuję do Wiednia...

Kiedy te i tym podobne zabawki z telefonem, które nazywałem elektrycznym zabijaniem nudy nowożytniej, zniewoliły władze dotyczące do śmiertelnie komicznej interwencji, odebrano mi ostatni łącznik wiążący mnie ze społeczeństwem rodaków. Wtedy to postanowiłem dostawać regularnie napadów epileptycznych na rogach najhałaśliwiej uczęszczanych ulic, postanowiłem dostać obłądu. Jak wiadomo całą tragedię obłąkania odegrałem w poprawnym stylu, cokolwiek manierując się na Zacconim. Po czwartym akcie umieszczono mnie w zakładzie dla nieuleczalnych idealistów, gdzie przebyłem najciekawsze, najrozkoszniejsze miesiące mego życia. O czym wszystkim oczywiście nie wiedzieli ani Orestes ani Pylades. Inaczej nie dyalogowałiby tak szczerze i otwarcie o najdrażliwszym i bardzo kompromitującym mózg męski temacie: kobieta. Obaj panowie uważali mnie za trzeciego pana, który coś gdzieś przeżył i obecnie spoczywa po dokonanym arcyfakcie swego żywota, nadto ma majątek, pozwalający mu udawać poprawnego gentlemiana. Ja zaś ich swobodnie podpatrywałem. O ile spostrzegałem więc w dalszym ciągu, Orestes miał skłonność do paradoksów, cygara wypalał aż do końca, a służbie da-

wał największe napiwki, bowiem był harpagonicznie skąpy, a więc żył z jedną tendencją nierozłącznie, to jest z tendencją uchodzenia za rozrzutnika. O baronowej Wallenrod wykombinował paradoks, który mógł być znośny, gdyby nie był nieparadoksalny. Baronowa cierpiała na histeryę, jak wszystkie przeciętne baronowe, a specjalnie charakterystyczne było w niej to, że nie uznawała mężczyzn z długimi paznokciami. Dziwna dusza i o jakże sferyczna! Kiedy przedstawiano jej mężczyznę młodego o mniej więcej normalnej anatomicznej konstrukcji, ani poglądęła w twarz, (jakgdyby twarz nie była fotografią duszy!), nie patrzyła w oczy nowopoznanego, (jak gdyby oczy nie były obietnicami nieśmiertelności), ale wprost na ręce, na palec, na paznokcie. Gentleman o długich paznokciach nie istniał dla niej. Mógł mieć rozpaczliwie długie uszy, długi nos, wogóle długi u lichwiarzy i długi w kodeksie honorowym, byle paznokcie miał krótkie. Dla młodego człowieka o krótkich paznokciach roztaczała natychmiast cały ogon pawi swych niepowszednich wdzięków, stawała się uroczą, słodką, zalotną i pieszczotliwą i miała przy pożegnaniu dość enigmatyczny frazes: przyjmuję moich przyjaciół między 5-tą a 7-mą, pan należysz do tych, którzy nawet o 10-tej będą tem milej widziani.

O tej to baronowej Wallenrod powiedział Orestes wstrętny: Ideałem tej kobiety byłby mężczyzna urodzony bez paznokci. I to był powód, dla którego zacząłem bardziej Pyladesa przekładać, okazując mu do tego stopnia sympatyę, że dym z perfumowanych papierosów angielskich puszczałem odtąd w stronę Pyladesa, a Orestesa rozmyślnie dwa razy uraziłem w nadgniotek.

Tymczasem rzeczy szły monotonnym trybem powszedniości. Każdy z nas musiał się rannymi godzinami myć, czesać i ubierać i wogóle wstawać z łóżka bez najmniejszego widomego celu. Każdy z nas robił to, ziewając przeciągle i rzucając wypalone papierosy do popielniczki, przytem medytując oczywiście, czy dusza na seryo jest nieśmiertelną i czem będzie się czyścić zęby metafizyczne w jakiś czas po śmierci. Poczem każdy z nas nakładał dzienną i myślał o nocnych koszulach, jakie markiz de Moruy rozdawał na Nowy Rok zawsze swoim kochankom. Poczem napinało się sztywny kołnierzyk i każdy z nas (o ile wogóle myślał) myślał z pokorną dumą, że obecnie w Europie nakłada także kołnierzyk bardzo wielu panujących mienot, a że Byron żył w kołnierzykach szeroko od koszuli odwiniętych, ale bo też miał cudownie alabastrową szyję i był lordem, no i Byronem! I każdy z nas mówił do siebie w duchu: A ty nie jesteś Byronem, więc musisz ubrać kołnierz twarde, lśniący i maskujący demokratyczną żyłastość twej szyi, a potem musisz iść do tabledotu i zjeść obiad w normalny sposób... A gdybyś był Byronem mógłbyś jeść palcami, a wszyscy zaczęliby cię jako lorda naśladować oprócz, oprócz oczywiście wielbicieli baronowej Wallenrod, których palce bez paznokci mają dla tej dziwnie i oryginalnej kobiety tyle zaświatowego uroku...

Po obiedzie wypijaliśmy po kieliszku whisky i schodzili się regularnie na ławeczce naprzeciw parku. Dzień dobry łaskawym panom, wołałem już zdała machając serdecznie mym amerykańskim cylindrem... (ten cylinder był zasadniczym rysem mej duchowej indywidualności). Kosztował trzy dolary a kupiłem go na pamiątkę od starego przyjaciela mego, pewnego handlarza dziew-

cząt z Belgradu, który cztery razy objechał już ziemię dookoła i wywiózł z Europy przeszło 200 miłych a bezposażnych dziewcząt, zagrożonym staropanieństwem, a mimo to odznaczał się niezwykłą skromnością.

— Dzień dobry łaskawym panom — witałem się z nimi serdecznie, poczem kopnąwszy dystyngowanym ruchem olbrzymiego buldoga o pięknym imieniu: Helloiza, siadałem między nimi.

— Dziś mieliśmy dobrze wychowane szparagi... rozpoczynał Pylades jak zwykle od obiadu i analizy gastronomicznej.

— Ja zjadłem sztuk 13 tj. liczbę fatalną, chcąc się raz na zawsze uporać z zabobonem o apostołach. Jeżeli nie będę miał gniewu w żołądku, to przyznam absolutnie rację Judaszowi, że wołał 30 srebrników w gotówce jak Królestwo niebieskie na papierze i w prelekcyach latającego uniwersytetu imienia Chrystusa.

...Pani Aurora wysłała jedynaście szparagów po kolej, nie zarumieniwszy się ani razu.

...Uważam to sobie za hypokryzyę.

...Przenigdy hypokryzya! Jest to tylko otrzaskanie się, powiedziałbym oswojenie, z nowymi formami bytowania. Jestto pogoda życiowa, przypominająca mi najlepsze czasy Peryklesa i Aspazyi. Znasz chyba legendę o fujarce Aspazyi.

...Opowiedz! Słuchamy.

...Słońce paliło i złociło port pirejski. Białe lud wyległ cały na wybrzeże piaszczyste i patrzył. Na ślizgich taflach terasy stali dostojnicy w szerokim półkolu, a Bogom równy w chytrłości Perykles podawał złotą fujarkę dyszącej od ciepła i wonnej jak kamelie białobiodrej Aspazyi... Zagra dwa tony a ruszy od brzegu cała flotylla triremów, jak przestraszone stado albatro-

sów... A kiedy Aspazya do ust przyłożyła fujarkę, dwunastu cyników, co jak apostołowie otaczali Peryklesa, obrzydliwie beczelnie wybuchnęło śmiechem. I wtedy zawstydzona chichotem filozofujących faunów Aspazya odjęła od ust fujarkę i podała Peryklesowi, mruczając ze złością: O idyotai! A legenda przekazała naszym czasom ten pomruk obrażonej bogini hetery, to słowo, które trzeba i dziś powtarzać mężczyznom śledzącym, czy rumieni się kobieta, biorąc do ust tak wytworny owoc ziemi, jak *Asparagus virilis*.

...Zbyt surowym jesteś dla mężczyzn, Polikarpie.

...Nigdy za dużo, nigdy za mało. Gdyby to odemnie zależało... O niema czasem granic niedelikatna brutalność samców, nawet gatunku *samiec sapiens*. Gdyby to odemnie zależało, nie pozwoliłbym mężczyznom dotykać kobiet, ani dosiadać koni, czy też odwrotnie.

...Tak, ale twój zakaz powodowałby pielgrzymki kobiet na Lesbos.

...Byłbym dla nich Piotrem z Amiens prowadzącym wyprawę do gajów mirtowych miłości.

...Wyschnąłby ci szpik pacierzowy, nimbym pacierz na twojej duszy *benefis* miał czas wyszeptać...

I t. p. przekomarzali się ze sobą obaj serdeczni rówieśnicy, a ja skromny adept alchemii erotycznej słuchałem, dziwiąc się rzeczom niepojętym.

Konesery, bo konesery, myślałem. Oto wreszcie ludzie całą duszą, całym sercem oddani jednolitemu celowi, jednak ludzie, którzy znawstwo elementu wiecznej kobiecości doprowadzili do perfekcji, wobec której Don Juan jest kominarzem od pokojówek. Jednak ludzie całkowici, myślałem, aleksandryjscy uczeni z biblioteki listów miłosnych, profesori, którzy na białej kobiecej więcej się znają od właścicieli hurtownych

składów w Antwerpii, adwokaci Erosa błyszczący erudycją z alków i sypialni. I z całą swobodą i z czystym rozpromienionym sumieniem próżniaka, który od lat kilku pochylił się nad duszą kobietą, jak nad studnią, i wpatrzony w czarne głębie od czasu do czasu rzuca w taflę topieli kamyk doświadczenia, z całą potęgą ciekawości osłabionej wiecznymi sprzecznościami w obserwacjach, z pełną radością smutnego badacza przysłuchiwałem się Orestesowi i Pyladesowi dySSERTACYOM, jaskrawo-drastycznym czasem do tego stopnia, że dyabeł Lucyper, przysłuchujący się temu z krzaków uciekał często zarumiony po biało, a tylko przechodzący księża kłaniali nam się z szacunkiem. Bowiem Orestes był członkiem kongregacji Maryańskiej i protektorem klubu pokojówek imienia Świętej Zyty, a Pylades lecząc się na złośliwą chorobę Don-Juanom właściwą w Kairze, regularnie z Kairu wysyłał korespondencje do misyjnego pisma: *Echa z Afryki*.

Zdarzało się nawet czasem, że ukłony serdeczne przechodzących Ojców Jezuitów w samym wątku przerywały dialog moich przyjaciół, w którym grałem rolę chóru greckiego, przerywającego od czasu do czasu bezwstydną akcją.

...Blondynki melancholijne o tyle uważacie moi kochani mogą mieć coś nie coś specjalnego zapachu pod kolanami, o ile...

...Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, przerywał rozgadanemu Orestowi przechodzący mimo nas ksiądz dziekan Murga, dzielny bojownik kościoła z hydrą socjalizmu i spowiednik baronowej Betsy Wallenrod, zwanej Messaliną Podolą.

...Na wieki wieków Amen, o ile nie spostrzeżecie u nich zbyt grubych kolan. Grube kolana to już bo-

wiem nieodwołalny upadek rasy. Jest to dogmat, tak ważny jak dogmat o nieomyślności sędziwego gentlemana z Watykanu.

Sędziwym gentlemanem z Watykanu nazywał Orestes współczesnego nam papieża, którego poezye, tłumaczone przez Orestesa na rodzimy język, leżały u niego zawsze na biurku obok dawnych ksiąg o tytułach: Pamiętnik Sinobrodego, Tysiąc trzy kobiety Don Phallusa, Tajemnice Amazonek, Filozofia Trykotu, Centum artes amandi, Pryjapiczna ewangelia i t. d....

...Ale tylko z biblią starego testamentu nie rozstaje się nigdy, mawiał Orestes, gdyż o lepszym podręczniku anegdota na razie i mowy nie ma.

A że Pylades znowu miał kolekcję czterech tysięcy pięćset fotografii pięknych kobiet zbieraną od lat trzydziestu kilku bez wytchnienia i że przed Moną Lizą palił lampkę oliwną w swoim gabinecie i że Pylades mówiąc o Dziewicy Orleańskiej zdejmował kapelusz, a w mauzoleum swojej rodziny (wiodącej ród od Zyn-drama z Maszkowic) kazał pozawieszać kopie wszystkich utworów Giulia Romana Bacci Sodomity — więc coś się mi dziwić, że obu bardzo serdecznie pokochałem.

Tem też tragiczniejszym ciosem był dla mnie ten moment, ta straszna chwila, w której raz przypadkowo ujrzałem ich obu dziwnie rozgorączkowanych i trywialnie zarumienionych, w nerwowym rozstroju rozpętanych niepotrzebnie namiętności, pozbawionych dystynkcji, a ściskających bezładnie i bez programu pewną nymfę: grubą Mańkę, nieczystą pomocnicę kucharki właśnie ukochanej baronowej Wallenrod.

Gruba nymfa Mańka nie używała przecież nawet wody z Kolonii..

Gruba nymfa Mańka nie kąpała się od urodzenia jeszcze ani razu...

Ponieważ właśnie podolski baron Wallenrod wchodził do mieszkania od frontu, przeto zmuszony byłem, szybko pożegnawszy się z miłą Betsy, uciekać z gościnniej willi tyłem. Przez kuchnię.

I oto widok niezapomniany.

Pan Orestes, koneser kobiet klęczał przed grubą Mańką z frontu.

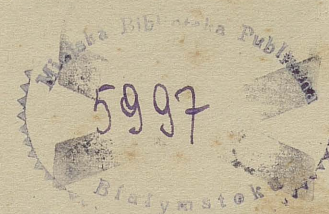
Pan Pylades!... on!... taki gourmand i juror erotyczny manewrował coś koło grubej Mańki od pleców.

Równocześnie! hehehe!



TREŚĆ:

	str.
Pięć listów filistra	5
Tubalkain (Groteska)	21
Szambelan Sar (Opowiadka)	37
Histeryczny Histryon, szkic do aktu dramatycznego . .	55
Bajka o księżniczce i karle	71
Gładiolus tavernalis (Mieczyk kawiarniany)	121
Stylizowany Prometeusz	195
Samotni Ślepcy czyli Upiory z Bovery-Strett	207
Syrena Podhalańska (Ramota)	217
Nymfomańka (Gawęda Młodopolska)	233



5997

